

Prof. Jerzy Bralczyk radzi

JAK PRZEŻYĆ ŚWIĄTECZNE SPOTKANIA

NA ŚWIĘTA

**PROF. BRONISŁAW
ŁAGOWSKI:**

Czy narody
mają honor?

**JUREK
OWSIK:**

W podróży
nie jem białego

**VINCENT V.
SEVERSKI:**

Szpieg w twoim
domu

**TERESA
TORAŃSKA:**

Od Jareczka
do Prezesa

REZYDENT:

Dwa miesiące
po strajku

**KRZYSZTOF
HERDZIN:**

Cały ten jazz

**ZIMA
W KONTENERZE**



GALERIA AUTORSKA ANDRZEJA MLECZKI



KRAKÓW ul. św. Jana 14

WARSZAWA ul. Marszałkowska 140



CYTATY

JARZY BACZYŃSKI,
REDAKTOR NACZELNY

*Polityczną egzekucję
Beaty Szydło
przeprowadzono
bezlitośnie,
z charakterystycznym
dla tej władzy
dręceniem ofiary.
„Polityka”*

**PROF. JADWIGA
STANISZKIS,**
SOCJOLOG

*PiS oczekiwało od
właścicieli prywatnych
mediów pokory
i milczenia.
„Polska The Times”*

MARIAN DZIĘDZIEL,
AKTOR

*Najważniejsza
w graniu jest głowa
– myśleć, myśleć
i jeszcze raz myśleć.
„Tygodnik Powszechny”*

**CARLA BRUNI-
SARKOZY,**
PIOSENKARKA

*Wolę uprawiać miłość
niż być zakochaną.
„Forum”*

*Karpie głosu nie mają. My – tak.
Nie dajmy go sobie odebrać. Nie tylko w świąteczne dni.
Świąt z fantazją, ku radości ciała i ducha,
Czytelnikom i Przyjaciółom
życzy PRZEGLĄD*

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Pod świątecznym dywanem

Rozjechały nam się oceny. Rozjechały tak bardzo, że coraz trudniej o normalne rozmowy. Nawet w rodzinach i wśród starych znajomych. Martwiliśmy się tym rok temu. A teraz jest jeszcze gorzej. Ale jak ma być, skoro partia rządząca buduje swoją pozycję na agresji i pogłębianiu antagonizmów? Nieustanne wykluczanie i deprecjonowanie przeciwników jest działaniem w pełni świadomym. Elementem jednoczącym zwolenników, którym pokazuje się wroga odpowiedzialnego za wszystkie nieszczęścia kraju i Polaków. Bardzo wielu jest takich, którzy uwierzyli w opowieść PiS o Polsce, o „nowej” historii naszego kraju, o potężnych wrogach, którzy nas otaczają i na nas dybią. Jeszcze nie mieliśmy obozu władzy, który by tak jawnie i bezczelnie kłamał. I tak brutalnie łamał prawo. Nawet wtedy, gdy było to sprzeczne z konstytucją. Tą konstytucją, na którą tak ochoczo przysięgano, odwołując się do Boga.

Ale jest coś ważniejszego. Tempo i skala zmian postaw, ocen i zachowań, jakie od dwóch lat obserwujemy w Polsce, jak najgorzej świadczą o nas samych. Bo przecież PiS tylko otworzyło drzwi. Stworzyło warunki, by wylażyły demony trapiące Polskę od stulecia. Musiały więc za tymi drzwiami być. Bo takiej fali agresji, wrogości, nienawiści do wszystkiego, co obce, ksenofobii, nietolerancji dla różnorodności nie da się zbudować w kilka lat.

Skąd się biorą sukcesy władzy w rozwalaniu struktur, które jako instytucje demokratyczne stanowiły warstwę ochronną? Z bierności, którą uznano za przyzwolenie. Z niedostatków edukacyjnych, bo po co konstytucja, Trybunał Konstytucyjny, KRS, Sąd Najwyższy czy media prawdziwie publiczne? Ale też z tolerancji dla pisowskich nominacji kadrowych. Tyłu durniów, pociotków i kompletnych nieudaczników jeszcze nigdy nie obsiadło aż tylu dobrze płatnych posad w instytucjach, na które wpływ ma władza państwa.

Gorzkie jest to, co piszę. Ale przecież zamiatanie tych problemów pod świąteczny dywan nic nie zmienia.

Wierzę jednak w kolejny obrót historii i lepszą Polskę. A na razie, dziękując Czytelnikom za lekturę tych komentarzy, pozdrawiam świątecznie.

FAUL

Cynizm InPostu

To, co wyprawia Poczta Polska, zwłaszcza teraz, w okresie świątecznym, to miks horroru i kosmicznego bałaganu. Jak jeszcze był konkurent, czyli InPost, usługi monopolisty były lepsze. A teraz? Dominuje poczucie bezkarności, bo gdzie, człowieku, pójdziesz z listem czy paczką? Po In-Postcie zostali oszukani pracownicy i długi. Rafał Brzóska wylansował się w mediach i sprzedał firmę. Pracownicy spółki Bezpieczny List do dziś nie dostali zaległych pensji. A Fundacja InPost wysłała im listy z propozycją 1000 zł darowizny. Szczyt cynizmu i bezczelności.

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8** Słuchajmy się nawzajem
– rozmowa z prof. Jerzym Bralczykiem
- 12** Rezydent
Od głodówki do stażu
- 16** Zima pod folią
Dach nad głową dzięki ludzkiej solidarności
- 20** Szpieg w twoim domu
– rozmowa z Vincentem V. Severskim

ZAGRANICA

- 26** Jarmark na przekór
Korespondencja z Berlina
- 28** Misja senator Ewy
Korespondencja z Wiednia
- 58** AFP Zdjęcia Roku

SYLWETKI

- 32** Jareczek
Warsztat pracy Teresy Torąńskiej

HISTORIA

- 38** Czwarty atak na Birczę
Co zawiniła prawicy

KULTURA

- 42** Granie solo jest jak Formuła 1
– rozmowa z Krzysztofem Herdzinem
- 46** Kulturalia
- 66** Młodzi aktualni

SPORT

- 48** Bez Lewego nie ma prawie niczego
– rozmawiają Adam Godlewski
i Maciej Polkowski

OBSERWACJE

- 54** Legendy o żarciu
Dlaczego Jurek Owsiak
w podróży nie je białego

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** Jerzy Domański
Pod świątecznym dywanem
- 19** Bronisław Łagowski
Czy narody mają honor?
- 25** Jan Widacki
Oczywista oczywistość
- 31** Roman Kurkiewicz
Atrapospolita Polska
- 37** Tomasz Jastrun
Mieszanie w głowach
- 41** Edward Mikołajczyk
Ogórek nie chce eskalować
- 53** Agnieszka Wolny-Hamkała
Lulanie na ostro



20
KRAJ

SZPIEG W TWOIM DOMU

– rozmowa z Vincentem V. Severskim

28
ZAGRANICA

MISJA
SENATOR EWY
Korespondencja
z Wiednia



58
GALERIA

AFP
ZDJĘCIA
ROKU



Projekt: Iza Mierzejewska
Fot. Krzysztof Żuczkowski

f Barbarzyńcy i pałac

Pałac Kultury i Nauki nigdy mi się nie podobał. Gigantyczna budowla otoczona rachitycznym parkiem, a od strony ul. Marszałkowskiej wielkim placem, który tylko raz się wypełnił ludźmi – w październiku 1956 r. Miałem wtedy 16 lat i zaczynałem naukę w klasie maturalnej. Potem wielokrotnie przemierzałem ten plac w drodze na zajęcia, do kina, teatru lub na basen. Jesienią i zimą wiało niemiłosiernie. Dziś otoczenie pałacu trochę się skurczyło, a drzewa urosły. Plac przed PKiN wciąż się prosi o częściową choćby zabudowę. Ale sama budowla wyszlachetniała i pokryła się patyną. Okoliczne wieżowce, brzydkie i ładne, wypełniły pustkę. Pałac stał się jedną z ikon miasta. Jego zburzenie byłoby aktem barbarzyństwa, a także przedsięwzięciem niezmiernie kosztownym. I nie chodzi o samo rozebranie budynku i wywiezienie gruzu, ale również o odtworzenie sal konferencyjnych, wystawowych, teatralnych, kinowych itd. To mogłoby kosztować wiele miliardów złotych.

Cezary Lewiński

Nie rozumiem ludzi nawiedzonych. Pałac Kultury i Nauki to część naszej historii (znajduje się w rejestrze zabytków i dlatego jest monumentem historycznym), a z drugiej strony nie ma nic wspólnego z apologią komunizmu (nie jest statuą Stalina, choć nosił jego imię, i od dawna nie symbolizuje komunizmu, o czym świadczy choćby zegar milenijny). Historii nie likwiduje się, burząc budynki,



Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

ANDRZEJ PAĞOWSKI
Za co szanuje PRL

WIESŁAW KOT

Film z kina przechodzi do telefonu

WIOLETTA GRZEGORZEWSKA
Dobry bajer to podstawa pisania

Noworoczny numer PRZEGLĄDU ukaże się 27 grudnia

które powstały w jakimś okresie historycznym, wręcz odwrotnie – historia powinna uczyć i podtrzymywać świeżą pamięć tamtego okresu, po to by nie powtarzać podobnych błędów w przyszłości.

Grażyna Pietruczuk

f Budować, więzić, zarabiać

Wiedzieliśmy, że o Brzegu zacznie się mówić. Szkoda, że teraz będzie się kojarzył z więzieniem, a nie np. zamkiem piastowskim i ciekawą historią. Tym samym podzieli los Strzelec Opolskich, które przeciętny Polak kojarzy z Pękalskim i Trynkiewiczem.

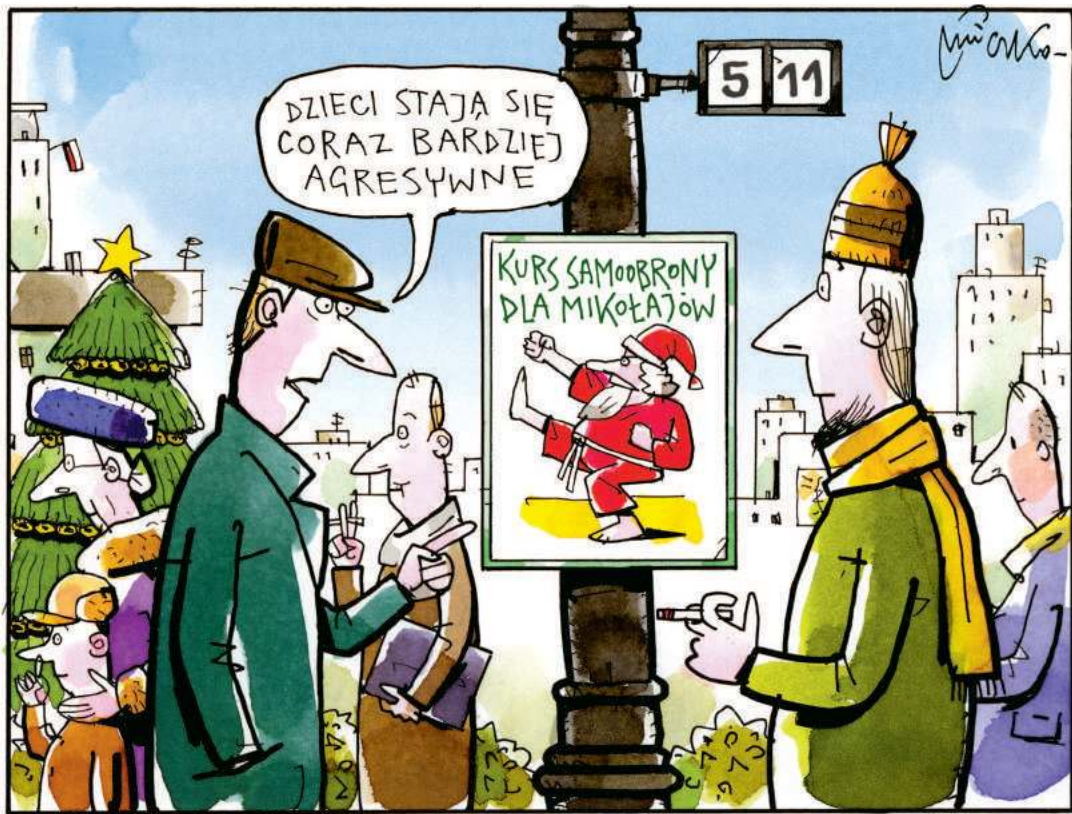
Silne marki Opolszczyzny



ZDJĘCIE TYGODNIA



Polska Agencja Fotografów FORUM. Zdjęcia roku. Joanna Mrówka. Krakowski Klub Morsów Kaloryfer, kąpiąc się, zbiera fundusze na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy.



www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Czy puste miejsce przy stole wigilijnym jest już tylko symbolem bez treści?

PROF. ROCH SULIMA,
*kulturoznawca, antropolog kultury,
Uniwersytet SWPS*

To wciąż kultywowany zwyczaj, choć w treści zaledwie pusta forma. To znak, że o czymś powinniśmy pamiętać. Trudno dziś objaśniać dzieciom czy wnukom, że to miejsce dla niezapowiedzianego przybysza – jak się kiedyś mówiło, „człowieka gościńca”, czyli gościa, bo kulturową definicją gościa był właśnie ktoś, kto przychodził z gościńca, czyli z drogi. Dziś może to być nie tylko znak trwałej tradycji, bo rzeczywiście jest ona trwała, ale też swego rodzaju samorozgrzeszenie, gdy wspomniemy tysiące „przybyszów” stojących u bram Europy.

KS. ROMAN PRACKI,
Kościół Ewangelicko-Augsburski w RP

W tym roku wolne miejsce przy wigilijnej wieczerzy ma wyjątkowe znaczenie, ponieważ oznacza uchodźcę, człowieka wykluczonego, niechcianego. Tego, którego się brzydzimy, którego nie chcielibyśmy widzieć ani przy stole, ani w swoim mieście,

ani nawet w swoim kraju. Pamiętajmy jednak, że Biblia to jest tradycja uchodźców, a Jezus to osadzony w areszcie, uchodźca, niechciany.

**DR HAB. BOŻENA KAROLINA
BIELENIN-LENCZOWSKA,**
etnologa, UW

Dawniej uważano, że puste miejsce przy stole wigilijnym jest przeznaczane dla dusz bliskich zmarłych. Zwyczaj ten ma korzenie pogańskie, wywodzi się z obrzędowości przesilenia zimowego. Później sądzono, że jest to miejsce dla niespodziewanego gościa, wędrowca. W kontekście współczesnej ogromnej mobilności ludzi, w tym uciekających przed wojną i prześladowaniami, wolne miejsce przy wigilijnym stole jest szczególnie znaczące. Chciałabym wierzyć, że to nie tylko miły symbol, ale przede wszystkim zwyczaj prawdziwie wyrażający naszą staropolską gościnność. W rzeczywistości jednak rzadko wpuszczamy do domów obce osoby, a nawet z bliskimi umawiamy się na wizyty w konkretnym dniu i o konkretnej godzinie. Obcych

się boimy, zwłaszcza gdy wyglądają inaczej, mają inne zwyczaje i mówią innym językiem.

BRUNO SKALSKI,
czytelnik PRZEGLĄDU



Myślę, że niestety jest jeszcze gorzej. Nawet w bliskim gronie mamy znajomych, którzy święta spędzają samotnie, a zaproszenie ich na nasze rodzinne święta często nie wchodzi w grę, bo wiemy, że części rodziny taki pomysł zdecydowanie by się nie spodobał. Moja dziewczyna powiedziała ostatnio, że kiedy będziemy robić Wigilię, przygotujemy nie jedno, ale kilka miejsc ekstra i w dodatku symboliczne, ale miłe prezenty na zaplecze (tak, by można je szybko i niepostrzeżenie dorzucić pod choinkę). Na tę Wigilię będziemy zapraszać wszystkich znajomych, którzy nie mają za bardzo gdzie się podziać. Zaczniemy od tego, a może łatwiej nam będzie kiedyś pomóc w podobny sposób bezdomnym lub uchodźcom. Wesołych i solidarnych świąt życzę!

Not. Michał Sobczyk

**PROF. JERZY
BRALCZYK**

– językoznawca, specjalista
w zakresie języka mediów,
reklamy i polityki

SŁUCHAJMY SIĘ NAWZAJEM

ROZMOWA TO SĄ CHWILE NIEPOWTARZALNE

Rozmawia Roman Wojciechowski

Panie profesorze, gdy umawialiśmy się na rozmowę, zaproponowałem, że tematem będzie, nazwijmy to umownie, podręczny poradnik rozmów przy świątecznym stole.

– Mam podstawową wątpliwość, czy taki poradnik powinien istnieć. **Dlaczego? Nierzadko można odnieść wrażenie, że nie potrafimy ze sobą rozmawiać.**

– Niech pan nie tragizuje! W naszych kontaktach, rozmowach cenimy naturalność i spontaniczność. Poradniki oraz podręczniki, które ukazywały się w XIX w., a było ich sporo, nakazywały, jak rozmawiać na przyjęciu, podczas uroczystości, jak występować publicznie, jak składać życzenia itd. Kiedyś te zachowania były silnie normowane, obowiązywały różne konwencje, wręcz rytuały. Znajomość tych konwencji była w pewnych środowiskach obowiązkowa.

No dobrze, wycofuję się z określenia poradnik, który miałby być spisem konwencji...

– Po jakimś czasie przewagę zdołała inna tendencja: mówimy naturalnie, tak jak chcemy, nie będziemy wpasowywać rozmów w żadne konwencje. Okazało się jednak, że pewne konwencje wróciły, ale w inny sposób – z punktu widzenia nie zysku, jaki dawała rozmowa salonowa, ale zysku z rozmowy skutecznej. Zabrali się do tego psycholodzy, nawet powstała teoria *small talk* – niewykluczone, że już organizowane są pierwsze szkolenia.

***Small talk*, czyli rozmowa, gdy spotykamy się z kimś na krótko, może przy świątecznym stole czy na wigilijnym spotkaniu w pracy. Może to być też rozmowa wstępna, która poprzedza tę zasadniczą – nazwijmy to – poważną, do niej również może dojść w rodzinnym gronie.**

– Jeśli już sięgamy po instrukcje, w których ustala się, jaka forma rozmowy będzie najlepsza, to pamiętaj-

my o najważniejszym: podstawą jest naturalność. I nawet jeżeli nam się wydaje, że nie potrafimy rozmawiać – nie powinniśmy zmieniać tego na poziomie powierzchni rozmowy, czyli na poziomie techniki. Zmiana musi wynikać z naszej postawy wobec drugiego człowieka. Prosty przykład:

Powinniśmy nie mówić do ludzi, ale mówić ludziom. Czyli mówić tak, żeby nastawić się na naturalny kontakt z rozmówcą.

dość często chcemy wygłaszać swoje teksty i nie wchodzimy w interakcję z rozmówcą. Wtedy mówimy szybciej, żeby inni usłyszeli, co mamy do powiedzenia, a niekoniecznie znajdowali kontrargumenty.

Bo wówczas muszą na nas skupić uwagę, na dodatek zaczynamy mówić głośno.

– W ten sposób dobitnie pokażemy, co myślimy na dany temat, a lubimy manifestować swoje poglądy. Od lat powtarzam: powinniśmy nie mówić do ludzi, ale mówić ludziom. Czyli mówić tak, żeby nastawić się na naturalny kontakt z rozmówcą. Chodzi tu o to, żeby zwracać uwagę na tempo i intonację wypowiedzi. Są one ważne, bo często warunkują

W rozmowie najważniejsze jest to, by być ze sobą.

nasze relacje międzyludzkie. Jeśli chcemy coś powiedzieć serio, powinniśmy dążyć do tego, żeby rozmówca też pomyślał o tym, o czym my myślimy. Nie wystarczy wygłoszenie swojego tekstu.

Jak więc osiągnąć to, żeby rozmówca chciał wejść w tę magiczną interakcję?

– Właśnie staram się o tym mówić... Chciałbym, żeby pan słuchał tego, co mówię...

Ależ słucham, chcę tylko naszą rozmowę popchnąć do przodu...

– A ja nie chcę w naszej rozmowie iść do przodu, chcę iść do środka, chcę iść w głąb.

To znaczy?

– To znaczy, żebyśmy wzajemnie siebie słuchali. Moja intencja jest teraz inna niż pańska. Pan chce, żebym jak najszybciej powiedział – najlepiej w punktach – co robić, jak rozmawiać przy świątecznym stole. Tempo, w jakim chce mnie pan zmusić, żebym odpowiedział na pytania, proste pańskim zdaniem, wskazuje, że ta nasza rozmowa przypomina raczej ping-pong, a nie szachy.

Czy przy świątecznym stole rozmowa ma być jak gra w szachy?

– Zdecydowanie lepsze są szachy, aczkolwiek zakładają pewien rodzaj konfliktu, zdobycia przewagi, wygranej, a nie o to powinno chodzić w rozmowie. Najważniejsza jest umiejętność doprowadzenia do tego, że inni usłyszą to, co mówimy. I to już powinno być naszą wygraną! Pan zagląda w kartki, spogląda na zegarek, jakby się śpieszył. Jak to na mnie działa? Ja lubię, żeby mój rozmówca na mnie patrzył i nie myślał, co będzie za chwilę, tylko myślał, co jest teraz, rozmowa to są chwile niepowtarzalne.

Ale ja mam pewne zadanie do wykonania – przeprowadzić z panem

wywiad o tym, jak w dzisiejszych czasach rozmawiać przy świątecznym stole.

– To może zmienimy to zadanie? I to jest następna sprawa. Jeżeli zaczynamy rozmawiać z pewnym celem, mamy jakieś zadanie, nie prowadzimy wtedy rozmowy, my ją przeprowadzamy. Przeprowadzanie rozmowy nie daje satysfakcji, mimo że taka rozmowa może osiągnąć jakiś cel, wywołać skutek...

Jak w negocjacjach.

– Ale nie w rozmowie, w której najważniejsze jest to, by być ze sobą. O tym często zapominamy. Wracając do pańskiego poradnika, raczej powinien on dotyczyć tego, czego unikać. Wiadomo, że łatwiej panować nad tym, czego nie powinniśmy robić, niż nad tym, co powinniśmy.

Czego więc się wystrzegać?

– Lista może być dość długa. Mamy dziś takie ładne pojęcie, dość trafnie opisujące rzeczywistość – „przekaz dnia”. Przypisywane jest

rządzającym politykom, którzy powtarzają je z uporem, żeby weszło w świadomość odbiorców. Klasycznym przykładem jest „wstawanie z kolan”, zresztą często wykorzystywane do ironicznej parodii. Takie przekazy odbierają myślenie i to ich najważniejsza wada. Mają wpływ na nasze codzienne rozmowy, ponieważ powtarzamy je, gdyż wydaje się nam, że według innych, ważnych osób trafnie opisują rzeczywistość. Tymczasem jeśli będziemy mówić swoimi słowami, nierzadko może się okazać, że powiemy coś mądrzejszego. A jeśli już chcemy się odwołać do myśli znanych ludzi, sięgajmy do cytatów, zwłaszcza jeśli odwołują się ▶

Ludzie mają wiele wspólnych wspomnień, do których warto powracać przy świątecznym stole. Te wspomnienia łączą.



► do naszej wspólnej wiedzy, wspólnych lektur. Jeśli wiem, że pan czyta Słowackiego, to do niego sięgam, jeśli ktoś lubi Kubusia Puchatka, to cytuję Kubusia Puchatka. Lektury i cytaty mogą nas jednoczyć.

Problem w tym, że statystyczny Polak sporadycznie kupuje książki, a jeszcze rzadziej je czyta. Jeśli już czyta, to tabloidy. Jak je cytować?

– To nie będą cytaty, ale właśnie przekazy, o których wcześniej

Wygodnym tematem do rozmów przy stole bywają plotki o celebrytach. Równie bezpiecznie możemy rozmawiać o serialach.

wspominałem. Może w rozmowie warto przywołać słowa jakiejś piosenki – to też pewien rodzaj sztuki, która nie wprost odnosi się do rzeczywistości. Sięgamy do tego, co lubimy. Najważniejsza jest naturalność, chociaż prawdą jest, że to, co w nas naturalne, bywa niedobre – np. pewien rodzaj agresji, chęci wyładowania emocji. Wszystko w nas jest, jedno i drugie, jeśli jednak decydujemy się na rozmowy świąteczne, jeśli odwiedzamy się, spotykamy – to nie z intencją sporu, nawet jeśli nie z intencją pełnej zgody. Spotykamy się z takim zamiarem, aby po prostu być razem. **Nie tylko być razem, ale też unikać konfliktów.**

– Dlatego dobrze jest wystrzegać się słów, które nazywają konflikt: awantura, kłótnia. Nawet jeśli powiem: nie chcę się z tobą kłócić, to już wysłałem rozmówcy sygnał, który może być zarzewiem sporu. Słowa są bodźcami, one nie tylko są częściami zdania, mają jakieś znaczenie, wywołują emocje. Są słowa, które jakby automatycznie z nas wychodzą, zwłaszcza te, które mają w sobie ocenę. Na przykład gdy mówimy o kimś, że jest złodziejem albo wręcz zbrodniarzem, albo mówimy, że jest bohaterem. To oceny o wysokim stopniu jawności. A gdy mówimy: próbujesz mnie przekonać, już w samym słowie próbujesz jest sygnał, że to się nie uda. Może lepiej powiedzieć: przekonujesz mnie, chcesz mnie przekonać, bo w tym jest informacja o intencji. Rozmowa

nie może polegać na tym, że tylko jeśli kogoś przekonałem, to znaczy, że wygrałem.

Ale lepiej się czuję, gdy ktoś podziela moje poglądy.

– Często tak właśnie myślimy, ale równie satysfakcjonujące może być, gdy stwierdzę, że dobrze swoich poglądów broniłem, nie popełniłem żadnych błędów. Nie naruszyłem prywatnej przestrzeni rozmówcy, nie rozbiłem tej delikatnej otoczki, którą każdy człowiek zachowuje dla siebie. Może to nie jest zbyt czytelna metafora, może lepiej powiedzieć: dobrze, jeśli w rozmowie nie wchodzimy za blisko siebie, nie naruszamy sposobu myślenia rozmówcy. Warto być otwartym na innych, chociaż czasami wydaje się nam, że aby być sobą, wystarczy zamknąć się w sobie.

Czyli stłumić emocje.

– Z emocjami byłbym ostrożny, emocje nie tylko łączą, one też potrafią dzielić, czasami powodują, że różnice między nami stają się większe. Na przykład gdy obaj jesteśmy kibicami Legii i o tym wiemy – to tworzy płaszczyznę spotkania, porozumienia emocjonalnego na terenie Łazienkowskiej. Ale to musimy o sobie wiedzieć. Z temperaturą rozmowy wiąże się jeszcze jedna sprawa, o której wspominałem – intonacja. Możemy

nawet najgorsze słowa wypowiadać z intonacją, która będzie ciepła, osłabi ich ostrze, a może nawet zamieni je w coś miłego. Wiadomo, że nawet wulgaryzmy, użyte pieszczotliwie, mogą wywołać u kogoś uśmiech.

Do tego potrzebne jest porozumienie między rozmówcami, muszą nadawać na tych samych falach.

– Czyli muszą dobrze się czuć w swoim towarzystwie. Wówczas bardzo się cieszę, że należę do jakiejś grupy, to dla mnie satysfakcjonujące. Jestem kibicem Ruchu i czuję się dobrze, gdy rozmawiam z prof. Miodkiem, który też jest kibicem Ruchu. Ale także dobrze się czuję, gdy jako kibic Ruchu spotykam się z kibicem Górnika i mogę się dobrze zaprezentować.

Taką grupą wsparcia może również być rodzina.

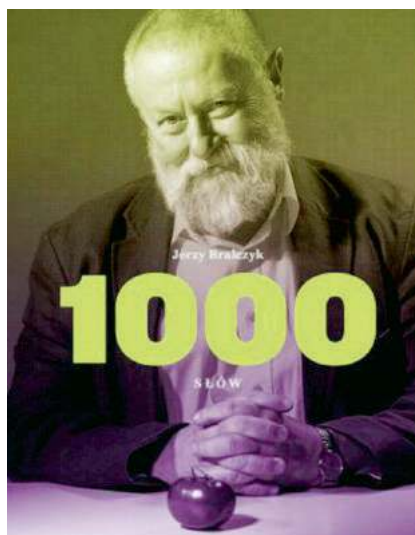
– Jestem człowiekiem sędziwym... Gdy przychodziły święta, człowiek cieszył się na spotkanie z bliskimi, cieszył się na rodzinę. Być może jestem starej daty, ale wówczas człowiek nie nastawiał się tak: to ja im wreszcie powiem, co myślę, albo: znowu będę musiał słuchać tych nudnych gadek. Był raczej ciekaw, co u nich słychać, a oni byli również ciekawi, co się u mnie dzieje. Myślę, że – tak jak w każdej rodzinie – ludzie mają wiele wspólnych wspomnień, do których warto powracać przy świątecznym stole. Te wspomnienia łączą. Moje spotkania z siostrą, z którą notabene bardzo lubię się spotykać, a nie dzieje się to tak często, jak bym chciał, są okazją, aby pomyśleć, jak to się żyło w mojej rodzinie.

Wspomnienia jednak się wyczerpują.

– Takim wygodnym tematem do rozmów przy stole bywają plotki o celebrytach. Na ogół ich się nie lubi, chętnie mówi się o ich życiowych wpadkach, tym bardziej że z upodobaniem są one opisywane w prasie...

Rzeczywiście, to może jednoczyć podczas rozmów – nic tak nie cieszy jak cudze nieszcześcia.

– Może też jednoczyć w zgorzenu, w pewnego rodzaju zazdrości – nam żyje się niełatwo, a oni mają tak dobrze. To jest takie odniesienie do innej rzeczywistości, która nas nie dotyczy bezpośrednio. Równie bezpiecznie możemy rozmawiać o serialach, które kiedyś były lubia-



Nawet jeśli powiem: nie chcę się z tobą kłócić, już wysłałem rozmówcy sygnał, który może być zarzewiem sporu.



nym tematem dyskusji. Mocno nas interesowało, co robi Alexis z „Dynastii” lub co tam nowego wymyślił Leoncio. Wbrew pozorom to nie było takie złe – zajęcie się cudzym życiem, na które nie mamy wpływu, życiem filmowych bohaterów. Życiem, które nie dotyczy naszych najbliższych. **Jednak bywa, że nie da się uciec od tematów życiowych, takich na serio.**

– Gdy rozmawiamy o życiu najbliższych, pojawiają się jeszcze inne problemy: kwestia winy lub krzywdy. My oscylujemy między poczuciem winy i krzywdy i częściej mówimy o naszej krzywdzie niż winie. Powinniśmy być wyczuleni na to, że wśród nas są ludzie winy i są ludzie krzywdy. Jedni czują, że zrobili coś, czego nie chcą, abyśmy im przypominali – zwłaszcza podczas świąt. Drudzy mają poczucie, że to bliźni ich skrzywdzili, i wówczas też lepiej tego nie roztrząsać w rodzinnym gronie. Najbezpieczniej skarżyć się na pogodę lub na rząd – wówczas mamy poczucie skrzywdzenia przez Pana Boga lub Prezesa. Jednak wszystko, co powiedziałem, można wziąć w nawias, bo pewien element sporu lub konfliktu jest czasem zapładniający. Świadomość, że reprezentujemy inne opcje lub inne sposoby myślenia, nie powinna zupełnie zniknąć podczas naszych rozmów przy stole.

Niestety, częściej bywa tak, że konflikt niszczy.

– Dziś, kiedy patrzę na to, co się dzieje wokół mnie, obserwuję po-

kazywane w mediach zjawiska, np. demonstracje i reakcje, które te demonstracje wywołują, czasem myślę, jak bardzo ludzie się cieszą z krzywd, których doznają, chętnie eksponują to, jak wobec nich zachowują się przeciwnicy. Możemy oglądać po wielokroć – podkreślam: po wielokroć – sceny agresji ze strony przeciwników politycznych. To jest ciągły konflikt.

I to w nas się odkłada, wpływa na nasz sposób rozmowy z innymi.

– To, co się dzieje w dyskursie publicznym, wpływa na nasze zachowania, a niby powinno być odwrotnie – to, co jest publiczne, powinno być nam bliskie, bliskie temu, w jaki sposób rozmawiamy. Czasami może tak się dzieje, jednak to, co jest w dyskursie publicznym, w klipach rekla-

Ktoś milczy ze skromności, a my myślimy, że on milczy dumnie.

mowych – zawierających tak wiele dialogów – wpływa na nasz sposób mówienia. Jeśli to sobie uświadomimy, możemy tego uniknąć, ale zazwyczaj sobie nie uświadomiamy. To jest trudne i myślę, że także na mnie trochę wpływa. Uczestniczę w debatach publicznych i czasami spostrzegam, że w trakcie rodzinnej rozmowy mówię, jakbym występował publicznie. I to jest oczywiście niedobre.

W książce „1000 słów” napisał pan: „Mogą nami słowa manipulo-

wać. Mogą się za nimi kryć rzeczy i sprawy całkiem niemiłe, można nimi zwieść. Wszelkie słowa bywają przecież bez pokrycia”. To może lepiej w ogóle unikać rozmowy?

– Czasem przychodzą i takie myśli, zwłaszcza gdy widzimy, że rozmowa zmierza w niepożądanym dla nas kierunku. Wychodzimy wówczas z założenia: może trochę pomilczymy, trochę odpuścimy sobie. Niedobrze, gdy takie myślenie może być odebrane jako manifestacja. Wprawdzie milczenie jest wspaniałym środkiem komunikacyjnym, ale jego intencje

Umiejętność słuchania powinna iść przed umiejętnością dobrego prowadzenia rozmowy.

bywają mylnie odbierane. Ktoś milczy ze skromności, a my myślimy, że on milczy dumnie. Bywa też, że ktoś milczy, bo nie chce konfliktu, a my myślimy, że milczy prowokacyjnie. Można również milczeć z poczucia winy lub z poczucia bezzasadności zarzutu – jestem tak niewinny, że nie wiem, co odpowiedzieć. Jeśli czujemy, że ktoś tak bardzo unika rozmowy, nie powinniśmy przechodzić nad tym do porządku, traktować tego jako coś naturalnego.

Milczenie jest przeciwieństwem rozmowy.

– W rozmowie ważne jest pokazanie, że to, co mówi drugi człowiek, wzbudza we mnie refleksję. Chociaż w tym wypadku słowo pokazanie może być źle odebrane, jako robienie czegoś na pokaz. Robienie czegoś na pokaz może być nieszczerze. Chodzi więc o to, by mój rozmówca odczuł, że to, co mówi, skłania mnie do refleksji, do zastanowienia. Do tego niezbędna jest umiejętność słuchania. Ta umiejętność powinna nawet iść przed umiejętnością dobrego prowadzenia rozmowy. To stara prawda, ale warto o niej pamiętać.

Czyli słuchajmy się...

– W ostatniej księdze „Pana Tadeusza” mieliśmy „kochajmy się” – teraz możemy mieć: słuchajmy się! Oczywiście nie w sensie słuchajmy się, czyli bądźmy posłuszni, ale słuchajmy się, czyli wsłuchujmy się w innych.

Roman Wojciechowski

REZYDENT

Piotr Matyja był najdłużej głodującym uczestnikiem protestu młodych lekarzy. Dwa miesiące później rozpoczyna rezydenturę na psychiatrii

Ewa Rogowska

Lekarka protestu rezydentów zdyskwalifikowała go w piątek, 13 października. Musiał zakończyć głodówkę, choć twierdził, że czuje się świetnie i nadal może protestować. Dwa miesiące później, 13 grudnia, Piotr Matyja jest w domu. Trzeci dzień nie poszedł do pracy, ma zwolnienie. W sobotę zaraził się rotawirusem. Przypuszcza, że obniżenie odporności to skutek październikowego protestu. Organizm takich rzeczy jak 12-dniowa głodówka nie zapomina i nie wybacza.

POKŁOSIE

Piotr był najdłużej głodującym uczestnikiem protestu rezydentów. W ciągu 12 dni schudł 7 kg. Teraz wrócił do normalnej wagi. Znów się uśmiecha. Nawet wtedy, gdy czuje się tak paskudnie, jak może się czuć osoba zarażona rotawirusem.

– W sobotę mój dwuletni siostrzeniec miał arytmieję. Siostra poprosiła, bym pojechał z jej mężem i synem do szpitala pediatrycznego – wspomina Piotr. – Rysio został przyjęty na oddział na obserwację. Na szczęście wypisano go w niedzielę. A właśnie w niedzielę zaczęła się moja choroba. Pewnie złapałem rotawirusa w szpitalu.

Przez dwa dni Piotr ledwo mógł się ruszyć. Nie był w stanie się nawodnić, bo cokolwiek wypił, od razu zwracał. Nic nie jadł. Starał się z nikim nie kontaktować, bo wirus jest bardzo zakaźny. – Myślę, że infekcja ma związek z głodówką – twierdzi. – Nie chorowałem od lat, ale od zakończenia głodówki, kiedy adrenalina i kortyzol opadły, czuję się coraz gorzej. Przy przyjęciu do pracy zrobiono mi podstawowe badania i tak słabych wyników u siebie nie pamiętam. Niedobory wychodzą dopiero teraz.

Od 1 grudnia Piotr jest rezydentem w psychiatrycznym Szpitalu Nowo-

wiejskim w Warszawie. Mówi, że już mu brakuje szpitala, choć to dopiero trzeci dzień choroby. Bo on po prostu lubi pomagać ludziom.

– Nie chcę narażać pacjentów i innych lekarzy na zarażenie, dlatego zdecydowałem się zostać w domu zgodnie ze zwolnieniem – tłumaczy. – Na moim oddziale jest wiele bardzo obciążonych osób, dla których wirus mógłby się okazać ogromnie niebezpieczny. Na szczęście dopiero zacząłem specjalizację i mogę sobie pozwolić na to, żeby nie przyjść do pracy, gdy lekarz wystawił mi zwolnienie. Wielu moich przyjaciół niestety słyszy: „Nie obchodzi mnie, czy będziesz chory, czy umierający. Masz przyjść!”. No i co ma wtedy zrobić lekarz około trzydziestki? Oczywiście leczy się objawowo i pracuje.

Znajoma lekarka opowiadała mu o lekarzu, który z grypą przyszedł na ciężki dyżur. Pomimo młodego wieku mężczyzna dziś nie jest w stanie przejść kilku kroków bez zadyszki. – Teraz czeka na przeszczep serca – wyjaśnia Piotr. – Dylemat czysto etyczny: jeżeli lekarz nie przyjdzie z powodu choroby, jego współpracownicy, mimo przeciążenia pracą, będą musieli zająć się także jego pacjentami. A jeżeli jednak przyjdzie, może być źródłem zakażenia dla ciężko chorych pacjentów. Co zrobić w takim przypadku?

ÓSMA PRZEPROWADZKA

Przedwojenny budynek na starym Żoliborzu tonie w słońcu. Piotr mieszka tu od półtora miesiąca. – Przez cały okres studiów i na stażu wynajmowałem pokoje za 500-600 zł. Przeprowadzałem się osiem razy. Ostatnio w Brwinowie właścicielka mieszkania oszczędzała i słabo ogrzewała pokoje, a łazienki w ogóle nie – mówi Piotr.

Teraz wynajmuje piękny pokój: przestronny, z parkietem w jodełkę i szafą o eleganckim fornirze. Wypożyczenie staroświeckie, bo mieszkała



tu kiedyś wiekowa pani. Jedynie kuchnia zabudowana jest nowoczesnymi szafkami i urządzeniami. Urszula i jej siostra Helena wynajęły to mieszkanie kilka lat temu. Obie, podobnie jak Piotr, studiowały medycynę na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym. Urszula i Piotr byli nawet w jednej grupie, Helena rozpoczęła studia dwa lata wcześniej. Zawsze się kolegowali. Urszula wiele razy organizowała domówki dla studentów z roku, więc Piotr znał już to mieszkanie.

Kiedy 13 października musiał przebrać głodówkę, Piotr postanowił wspomagać głodujących. Miał urlop, mógł go rozdysponować, jak chciał. Nie wrócił do wynajętego pokoiku w Brwinowie, spał u znajomych, czasem u siostry na Służewcu. A rano zjawiał się w szpitalu, w którym trwał protest. 30 października Ogólnopolski Związek Zawodowy Lekarzy zdecydował, że głodówki w całym kraju zostaną zakończone. Tego dnia kończył się także staż Piotra w szpitalu w Grodzisku Mazowieckim. I co dalej? – pomyślał. Zadzwoił do Urszuli i zapytał, czy mógłby wynająć pokój. Siostry się

zgodziły, przyjęły go bardzo serdecznie. – Siedzieliśmy razem i rozmawialiśmy o tym, co się wydarzyło, jakie są dalsze perspektywy po proteście rezydentów – wspomina Piotr. – Byliśmy dumni z tego, co osiągnęliśmy, w końcu udało się przebić do opinii publicznej z informacją, że ten system jest chory nie z powodu lekarzy, tylko z powodu kosmicznych zaniedbań od wielu lat. Pokazaliśmy, co trzeba zmienić, gdzie są słabe punkty i że zmiany muszą zajść szybko, inaczej czeka nas katastrofa. Byliśmy zli na ministra Radziwiłła, który jest lekarzem, a który próbował nas skłócić zarówno z rządem, jak i ze społeczeństwem. Pozostał straszny niesmak. Niemniej jednak dalej będziemy walczyć o polskiego pacjenta i polską ochronę zdrowia. Wierzyliśmy i wierzymy, że możemy leczyć na światowym poziomie, a nawet te poziomy wyznaczać.

JEDEN GARNEK

Nie prowadzą wspólnej kuchni. Czasami się zdarza, że razem usiądą do posiłku, ale zwykle to się nie udaje. Najważniejszym urządzeniem dla siostr jest zamrażarka. W plastikowych

pudełkach zamrożone na kość zupy i drugie dania czekają na swoją kolej. Praca lekarza pochłania tyle czasu, że nie ma go już na gotowanie. Piotr też dorzuca co nieco do zamrażarki, zwykle kiedy wraca od rodziców z Częstochowy. Mówi, że dla niego najważniejszym sprzętem w kuchni jest ekspres, bo nie wyobraża sobie początku dnia bez kawy w wielkim kubku. Nie ma

Wielu moich przyjaciół słyszy w pracy: „Nie obchodzi mnie, czy będziesz chory, czy umierający. Masz przyjść!”.

zamiłowania do kucharzenia, robi to bez większej frajdy. – Najbardziej lubię przygotowywać dania jednogarnkowe – twierdzi. – Na przykład ostatnio kupiłem 3 kilo topatki wieprzowej w promocji. Po 9 zł kilogram. Kawałek posypałem przyprawami, podsmażyłem, do garnka dorzuciłem warzywa, gotowałem tak długo, aż mięso zaczęło się rozpadać. Miałem jedzenia na dwa dni. Ale moje popisowe danie to chili con carne.

Piotr lubi usiąść z Urszulą i Heleną przy kuchennym stole i wypić wieczorną herbatę, a przy okazji porozmawiać o życiu, o radościach, ale też

o problemach lekarzy i pacjentów, o Porozumieniu Rezydentów, zakończonym proteście, dzisiejszych i przyszłych planach batalii o lepszą sytuację ochrony zdrowia. Kiedy Porozumienie Rezydentów zostało reaktywowane, Piotr i Urszula zaangażowali się w jego działalność. Gdy zrodził się pomysł protestu głodowego, oboje postanowili wziąć w nim udział. Wspierali się.

Urszula skończyła głodówkę po kilku dniach. Była jedną z osób, które w czasie manifestacji lekarzy pod Kancelarią Prezesa Rady Ministrów przemawiała ze sceny do zebranych. Popłakała się.

INFORMATYKA A ŻYCIE

Piotr kontaktuje się z pozostałymi uczestnikami głodówki na Facebooku. Dzięki temu wie, co się u nich dzieje. Najbardziej żyta jest 20-osobowa grupa, która rozpoczęła protest. Czasem się spotykają. Piotr nie słyszał, żeby któryś z protestujących miał jakieś trwałe zmiany zdrowotne. Choć podczas protestu bywały dramatyczne chwile, kiedy okazywało się, że ktoś ma niebezpiecznie podwyższone ciśnienie albo objawy żółtaczki.

– W zasadzie wszyscy, którzy brali udział w proteście od początku, aktywnie działają w Porozumieniu Rezydentów – opowiada Piotr. – Niektórym po powrocie z protestu sugerowano w szpitalu, że nie powinni brać udziału w czymś takim. Ale nie słyszałem, by kogoś zwolniono z pracy. Wiem jedynie, że jednemu koledze szpital wypowiedział dyżury kontraktowe.

Początek listopada był czasem oczekiwania. Do 31 października stażysty, którzy chcieli odbywać specjalizację, musieli się zgłosić na rezydenturę. Każdy mógł podać pięć wybranych szpitali, w kolejności od najbardziej pożądanego do najmniej. Cztery spośród tych, które podał Piotr, to placówki w Warszawie. Było więc bardzo prawdopodobne, że ten pokój u Urszuli i Heleny nadal mu się przyda. Ale nie miał pewności, czy w ogóle zostanie gdzieś zatrudniony jako rezydent. ▶

Piotr Matyja (pierwszy z lewej) w czasie protestu głodowego, 5 października 2017 r.



► Nawet nie był pewien, czy prawidłowo wystąpił zgłoszenie.

– W tym roku po raz pierwszy zgłoszenia na rezydenturę należało wysłać przez internet. Moim zdaniem system informatyczny jest fatalnie zrobiony, nieprzejrzysty, zawieszał się – wspomina Piotr. – Nikt właściwie nie miał pojęcia, jak to funkcjonuje. W urzędach wojewódzkich mówiono jedno, w Ministerstwie Zdrowia drugie, a w serwisie podawano jeszcze co innego. Był taki bałagan, że nikt nie wiedział, czy ktokolwiek dostanie rezydenturę. Ja się tak zestresowałem tą nową procedurą, że trzy razy wysyłałem zgłoszenie, a potem je kasowałem, bo bałem się, że popełniłem jakiś błąd. Na szczęście się udało. Niestety, nie powiodło się Ulce. Wypełniła wprawdzie zgłoszenie, ale go nie wysłała, a jedynie zapisała. Dlatego jej wniosek nie był brany pod uwagę. Słyszałem, że takich przypadków jest więcej.

Znów będzie głośno o lekarzach. Specjaliści i rezydenci masowo wypowiadają klauzulę opt-out.

Nie ma żadnej procedury odwoławczej. Jeśli ktoś nie wystąpił zgłoszenia, musi czekać do wiosny na następny nabór. Urszula bardzo przeżyła ten swój błąd. Będzie musiała podjąć jakąś pracę, żeby mieć z czego się utrzymać. Może uda się jej znaleźć pracę jako lekarz? Zaczęła też się zastanawiać nad wyjazdem do Niemiec.

– Jedna z moich koleżanek z protestu dostała propozycję odbycia rezydentury w dobrej niemieckiej klinice – mówi Piotr. – Byłem ostatnio na targach pracy. Z wielu krajów przyjechały na nie firmy, które szukają lekarzy chętnych pracować jako rezydenci. Były propozycje właściwie dla wszystkich specjalizacji. Z Wielkiej Brytanii, Danii, Niemiec, Skandynawii. Ja nie planuję wyjazdu za granicę, ale na wszelki wypadek uczę się niemieckiego. Właściwie przypominam sobie ten język, bo kiedyś znałem go perfekcyjnie. Poza tym znam dobrze angielski i hiszpański. W ramach programu Erasmus rok studiów spędziłem na uczelni w Hiszpanii.

PIERWSZY WŁASNY PACJENT

Zwykle lista rezydentów była publikowana 15 listopada. W tym roku – z racji informatycznej rewolucji – w województwie mazowieckim opu-

blikowano ją 24 listopada. Niektóre województwa zrobiły to jeszcze później. Piotr dostał pracę jako rezydent w Szpitalu Nowowiejskim. Gmach robi przynębiające wrażenie z powodu surowych murów z czerwonej cegły. Ale nie na Piotrze. Dla niego to miejsce, do którego idzie z radością i pasją. Przez najbliższe pięć lat będzie tu leczył pacjentów pod okiem starszych kolegów, by w końcu zostać psychiatrą. Wybrał oddział ogólnopsychiatryczny, na którym jest ok. 40 pacjentów. – Przy podpisywaniu umowy o pracę poprosiłem o skierowanie mnie właśnie na ten oddział, bo wiedziałem, kto tam pracuje. I udało się! – cieszy się Piotr. – Zostałem przyjęty bardzo ciepło. Pracuje tam moja koleżanka, która robi już trzeci rok rezydentury – bardzo mi pomaga i wprowadza w tajniki psychiatrii. Ale nie tylko ona, wszyscy są bardzo mili i pomocni. To niezwykle ważne,

np. z powodu stażu czy kursu. Mam nadzieję, że już w grudniu dostanę swojego pierwszego pacjenta. Czy się denerwuję? Oczywiście, czuję lekki niepokój, bo po raz pierwszy będę lekarzem prowadzącym. Z drugiej strony jestem bardzo podekscytowany, bo jak najszybciej chciałbym zacząć leczyć ludzi. W szpitalach psychiatrycznych to nie są proste przypadki. Nikt z powodu byle głupstwa tu się nie znajduje. Jestem przekonany, że mogę liczyć na pomoc starszych kolegów.

Na razie Piotr żyje za pożyczone pieniądze, bo w listopadzie nic nie zarobił, a z 1,2 tys. zł ostatniej pensji stażysty musiał zapłacić 500 zł za pokój. Kiedy więc pytam go, czy bywa w żoliborskich knajpkach, uśmiecha się. Trochę głupio się przyznać, że musiałby wybierać między kawą a kilogramem łopatki na obiad. Jako rezydent w grudniu dostanie ok. 3,2 tys. zł na rękę – tyle zarobią rezydenci szkolący się w 20 priorytetowych specjalizacjach, pozostali – znacznie mniej. Czy wtedy zaszaleje? Nie.

– Zostałem tak nauczony w domu, że muszę myśleć o przyszłości, planować kilka kroków do przodu – wyjaśnia. – Dlatego postanowiłem z każdej pensji odkładać pieniądze na sfinansowanie kursów. Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego określa dokładnie, jakie kursy i szkolenia powinien odbyć rezydent każdej specjalizacji. Bez nich rezydentura nie zostanie zaliczona.

Jeśli szkolenie jest poza Warszawą, trzeba jeszcze opłacić hostel albo hotel, wyżywienie w barze. Rezydent sam musi te koszty pokryć.

W pewnym sensie dzięki protestowi rezydentów Piotr został pracownikiem naukowo-dydaktycznym na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym. Z tego tytułu – bo dostał pół etatu – też będzie otrzymywał wynagrodzenie. Ale to raczej splendor oraz możliwość sprawdzenia się jako wykładowca i autor prac naukowych niż źródło zarobkowania. A co tu ma do rzeczy głodująca? Na początku października głodujących odwiedziła psychiatra dr Maja Polikowska-Herman z WUM, która współpracuje ze słynnym psychiatrą prof. Bartoszem Łozą. Kiedy dowiedziała się od Piotra, że zgłosił się na rezydenturę z psychiatrii, dłu-



bo rozpoczęcie specjalizacji oznacza dużą zmianę w życiu, do tego psychiatria jest bardzo specyficzną i obciążającą dziedziną.

Od 2 października, kiedy rozpoczął się protest rezydentów, aż do 30 listopada Piotr nie musiał żyć pod presją czasu. Teraz musi.

Wstaje ok. 6.45, wypija kawę, do pracy wychodzi o 7.20. Do stacji metra ma rzut beretem. Wysiada na przystanku Politechnika. Przychodzi do szpitala, podpisuje listę obecności, wiesza kurtkę w pokoju lekarskim. O 8.00 zaczyna pracę. Na początku zawsze jest odprawa lekarska. O 15.35 kończy pracę.

– Ustawowy wymiar pracy rezydenta to siedem godzin i 35 minut – wyjaśnia. – Może się zdarzyć, jeśli będzie taka potrzeba, że będę pełnił dyżur. Na razie jednak nie dyżuruję, bo muszę nabrać doświadczenia. W końcu na dyżurze wszystko może się zdarzyć, od agresji na oddziale, przez ciężkie zatrucia, do specyficznych dla psychiatrii zespołów zagrażających życiu. Na razie też nie mam swoich pacjentów. Zajmuję się pacjentami innych lekarzy, kiedy oni są nieobecni,



Zamrażarka jest bardzo ważnym sprzętem w domu młodego lekarza.

go z nim rozmawiała o jego pasjach, o neuronaukach, fizjologii mózgu, ośrodkowym układzie nerwowym... Po jakimś czasie przyszła ponownie i spytała, czy chciałby być asystentem prof. Łoży. Piotr był wniebowzięty. Czeką teraz na moment, kiedy studenci, z którymi ma prowadzić zajęcia, będą mieli blok poświęcony psychiatrii.

LEKARZ CZY NIEWOLNIK?

– Znowu będzie głośno o lekarzach – mówi z przekonaniem Piotr. To przeświadczenie płynie stąd, że trwa akcja wypowiedziania przez lekarzy specjalistów i rezydentów klauzuli *opt-out*. Wprowadzono ją w 2008 r. na okres przejściowy, po którym nasza służba zdrowia miała dorównać standardom europejskim. A ponieważ wskaźniki dotyczące liczby lekarzy na 1 tys. mieszkańców były u nas najniższe w Unii Europejskiej, zdecydowano, że lekarze będą znacznie intensywniej eksploatowani.

Lekarz w krajach rozwiniętych pracuje na jeden etat, zarabia na godne czy nawet zamożne życie, ma czas na dokształcanie, wypoczynek, życie rodzinne. Jego odpowiednik w Polsce zgodnie z umową o pracę w publicznej służbie zdrowia ma pracować tygodniowo 37 godzin i 55 minut, czyli pięć dni w tygodniu po siedem godzin 35 minut. Tygodniowa norma pracy może być zwiększona do 48 godzin, czyli lekarz może mieć co tydzień dodatkowo 10 godzin i pięć minut dyżuru. Jeśli podpisze klauzulę *opt-out*, może dyżurować częściej. Podpisując

ją, rzeka się ograniczenia czasu pracy wprowadzonego przez kodeks. Ochroniarz nie może pracować 400 godzin miesięcznie, ale lekarz, którego praca jest nieporównanie bardziej wyczerpująca i odpowiedzialna, może.

Rezydenci, których alarmy o tym, że ochrona zdrowia niebawem będzie w zapaści, okazały się głosem wołającego na puszczy, postanowili wykorzystać do walki o wyższe nakłady właśnie wypowiedzianie klauzuli *opt-out*. – Poprzez tę akcję chcemy uświadomić, że są poważne braki kadrowe w ochronie zdrowia – mówi Piotr. – Mam wrażenie, że rządzący ciągle udają, że tego problemu nie ma.

Minister Radziwiłł na wieść o wypowiedzianiu klauzuli *opt-out* zagrzmiął: – Wezwania do *de facto* redukcji pracy w stosunku do pracowników służby

Postanowiłem z każdej pensji odkładać pieniądze na sfinansowanie kursów i szkoleń, jakie musi odbyć rezydent.

zdrowia, zwłaszcza lekarzy, uważam za skandaliczne i haniebne. Odbieram zapowiedzi, że lekarze będą pracować mniej, jako uderzenie w podstawy etyki lekarskiej.

Piotr uważa, że haniebne jest mówienie tak o lekarzach. – Mój kolega powiedział, że chcielibyśmy dostać od pana ministra wytyczne, do ilu godzin pracy to jest haniebne, a od ilu chwalebne. Nie rozumiem: jeśli ma się etat i pracuje tyle, ile przewiduje Kodeks pracy, to jest haniebne?

W szpitalu dziecięcym na Banacha z dodatkowych dyżurów zrezygno-

wała jedna trzecia personelu, w szpitalu w Grodzisku Mazowieckim na klauzulę *opt-out* nie zgodził się żaden lekarz. Kolejni lekarze w całym kraju wypowiadają klauzulę. Dokładnie nie wiadomo, ile osób to zrobiło. Na pewno ponad 3 tys. rezydentów, do tego lekarze specjaliści. Ci, którzy zgłosili to w listopadzie, już od 1 stycznia 2018 r. będą pracować najwyżej 48 godzin tygodniowo. To spowoduje znaczne perturbacje w szpitalach.

– Ja nie podpisałem klauzuli *opt-out* – zaznacza Piotr. – Ale są osoby, które nie mogą jej wypowiedzieć ze względu na sytuację materialną, bo mają np. kredyty mieszkaniowe albo samotnie wychowują dzieci.

Środowisko lekarskie będzie wspomagać osoby, które wypowiedziały klauzulę *opt-out*. Jeśli z tego powodu znajdą się w trudnej sytuacji życiowej, mogą wystąpić o zapomogę do komisji socjalno-bytowej w okręgowych izbach lekarskich, członkowie OZZL – do swojego oddziału terenowego. Wspierać ich będzie także Fundacja Lekarze Lekarzom.

MIŁOŚĆ

Piotr nie ma dziewczyny. Jego ostatni związek rozpadł się, bo związki lekarzy jego zdaniem bardzo trudno utrzymać. Za to nie ma problemu, gdzie spędzić Wigilię – wiadomo, że u rodziców. I nie ma planów na sylwestra.

– Nie pasowaliśmy do siebie – mówi krótko o minionym związku. – Z jednej strony dobrze mieć obok siebie osobę, która zna specyfikę pracy lekarza, łatwiej się z nią porozumieć.

Jednocześnie każda z tych osób jest całkowicie pochłonięta pracą. Zdarza się, że lekarze pracują po 300, a nawet 400 godzin w miesiącu. Znam takie pary, które wzięły ślub i przestały się widywać. Spotykają się w domu raz w tygodniu. Ludzie czują się samotni i bardzo chcą mieć kogoś przy sobie. Na poszukiwanie pracy potrafią poświęcić miesiąc albo dwa, tymczasem osobą bliską często wybierają pochopnie, bo tak bardzo jej potrzebują. Tak naprawdę znalezienie tej drugiej osoby to najważniejsza sprawa w życiu.

Ewa Rogowska

Helena Leman

Początek grudnia, pociąg z Tczewa do Chojnic sunie w ciemnym, leśnym tunelu. Za stacją Gutowiec tunel nagle się kończy. Lasu nie ma, tylko kikuty drzew po obu stronach torów. Na stacji w Rytlu kilku robotników łata papę na budynku dworcowym. Obok, na wysokim, zabytkowym gmachu, który na początku XX w. był planowany jako dworzec kolei berlińsko-królewieckiej, też dopiero zaczęli kłaść dach. – Żeby tylko zdążyli przed śniegiem – martwi się Janina Grzonka, lokatorka z parteru. – Nie wiem, czemu tak wolno im to idzie, może pieniędzy nie mają albo dekarzy brakuje. Wielu majstrów wyjechało za granicę, a ci, co zostali, mają tak dużo zleceń, że pracują często w kilku miejscach naraz.

Rodzina Grzonków z pomocy rządowej dostała 500 zł na remont pozaciekanej kuchni i 1 tys. zł z fundacji kolejowej z Warszawy na naprawę zalanej kotłowni. Jednak dopóki dachu nie ma, remontu nie robią.

Emerytce Irenie Bruskiej, sąsiadce Grzonków z pierwszego piętra, w remoncie pomaga syn. – Jakoś to będzie – pociesza się gospodyni. – Jak zaczęli roboty na tym dachu, to przecież je skończą. Wyrwało w nim trzy dziury i zważyło komin, najbardziej ucierpiały kuchnia i łazienka. Jak runął wicher, to cała chałupa się trzęsła. Dostałam 1 tys. zł z pomocy państwowej i 2 tys. od proboszcza. Wszystko rozliczyłam fakturami, 1350 zł zapłaciłam hydraulikowi, 900 zł wziął elektryk, a 1 tys. zł kafelkarz. Wsparcie duże nie jest, ale są ludzie w gorszej sytuacji. Moja 80-letnia sąsiadka, co pod dachem mieszkała, wyprowadziła się do córki, bo jej mieszkanie to ruina.

W KONTENERZE

Kontenery stanęły w Rytlu dwa, na podwórku rodziny Kosiedowskich i Schmidtów, trzeci miał trafić do pani Ewy, ale proboszcz dał jej mieszkanie w organizstwie. Kobieta będzie budować dom na wiosnę, otrzymała prawie pełną kwotę z pomocy rządowej (stawka na budynek mieszkalny wynosi do 200 tys. zł).

– Już w sierpniu nadzór budowlany stwierdził, że nasz dom nie nadaje się do zamieszkania – mówi Monika Ko-



Zniszczony dom rodziny Schmidtów.

ZIMA POD FOLIĄ

Mamy dach nad głową głównie dzięki ludzkiej solidarności – mówią mieszkańcy terenów zniszczonych przez wicher

siedowska. – Burmistrz gminy Czersk zaproponowała nam mieszkanie socjalne w Zapędowie, 10 km stąd. Odmówiliśmy, bo tu mamy działkę, budynek gospodarcze, nie mogliśmy tego tak zostawić. W październiku sołtys wystąpił o kontener dla nas. Chcemy zdążyć z remontem domu przed mrozami, bo zima w kontenerze może być ciężka, już teraz uszczelniamy okna kocami.

W kontenerach najdroższe jest ogrzewanie, butla gazu, która wystarcza na cztery-pięć dni, kosztuje 150 zł. Rodziny dostały na ten cel po 10 tys. zł z funduszu wojewody.

Irena Schmidt wciąż odkłada przeprowadzkę do kontenera. Na razie mieszkają w nim jej synowie. Mówi, że ludzie wytykają ją palcami, bo dostała zbyt wiele: 37 tys. od państwa i drewniany domek od sponsora. – Tego domku jeszcze nie mam, mają go stawiać dopiero w styczniu – tłumaczy. Kobieta wychowuje piątkę dzieci, w tym jedno niepełnosprawne.

BYŁE DO WIOSNY

Wzdłuż rozjeżdżonej drogi z Rytle do wsi Młynki w gminie Czersk ciągnie się drzewny wał, wysoki na kilka metrów. Drogę blokują ciężkie samochody z przyczepami, na które wielka

łapa dźwigu kładzie potężne bale. Ludzie mówią, że prace trwają tu od rana do wieczora. Kilometr dalej, w lasach prywatnych, cisza, czasem tylko przerywana jękiem samotnej piły.

Pan Jan z Młynek ma 8 ha powalonego lasu i sprzęta go własnymi siłami. – Pracujemy we trójkę, ja, syn i jego kolega – wyjaśnia. – Oni ścinają, ja wyciągam drzewo traktorem. Na uporządkowanie lasu mamy czas do listopada 2018 r. Jeśli co miesiąc wysprzątam hektar, powinniśmy zdążyć. Żeby tylko nie przyszła śnieżna zima, bo wtedy wyrąb trzeba będzie przerwać. U nas ziemie są słabe, szóstej klasy, wielu gospodarzy jeszcze za PRL decydowało się na zalesienie, żeby uniknąć obowiązkowych dostaw. Mój brat, który ma 20 ha zniszczonego lasu, wynajął firmę. Ale one tak kombinują, że rolnik nawet 30% zysku z tego drewna nie będzie miał.

Gospodarz początkowo z rządowej pomocy otrzymał tylko 3 tys. zł na naprawę dachu domu, po interwencji w urzędzie gminy kwotę zwiększono do 6 tys., dostał też 9 tys. na zabudowania gospodarcze. Ubezpieczalnia nie zapłaciła nic, bo gospodarstwo jest w przebudowie, budynki w stanie surowym nie mają odbioru technicznego, a starą stodołę zakwalifikowano do rozbiórki.

– Ponieważ pomoc rządowa na budynki gospodarcze była do 100 tys., liczyłem chociaż na 30 tys., ale się przeliczyłem – mówi. – Dlatego remont planuję dopiero na wiosnę, jak ubieram środki. Kupiłem już materiały budowlane, część dostałem też od darczyńców, brakuje mi jeszcze paru rzeczy, np. wiatrownic, gąsiorów i łat. W budynkach trzymam krowy i prowadzę hotel dla koni. Pięć koni klienci zabrali, bo nie chcieli, by stały zimą pod folią. To dla mnie strata prawie 3 tys. zł miesięcznie, mniej więcej tyle, ile wynosi rata kredytu, jaki wziąłem na rozbudowę gospodarstwa. Obiecywano, że poszkodowani przez nawałnicę rolnicy część dopłat bezpośrednich dostaną wcześniej, do 16 października, a tu nic. Pozostają jeszcze odszkodowania z Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Otrzymałem właśnie stamtąd pismo, że „przyczyną niezafatwienia mojej sprawy w terminie jest jej złożony charakter”. Decyzja ma zostać podjęta do 29 grudnia.

Softys Lotynia z sąsiedniej gminy Chojnice, Arkadiusz Kubczak, potwierdza, że wielu rolników prowizorycznie zabezpiecza uszkodzone budynki, z remontami wstrzymują się do wiosny: – Zdejmowanie całego dachu przy tak niepewnej pogodzie to duże ryzyko, zwłaszcza gdy nie ma się pieniędzy w garści i majstrów na podwórku.

Pan Jan z synem stawiają na agroturystykę. Planują budowę krytej ujeżdżalni dla koni. Choć lasów już nie ma, są przekonani, że ludzie i tak do Młynek przyjadą, dla uroku tego miejsca i kontaktu ze zwierzętami. A tych w gospodarstwie nie brakuje. Schody przed domem obsiadły puchate koty, po podwórku ganiają dwa czarne pieski, które urodziły się zaraz po nawałnicy w wielkiej dziurze po wyrwanym

wjeździe do wioski zabezpieczony niebieską folią chlew, po przeciwnej stronie szosy na murowanym budynku gospodarczym też błękitnie folia. Robert Szmagliński, właściciel zrujnowanego chlewu, jest zdenerwowany. – Dziesięć razy chodziłem po różnych urzędach i mam dość! – ucina.

Jego matka i żona tłumaczą, że oprócz chlewu zniszczona została stodoła. Zniszczeniu uległo też pół hekta-



Czy Nikola ubierze choinkę już w wyremontowanym domu?

ra lasu i 4 ha pszenicy, którą wichura sprasowała jak żelazkiem. Do tej pory rolnik otrzymał pieniądze tylko z ubezpieczenia. – W gminie powiedziano, że nic się nam nie należy, bo dom mamy cały. Kilka dni temu było zebranie w Lotyniu i wójt mówił, że odszkodowania po nawałnicy powoli się kończą – dodaje żona.

Szmaglińscy liczyli jeszcze na pieniądze z ARiMR, ale ich nie dostali. – Stawki agencji są następujące: 1 tys. zł od 1 ha zniszczonych upraw rolnych, 2 tys. zł od 1 ha zniszczonego lasu i maksymalnie do 10 tys. na odtworzenie budynku służącego do prowadzenia działalności rolniczej – mówi Szmagliński. Teraz obawia się, że siarczyste mrozy mogą rozsądzić namoknięte ściany chlewu. Swoją las zamierzają czyścić sami. U rodziny byli prawnicy, którzy proponowali jej założenie sprawy o odszkodowanie.

– Krążyli po całej wsi, powołując się na różne instytucje, nawet katolickie. To chyba byli oszuści, którzy szukali naiwnych – ocenia Czesława Szmaglińska, matka gospodarza.

Krystynie Ciesielskiej, sąsiadce Szmaglińskich z naprzeciwka, wiatr porwał garaż, zniszczył dach domu, spichlerz i stodołę. – Z pomocy rządowej na razie dostałam 6 tys. zł i 2 tys. z ubezpieczenia. Złożyłam w gminie wniosek o środki na budynki gospodarcze, ale nie dostałam odpowiedzi. Z agencji napisali, że sprawa zostanie rozpatrzona do końca grudnia. Ja czekać nie mogłam. Spichlerz połączony z kurnikiem musiałam naprawić, bo kury mi w wodzie stały. Teraz robię garaż i łatam dach na domu. Najgorzej będzie ze stodołą – to wielki, przedwojenny budynek, koszty jego remontu są dla mnie zbyt duże. Na razie zabezpieczyłam na nim dach; za plandekę zapłaciłam 1 tys. zł, dwa razy tyle za wysięgnik, z którego ją zakładano.

– Na budynki gospodarcze dostają środki ci, którzy prowadzili w nich produkcję rolną – tłumaczy Arkadiusz Kubczak. – Państwo Szmaglińscy nie mieli zwierząt, więc dostali odmowę, podobnie jak pani Ciesielska. Ale jej stodoła to obiekt podobno zabytkowy. Może powinna się zwrócić do konserwatora zabytków i dochodzić pieniędzy z innej puli? Gmina czy inny urząd sam do człowieka nie przyjdzie, to człowiek musi zadbać o swoje interesy, dobrze udokumentować sprawę, wykazać się przebojowością, sprytem nieraz, wręcz wychodzić te pieniądze. Inna rzecz, że niektórzy, niekoniecznie potrzebujący, próbują w tym całym zamieszaniu coś dla siebie uszczknąć.

SOLIDARNOŚĆ

Jej falę uruchomili mieszkańcy Lotynia, przebijając się nocą przez powalony las na ratunek harcerzom z obozu w Suszku. Siłę solidarności pokazali też wolontariusze komitetu społecznego z Ryta.

– Mieszkamy w domu po dziadku męża – mówi Joanna Kobierowska z Młynek. – Ponieważ nie mieliśmy uregulowanej jego własności, szanasy na pomoc rządową na budynki mieszkalne nie było, dostaliśmy tylko 6 tys. zł na pierwsze potrzeby. Dzięki operatywności softysa dach podarowała nam firma z Bydgoszczy, a 20 tys. dostaliśmy z darowizn, które wpłynęły

Zima w kontenerze może być ciężka, już teraz uszczelniamy okna kocami.

drzewie. Na rozległych łąkach za gospodarstwem od kilku miesięcy stoi woda, drugi pokos siana przepadł.

PIENIĄDZE TRZEBA WYCHODZIĆ

W odległym o 5 km od Młynek Sternowie, sołectwo Lotyń, mimo popołudniowej szarówki słysząc stukanie młotków na dachach. Przy

do gminy, to były pieniądze z Sopotu. Dotarła też do nas anonimowa wpłata. Przez dwa tygodnie mieszkaliśmy u sąsiadów, potem ktoś nam udostępnił domek letniskowy. Kobiety z wioski prały nasze rzeczy, raz przyjechał Polak z Niemiec z torbą pełną słodyczy dla dzieci. Po tym wszystkim czuję się jak-
by mocniejsza. Mamy dach nad głową głównie dzięki ludzkiej solidarności.

Rodzina ma trójkę dzieci, jedno po ciężkim oparzeniu. Daniel Kobierowski to złota rączka, budynek wyremontował sam z kolegą.

– Do naszego komitetu ludzie zgłaszali potrzeby, a my staraliśmy się je zaspokajać z pomocy darczyńców, byliśmy także w kontakcie z gminą. Raz w radiu mówiłem na przykład, że brakuje pieniędzy na remont domu państwa Kosiedowskich – od państwa dostali 20 tys. zł, a prace wyceniono na 87 tys. Za chwilę zadzwonił telefon. Mężczyzna zapytał, ile brakuje, powiedziałem, że 30 tys. zł. Przelew był natychmiastowy. Organizowaliśmy też koncerty charytatywne dla potrzebujących, takich jak pani Ewa, która mieszka w organistowce – mówi sołtys Ry-
tla Łukasz Ossowski.

– Właściciel tartaku z Gdańska przywiózł nam po palecie drzewa. Rodzinie z Nowej Cerkwi, mieszkającej po wicherze w piwnicy, ktoś dał dom w Ry-

W jednym z dwóch kontenerów w Rytle zamieszkała rodzina Kosiedowskich.



pan pułkownik, nie pamiętam nazwiska, powiedział, że wojsko jest nie do pracy fizycznej, lecz do zarządzania. Odparowałem mu, że w swojej wiosce to ja zarządzam. Sam należę do Narodowych Sił Rezerwowych. Mam tam przyjaciół, po wicherze byli akurat na ćwiczeniach, chcieli przyjechać do Łotynia, jednak dowódcy się nie zgodzili.

– Kazali wolontariuszom się odsunąć, żeby w telewizji pokazać, jak wojsko pracuje – kpił w Rytle. Obrywa się również burmistrz gminy Czersk Jolancie Fierek. – W terenie bywa rzadko, ma słabe rozeznanie, jak my tu po tej wicherze żyjemy – wytykają ludzie.

się starali zebrać ich jak najwięcej. To będzie dla nas informacja, czy ludzie chcą takiej zmiany. Ryteł był gminą do 1976 r. Z przyległymi wioskami przysłała gmina może liczyć nawet 4 tys. mieszkańców, gdy np. w gminie Czarna Woda jest nieco ponad 3 tys. Ryteł ma 120 zarejestrowanych podmiotów gospodarczych. W tegorocznym, 10-milionowym budżecie inwestycyjnym gminy Czersk dostaliśmy 80 tys. na inwestycje.

Burmistrz gminy Czersk tłumaczy, że pomoc była udzielana zgodnie z wytycznymi MSWiA. Twierdzi, że wielokrotnie wskazywała nielogiczność opracowanych przez ministerstwo tabel, ale nie pozwolono jej tego wyjaśnić na zebraniu wiejskim. Inicjatorów separacji nazywa nieodpowiedzialnymi, bo pytając mieszkańców o odłączenie, nie przedstawiają żadnej perspektywy. Dodaje, że sygnały komitetu społecznego z Rytle po wicherze, nagłaśniane w mediach, potęgowały u poszkodowanych poczucie traumy. A wpis sołtysa na lokalnym portalu, że „urzędnicy dopiero po kilkunastu dniach ruszyli »tyłki« za biurka”, był krzywdzący.

Przy stacji Ryteł-Wieś kobieta układa gałęzie. Jest z Lutomia, 8 km od Rytle. Na dach jej domu runęło drzewo, gmina poleciła jej sponsora, który po miesiącu się wycofał. Na złożenie wniosku o pomoc i znalezienie majstrów było już za późno. Kobieta dziury w eternicie fata pianką montażową, jak leje, na strychu podstawia miski. Twierdzi, że cała jej wioska przytoczyłaby się do Rytle, bo władze gminy Czersk od lat lekceważą ich potrzeby.

Helena Leman

Obiecywano, że poszkodowani rolnicy część dopłat bezpośrednich dostaną do 16 października, a tu nic.

tu – opowiadają w Sternowie. – Dwa blaszaki na garaż dostałam od harcerzy – dodaje Krystyna Ciesielska.

– Dary z Rytle trafiały do innych poszkodowanych przez wicher, np. do Sośna. Jeden z rolników, któremu poszło 20 ha lasu, ciął drzewo na swoim traku i dawał potrzebującym – mówi Irena Schmidt.

– Pomoc ludzka była większa niż pomoc państwa – podkreśla rolnik z Młynek. – Kilka dni po wicherze przyjechali do nas ludzie spod Łodzi, chyba rodziny tych harcerzy z Suszka. Pytali: czego potrzebujecie, blachy, papy, eurolali? Już sam ich przyjazd był dla nas wsparciem.

– Przez dwa tygodnie miałem w Łotyniu 150-200 wolontariuszy z całej Polski, którym zapewniałem posiłki i nocleg – mówi Arkadiusz Kubczak. – Ale gdy zadzwoniłem do ministerstwa obrony z prośbą o pomoc, jakiś

Wszyscy przyznają, że gdyby nie sprawność medialna sołtysa Rytle, problem poszkodowanych po nawałnicy nie nabrałby takiego rozgłosu i ludzka pomoc byłaby mniejsza. – U nas ta pomoc skończyła się dwa tygodnie po wicherze – mówią w Sternowie. – Do Rytle paczka nadeszła jeszcze na początku grudnia.

RYTEL SIĘ ODŁĄCZA

4 grudnia sołtys Rytle oficjalnie poinformował burmistrz gminy Czersk o rozpoczęciu zbierania podpisów pod listem poparcia w sprawie przekształcenia sołectwa Ryteł w gminę Ryteł. Nieoficjalnie mówi się, że powodem jest niezadowolenie mieszkańców z działań gminy po nawałnicy.

– Aby uruchomić procedurę, wystarczy zebrać 15 podpisów – tłumaczy Łukasz Ossowski. – My będziemy

Bez uprzedzeń



Bronisław Łagowski

W czasopiśmie „Zdanie” Henryk Szlajfer polemizuje z moimi poglądami przedstawionymi w książce „Polska chora na Rosję”. Do niektórych swoich poglądów przywiązuję dużą wagę i nie chciałbym, żeby przyłgnęły do mnie błędy, jakie Henryk Szlajfer mi przypisuje. Nie jestem znawcą literatury, ale na początek uczepię się przykładu na pozór literackiego. Autorzy kochający poezję Juliana Tuwima, pisząc o nim, starają się usprawiedliwić jego proradzieckie stanowisko, jakie zajął w czasie wojny i po wojnie. Moim zdaniem nie ma powodu do tych usprawiedliwień, ponieważ Tuwim – wzięwszy pod uwagę to, kim był, i to, co się wówczas działo – miał rację. Jego bliscy i dalsi przyjaciele, z którymi zerwał, zwy-

drugiej okupacji i stawiający na równi historyczną rolę Hitlera i Stalina. W Polsce panują poglądy tak mętne i zarazem nikczemne, że nawet Żydzi od tego głupieją.

Jak każdy prorok nie lubię, gdy się podważa moje przepowiednie. Polemista kpi ze mnie, że przewidywałem zwycięstwo na Ukrainie nacjonalistycznej partii Swoboda, a tymczasem partia przepadła w wyborach. Odpowiadam: stało się coś gorszego, niż przewidywałem, bo w tym kraju doszło do rehabilitacji, heroizacji i nietykalności banderowskiego faszyzmu. „Na Ukrainie – mówi Krzesimir Dębski, nie nacjonalista, raczej przyjaciel Ukrainy – niezwykle szybko odradza się nacjonalizm postbanderowski. Powszechnie w podręcznikach,

CZY NARODY MAJĄ HONOR?

cięstwa Armii Radzieckiej przyjmowali z ambiwalentnymi uczuciami lub jednoznacznie źle jako wydarzenia niepomysłne dla Polski. Mamy mnóstwo świadectw mówiących, że rząd londyński i jego otoczenie każdą wygraną przez Rosjan bitwę przyjmowały jako polską klęskę, co drażniło Anglików. Dla Tuwima najbardziej tragiczne i bolesne było to, co teraz nazywamy Holokaustem, postanowioną i wykonywaną przez Niemców, których teraz nazywamy nazistami, Zagładę narodu żydowskiego. Nie było innego środka na uratowanie Żydów, jak tylko zwycięstwo Armii Radzieckiej. Kto był wobec losu Żydów obojętny lub przyjmował postawę relatywistyczną, temu brakowało ludzkości. Rusofobia oślepiła Polaków nie tylko na oczywistość, że duża część narodu polskiego znajdowała się niemal w takim położeniu jak Żydzi. I nikt prócz Rosjan nie mógł ich uratować. W potwornym więzieniu, jakim była zamojska Rotunda – biorę przykład, z którym byłem najbardziej osłuchany – grupowych egzekucji dokonywano każdego dnia aż do 21 lipca 1944 r. Nieszczęścia wojenne były i są relatywizowane, inaczej żydowskie, inaczej polskie. Winston Churchill w swoich kilkutomowych pamiętnikach z czasów wojny Zagładzie Żydów poświęca kilka, może kilkanaście zdań. Można powiedzieć, że miał on dużo wojennych kłopotów na głowie i Zagłada była wśród nich *Le Penowskim détail*. Dla de Gaulle’a to nawet nie był *détail*, bo w swoich „Pamiętnikach wojennych” losowi Żydów nie poświęcił ani jednego zdania. W miarę upływu czasu, zmiany wrażliwości, rozszerzania i pogłębienia wiedzy Holokaust przesunął się coraz bardziej w stronę wydarzeń centralnych. Julian Tuwim tak widział sprawy, gdy się działy, natomiast ci, co go „usprawiedliwiają” (albo i nie), swoje przekonania opierają na pewniku, że przyjscie wojsk rosyjskich było drugą okupacją, a nie ocaleniem. Nikt nie mówi, że gdy się naród ocala, to mu się obiecuje błogostan.

Młody człowiek posłany na śmierć w celu obrony rządu demokratycznego (czy rzecz warta śmierci?), w sytuacjach beznadziejnych nazywanego ojczyzną, może sobie pozwolić na swobodne przebiegi uczuć w rodzaju „zbaw nas, czerwona zarazo”, a jak nas zbawisz, „powitamy cię z odrazą”, ale jakie jest położenie narodu, którego rząd i elita intelektualna ma taki mętlik w głowie?

Nie problemem politycznym, lecz zagadką psychologiczną są dla mnie polscy Żydzi, którzy urodzili się po wojnie, wyznający teorię

w literaturze i w publicystyce wtłacza się go Ukraińcom do głów. Rozszerza się kult Bandery. (...) To co się dziś dzieje, jest zdumiewające i straszne”. W tych warunkach jakie znaczenie ma wygranie lub przegranie wyborów przez partię Swoboda? I jeszcze raz została draśnięta ambicja proroka. Polemista cytuję moje zdanie na dowód, że w moich tekstach pomyłki gonią błędy. „Obawiam się – pisałem – może przedwcześnie, że w następstwie przyjęcia Ukrainy do NATO część terytorium rosyjskiego razem z Sewastopolem znajdzie się w rękach Amerykanów. (...) Minister Sikorski obiecuje umierać za Sewastopol”. Wielu politologów zachodnich przewidywało taki obrót spraw i tego obawiali się Rosjanie. Mogli czekać, aż to się stanie, ale istnieje coś, co się określa jako samonegująca się prognoza.

Nigdy nie wypowiadałem się przeciw Ukrainie, zawsze przeciw ukraińskiemu faszyzmowi, a teraz widzę, jak niebezpieczny jest ukraiński mesjanizm, który na papierze przypomina polski, ale w rzeczywistości jest czymś innym, ponieważ posiada środki działania i możliwych protektorów, przy których polska dyplomacja jest prawie niczym. Z tym mesjanizmem będziemy mieli do czynienia i ciekawi mnie, gdzie będziemy szukać sojusznika, bo za oceanem chyba nie.

Wracam do spraw rosyjskich, w których Polacy są maniakami. „Trudno znaleźć w naszych dziejach wydarzenie bardziej epokowe niż powrót do macierzy Śląska z Wrocławiem, Pomorza Zachodniego, Ziemi Lubuskiej i Warmińskiej. Odwrócony został tysiącletni bieg historii, który wypchnął Polskę z jej piastowskiej kolebki i przesunął na wschód”. Napisał to Jan Nowak-Jeziorański, którego Polacy uznali za nauczyciela narodu. Żeby nie wypaść z roli tego nauczyciela, Jeziorański radzi, żeby starać się zapomnieć, kto w rzeczywistości dokonał tego epokowego wydarzenia, i przypisać je kard. Hlondowi i jego kościelnej administracji, o co mniejsza.

Czy stosunki między narodami układają się tylko według racji stanu, czy grają też rolę czynniki moralne? Myślę, że zachodzi również to drugie. Skoro dopuszcza się chęć zemsty pod nazwą sprawiedliwości historycznej, to tym samym prawem narody mogą być winne sobie wdzięczność. Polacy, którzy nie poczuwają się do tego uczucia wobec narodu, któremu zawdzięczają „epokowe wydarzenie” (nie będziemy mówić w kółko o ocaleniu, bo do spłodzonych po wojnie to nie przemawia), mogą być widziani jako nacja nieco podława.



**VINCENT V.
SEVERSKI**

Rozmawia Robert Walenciak

Dlaczego ludzie, kończąc pracę w wywiadzie, zaczynają pisać? Potrzebują adrenaliny?

– Ja już przed pójściem do wywiadu chciałem być pisarzem. Pisałem różne cuda. Rozsyłałem to po gazetach, ale one nic z tego nie opublikowały. Potem dostałem się do wywiadu i okazało się, że nie mogłem lepiej trafić. Tam mogłem pisać. Scenariusze, reportaże, charakterystyki. Napisałem tego wiele tysięcy stron. Problem w tym, że czytelników miałem z reguły trzech: szefa, naczelnika, dyrektora. A to były bardzo fajne historie. Po tym wszystkim imperatyw pisania zostaje. A z drugiej strony czasami przychodzi depresja i pisanie jest na nią sposobem.

Pisząc, przeżywa pan te historie?

– Przeżywam. Postacie, które są w książkach, mają swoje pierwowzory. Opisywane historie są w znacznej części oparte na autentycznych wy-

SZPIEG W TWOIM DOMU

Historia dotycząca Kuklińskiego, którą CIA oficjalnie prezentuje, jest funta kłaków warta, stworzono mit bohatera

darzeniach. Piszę z doświadczenia. Ale wiem, co mogę pisać, a czego nie mogę.

Czy doświadczenie dyktowało panu wątek z oficerem SWZ Popowskim? On musi uciec z Rosji, żeby ocalić życie, bo brał udział w nieudanym spisku. Musi komuś się sprzedać. I wybiera Wolskiego, swojego polskiego przeciwnika, z którym zawsze walczył. Mówi mu: ciebie znam najlepiej, wiem, że nie jesteś kupiony, więc mnie nie zdradzisz.

– A zastanawiał się pan, dlaczego tak jest, że jak ktoś chce zdradzić własny kraj, to zapycha od razu do Brytoli?

Bo go nie sprzedadzą?

– Dokładnie. Chociaż wywiad brytyjski MI 6 KGB złomotało jak mało którą służbę świata. A jednak Rosjanin, kiedy chce zdradzić, przede wszystkim idzie do nich. Na tej zasadzie, że wie, że go nie zdradzą, że będą go chronić. Innymi słowy – Oleg Gordijewski żyje. Natomiast cały czas ma wyrok śmierci wydany

w Moskwie, gdyby go dopadli. Cudów nie ma.

A Litwinienko?

– Litwinienko to była egzekucja pokazowa. Publiczna egzekucja zdrajcy na oczach całego świata. Żeby utrzyć nosa brytyjskim służbom, mediom, Wielkiej Brytanii. Dlatego dostał polonem. Gdyby chcieli go tylko zabić, toby go przejechała ciężarówka. Albo zmarłby w niewyjaśnionych okolicznościach. Na sto sposobów. Ale załatwili Litwinienkę polonem. Po pierwsze, sam pracował w dziale trucizn. Po drugie, chodziło o to, żeby umierał na oczach całego świata. Bo po polonie umiera się długo i ciężko. I to jest nie do wyleczenia. A jeszcze zabójcy zostali nagrodzeni członkostwem w Dumie Państwowej.

NIELEGALNI. Trzech na stu

Jak się zostaje nielegalnym?

– Jest bardzo głęboka selekcja. Trzeba być człowiekiem o określonych predyspozycjach. I trzeba pasować do modelu – bo albo szukamy człowieka, którego można przypasować, albo mamy człowieka, któremu dorabiamy legendę. Ale to trudna robota. Ze stu szkolonych nielegalistów do akcji wchodzi może trzech. Tylko najbogatsze wywiady świata mogą sobie na to pozwolić. Wyszukanie, przygotowanie, stworzenie mu całej legendy, historii życia... Potem przerzut. Dla Rosjan bardzo dobrym terenem była Ameryka Południowa, tam agentów naturalizowano i przetrzucano dalej.

Był też kanał przez Polskę.

– Był. Kwintesencją niech będzie ta opowieść: w Niemczech niedawno skazano za szpiegostwo małżeństwo 60-latków. Ale wywiad niemiecki doskonale wiedział, że to nie

są Niemcy, tylko Rosjanie. Wiedział nawet, jak się nazywają. Oni w Brukseli prowadzili agenturę wywiadu rosyjskiego. Przez cały proces nie odezwali się ani słowem, oboje siedzieli w milczeniu na ławie oskarżonych. Zostali skazani, Rosja za nimi się nie ujmowała. Ale po zakończonym procesie ludzie z rosyjskiego wywiadu szybko się zgłosili i zabrali ich do Moskwy. Jaką trzeba mieć psychikę, jak bardzo być człowiekiem wierzącym, żeby podczas procesu cały czas milczeć!

Wierzyli w swoją służbę, której oddali całe życie.

– Generalnie wywiad rosyjski zawsze werbował młodo. Inwestuje się w dwudziestoparolatków, którzy mają szansę na karierę, bo powiązania rodzinne, bo inteligencja. Pokazuję te schematy w książkach. Młody, rojącący, dobre perspektywy, jeszcze nie daje informacji, ale kiedyś będzie kimś. Wywiad rosyjski planuje na 10, 15, 25 lat naprzód.

Polacy mają we krwi cwaniactwo, krętactwo, złodziejstwo. To są cechy bardzo przydatne w werbowaniu agentury.

Bo nikt tego jeszcze nie rozpieprzył.

– I nie rozpieprzy. Bo to specyficzny kraj. Bez silnych służb specjalnych, bez wywiadu nie ma Rosji. Służby w tym kraju są jak antybiotyki. Bo innych mechanizmów nie ma. Tak było też za carskiej Rosji. To jest ciągle ta sama służba. I oni w międzywojniu, kiedy były czasy wielkich nielegalistów, zasadzali ich na rozmnożenie. W Stanach Zjednoczonych. Dziś tam żyją ich wnukowie. Kim są? Nie wiemy. Jest znana sprawa 11 złapanych w USA rosyjskich nielegalistów.

To było w roku 2010, Anna Chapman...

– Wpadli, bo doszło do zdrady. Ale to wierzchołek góry lodowej. Choć ilu ich jest – nie wiemy. Mają swój życiorys, historię. Tak jak ta para brytyjska, której nastoletnie dzieci nie wiedziały, że mama i tata to Marina i Sasza.

A pański syn o panu wiedział?

– Kiedy skończył 18 lat, powiedział mu, kim jestem. „A! – odparł. – Od razu, ojciec, wiedziałem, że z tobą jest coś nie tak. To dyplomata, to dziennikarz, to bezrobotny, to biznesmen... Ale dumny jestem z ciebie”.

NIEWIERNI. Kogo werbują Rosjanie?

W pana książkach Rosjanie plasują swoich ludzi w Polsce. Ale po prawej stronie. Dlaczego nie po lewej?

– Dla Rosjan nie ma lewej czy prawej strony. Są interesy. Jaka dzisiaj jest Rosja? Są tam i pop, i Stalin; i gwiazda, i dwugłowy orzeł.

Wszystko mają. Rosjanom jest obojętne, czy Rosja jest biała, czerwona, czy różowa. I o Polsce też tak myślą – nieważne, jaka jest, ważne, żeby była po ich stronie. A lewica nie była po roku 1989 ich naturalnym partnerem – bo zakochała się w Zachodzie. Budować tutaj cokolwiek było już trudno, więc zaczęli po drugiej stronie. Wywiad rosyjski, już w wolnej Polsce, z tych informacji, które docierały ze świata służb, bardzo intensywnie pracował w prawicowych środowiskach.

Trochę z przymusu...

– Główny problem polegał chyba na tym, że rosyjski wywiad nie działał ofensywnie w PRL. Tu mieli całe państwo, po co więc werbować? Natomiast nie mam najmniejszej wątpliwości, że ostro pracowali w opozycji.

Wie pan to z pracy w Wydziale XI?

– Nie. Ja to wiem dzisiaj – wtedy nie wiedziałem. Nie mieliśmy żadnych kontaktów z Rosjanami. To były takie czasy. Dziś z Amerykanami mamy bliższą współpracę niż wtedy z nimi. Zresztą po to powstała szkoła w Kiejkutach, żeby się uniezależnić.

Czy w latach 80. Solidarność była mocno rozpracowywana przez inne wywiady?

Vincent Viktor Severski (Włodzimierz Sokołowski) – oficer Departamentu I MSW (wywiad), UOP i Agencji Wywiadu, emerytowany podpułkownik, pisarz. Po szkoleniu w Kiejkutach w 1982 r. rozpoczął pracę w Wydziale XI Dep. I MSW (dywersji ideologicznej), zajmującym się m.in. kontaktami zachodnich służb z Solidarnością. Po roku 1990 pozytywnie zweryfikowany, zwolniony z wywiadu. Po powrocie przeszedł przeszkolenie w CIA. Uczestniczył w ok. 140 przedsięwzięciach operacyjnych w prawie 50 państwach. Odszedł ze służby w 2007 r.

Wielokrotnie odznaczany i wyróżniany przez władze Polski, Izraela, Wielkiej Brytanii i USA, m.in. Legią Zasługi przez prezydenta Baracka Obamę.

Autor czterech szpiegowskich bestsellerów: „Nielegalni”, „Niewierni”, „Nieśmiertelni”, „Niepokorni”. W marcu ukaże się jego najnowsza powieść „Zamęt”.

► – Oczywiście, że tak. Jako Wydział XI zajmowaliśmy się aktywami zagranicznymi i generalnie stykiem Solidarności ze światem zachodnim, więc to widzieliśmy. Solidarność to był taran, który rozwalił komunę. Nie armia amerykańska. Dlatego praca na kierunku Solidarność-zachodnie wywiady była najważniejsza. Oni też tak uważali.

Oni, czyli kto?

– Znam chłopaków z CIA, z innych służb, przyjaźnimy się. Od nich wiem, że była międzynarodówka służb. Wszystkich ówczesnych służb

stan wojenny, w Langley było wielkie uf: koniec komuny w Polsce! Koniec! A jeszcze jak się okazało, że Rosjanie nie weszli, że Jaruzelski robi to sam... Super dla nich! Po pierwsze, podciął skrzydła partii. Ideowe fundamenty tego państwa legły więc w gruzach. Oni patrzyli na to jak na pucz, na juntę. Im to odpowiadało. I wiedzieli, że jest już tylko kwestią czasu, kiedy to się zawali. Teraz trzeba było mądrze pracować z opozycją demokratyczną i z innymi ośrodkami, aby rozkładać PRL u podstaw. Aby to gniło.

Nie werbujemy normalnych ludzi, normalni się nie dają. Werbujemy tych, którzy mają wady. Wywiad je odkrywa.

demokratycznych, które pracowały nad Polską, a więc Solidarnością. Aby doprowadzić do rozłożenia Polski. I zrobić to tak, żeby nie wybuchło. Bo mogłoby wybuchnąć i mogła być z tego nawet wojna światowa.

Wywiady tak działały?

– Zawsze tak działały. A Majdany to co? Jeden i drugi. Same z siebie tak się zorganizowały? Nie bądźmy dziećmi. Opozycja na Białorusi... Ujawniono niedawno, że jakieś niemieckie pieniądze miał jej przekazywać nasz wywiad.

Polski wywiad miał przekazać opozycjonistom na Białorusi pieniądze od niemieckiego wywiadu. Sęk w tym, że te pieniądze gdzieś zniknęły. Stąd awantura.

– Coś niebywałego! Kto by przypuszczał, że takie rzeczy mogą się zdarzyć? (śmiej) W naszych czasach. W latach 80., to Polska była jak dziś Białoruś. Opowiadali mi szwedzcy oficerowie, że ich wywiad niestęchanie intensywnie obserwował, co się działo w Polsce podczas pierwszej Solidarności, a potem w latach 1988-1989. Mieli nastawione nasłuchy na stocznię i całe Wybrzeże. A szwedzki wywiad elektroniczny to potężna instytucja. I byli przerażeni niektórymi sytuacjami. Zaostrzenie sytuacji na Bałtyku, zablokowanie cieśnin duńskich i dla Szwecji zaczęła się gra o życie!

NIEŚMIERTELNI. Koledzy ze służb

A gdy przyszedł stan wojenny?

– To wiem od kolegów, oficerów CIA – kiedy Jaruzelski wprowadził

I nie dał pan rady obronić socjalizmu.

– Myśmy widzieli, co się dzieje. Dokładnie. I nie płakałem za PRL. Miałem 33 lata.

Koledzy z CIA, koledzy z wywiadu szwedzkiego, Rosjanie... Ma pan sporo tych przyjaźni.

– Znamy się, nawet rodzinnie. Ale bywało tak, że po spotkaniu rodzinnym każdy zasuwał do siebie i pisał notatkę, czego się dowiedział.

Ile jest w pańskim świecie blagi, a ile prawdy? Mówi się, że są dwa zawody blagierów: pierwszy to rybacy, a drugi szpieg.

– Nie, są trzy zawody: pisarze, szpiegi, rybacy... U nas, w naszym zawodzie, manipulacja, kłamstwo, które się nazywa legendowaniem, to narzędzie pracy. W dodatku bardzo ważne. Trzeba się nim posługiwać. Jest jak skrzypce – trzeba umieć na tym grać. I musi być z tego muzyka.

Bohaterowie moich książek mają swoje pierwowzory. Opisywane historie są oparte na autentycznych wydarzeniach.

Ale to tylko narzędzie pracy. Jeżeli oficer przestaje dostrzegać magiczną granicę między sztuką a życiem prywatnym bądź zawodowym, wypada z zawodu. Ginie. Jak cma pali się w ogniu. Szpieg, który zaczyna kłamać niestęchanie, przestaje być szpiegiem. Oficer, który pisze notatkę ze spotkania z agentem, musi ją napisać jak najuczciwiej. Chodzi o to, żeby dać informację taką, jaka jest. Prawdziwą. Nawet gdyby była najgorsza. A co politycy z tym

robią... To jest trzecia część oficera – chłodny umysł, twarda dupa. Bo jak widzi, co tam na górze robią z naszymi informacjami, to musi być naprawdę silnym człowiekiem, żeby nie pieprzyć tego wszystkiego i nie pójść gdzieś.

Pisze pan o tym.

– To odwieczny problem z pogranicza służb i polityki – jaka jest jakość ekipy, która rządzi, a więc kogo nam dają na szefa. Bo to jest człowiek, który łączy te dwa światy. I zawsze są z tego problemy.

Wtedy ludzie plotkują, zamiast pracować.

– Bo to mała służba. Ilu nas jest? Można czasem przed młodzieżą ukryć to czy tamto. Ale młodzież jest bystra.

NIENORMALNI. Werbujemy tych, którzy mają wady

Czy ludzie z wywiadu przechodzą szkolenia, jak być fajnym? Żeby uwieść drugiego człowieka?

– W wywiadzie agenturalnym, tak ogólnie, są dwa rodzaje działań. Pierwszy – żeby zdobywać informacje. To czysty humint (*Human Intelligence* – rozpoznanie osobowe, kategoria danych wywiadowczych opracowanych na podstawie informacji zbieranych i dostarczanych przez źródła osobowe – przyp. red.). A drugim są operacje specjalne. W tym przypadku oficerowie zdobywają informacje bezpośrednio. Istotą takiego wywiadu jak polski jest humint. Bo mamy ograniczone możliwości. Poza tym Polacy mają to we krwi: cwaniactwo, kręctwo, łódziejstwo. I to są cechy bardzo

przydatne w werbowaniu agentury. Werbunek agentury prowadzi werbownik. To *crème de la crème* oficera operacyjnego. Doświadczony oficer, ma ileś wtop, ileś sukcesów. I ma talent do tego – żeby robić ludziom wodę z mózgu, nawijać bawełnę, przekręcić. Namówienie kogoś, żeby zdradził własny kraj, rodzinę, nie jest łatwe. I jeszcze żeby wierzył, że robi dobrze! Bo w dzisiejszych czasach nie werbuje się agentury na tzw. kompromatach. Dlatego że dobry



Mit Kuklińskiego – to było dobre do zrobienia filmu „Jack Strong”.

Zachodzie niczym się nie wyróżniają, ich angielski jest nie do odróżnienia.

NIEUFNI. Łatwiej Finom werbować

Amerykanie mówili, że w Polsce łatwo im się werbowało.

– Nie ma takiego wzorca, że tych się werbuje łatwo, a tamtych nie. Są okoliczności, które sprzyjają tzw. procesowi werbunkowemu.

Rozpad państwa?

– Tak! Okres rozpadu, konfliktu. Dzisiejsza sytuacja w Polsce z pewnością sprzyja innym wywiadom, ułatwia pracę operacyjną. A także jest imperatywem do działania. Bo sytuacja zrobiła się niestabilna. Nie wiadomo, w którą stronę Polska idzie. Jaka ona jest teraz, to wiedzą dziennikarze. Ale jaka będzie za 5-10 lat, tego muszą się dowiedzieć szpiecy. I muszą wypracować dla swoich rządów pakiet informacyjny, który da ten obraz. Tak jak Rosja – nie jest już ważne, jaka będzie teraz, ważne, co będzie po Putinie. Wszystkie wywiady pracują nad tym, co będzie potem. To się robi w ten sposób. Na przykład okres „małej smuty” w Rosji, czasy jelicy-

agent musi chcieć pracować. Jeśli nie chce, będzie kłamał, kluczył...

Albo pójdzie do swojego kontrwywiadu.

– Dlatego musi chcieć pracować. Ale jak wytłumaczyć np. Rosjaninowi, żeby zdradził swój kraj dla dobra demokracji zachodniej? Albo chińskiemu generałowi, że demokracja to wolność? Dlatego werbownik musi mieć talent. W każdej służbie jest paru takich. To są najdrożsi oficerowie. To są bogowie. Nie rozpracowują sami człowieka, dostają gotowy produkt. Zapoznają się, podrzucają sugestie. A potem idą na ostatnie uderzenie. Twarzą w twarz.

Bo już znają słabości tej drugiej osoby?

– Nie werbujemy normalnych ludzi, normalni się nie dają. Ja byłem werbowany i tylko się roześmiałem. My werbujemy tych, którzy mają wady naturalne. Większość ludzi ma wady, tylko nieodkryte. A wywiad odkrywa, co w tym gościu jest nie tak. Podstawą jest odkrycie potrzeb człowieka, jego hierarchii ważności. Większość ma różne niezaspokojone potrzeby – finansowe, erotyczne, psychiczne, chcą być ważni, chcą coś sobie udowodnić, komuś coś pokazać. Kiedy to wiemy – wykorzystujemy. Jeżeli wiemy, że ma konflikt z szefem, że jeden drugiego utopiłby w szklance wody, możemy mu pomóc.

I ten ktoś zawiera pakt z diabłem.

– Są tacy, którzy sobie mówią: będę agentem idealnym, nikt mnie

nigdy nie złapie. Całemu światu pokażę, rozwalę to wszystko! A na zewnątrz uśmiechnięty, kulturalny, miły pan. Ojciec rodziny. Czasami dobry wywiad stwarza określoną sytuację, tworzy się wokół człowieka otulinę sytuacyjną. Dziecko mu zachoruje albo zachoruje on sam. My wiemy wcześniej, że jest chory. Mamy lekarstwo! Mówię w przenośni... I wtedy się uderza. A na końcu zawsze jest: OK, ale ile będę za to dostawać?

Kukliński został przez CIA wykorzystany. Pokazano całemu światu: patrzcie, z nami warto pracować! I o to w tym chodzi.

Czyli agent chce połączyć przyjemne z pożytecznym.

– Nawet jeżeli nie poprosi, to mu się daje. Każdy bierze.

A potem kontrwywiad go łapie, bo ma za dużo pieniędzy.

– I to jest właśnie problem z Koreą Północną (śmiech). Wie pan, kiedyś było przecież tak, że wielkie kontrakty gazowe podpisywało się za butelkę whisky i rajstopy dla żony. I było OK. A dzisiaj trzeba procent dać.

Drogo...

– Dzisiaj bardzo trudno kupić kogoś, kto ma wartościowe informacje. Weźmy oficerów wywiadu rosyjskiego – doskonale opłacani, prestiż w społeczeństwie, pozycja, wykształcenie. My to dziady przy nich! Chłopaکی przechodzą na Wall Street, do City, od razu idą na przykrycie. Na

nowskie, to była orka wywiadowcza. Cały świat tam cesał, jak się da. To nie było łatwe. Rosjanin jest bardzo trudnym człowiekiem do zwerbowania. Istotne też, przez kogo... Łatwiej zwerbować Rosjanina Finom niż Polakom.

Dlaczego?

– Dlatego że Rosjanie bardzo szanują Finów. Finowie nigdy ich nie poniżali, a przecież spuścili im lanie, jak mało kto.

W wojnie zimowej 1939-1940.

– Nigdy nie mordowali jeńców. Często jeńcy sowieccy pierwszy raz się najedli w niewoli fińskiej. W wojnie kontynuacyjnej (1941-1944) Mannerheim doszedł do Karelii, a dalej już nie, chociaż mógł. Dlatego Leningrad się utrzymał. Bo Finowie nie poszli dalej. Choć Hitler naciskał. ▶

► A Mennerheim na to, że zabrali to, co stracili w wojnie zimowej, i więcej ich nie interesuje. Natomiast do Polaków Rosjanie mają często stosunek jak...
– **Dostojewski?**

– Igor Strawiński, który sam pochodził z polskiej rodziny z Kresów, mówił, że Polacy to taki kolorowy motyl. Ładnie lata, ale do niczego nieprzydatny. Rosjanie tak to widzą. Poza tym Dostojewski, zabójstwo cara Aleksandra... Dlatego ja też nie zawsze Polakiem byłem...

Akcent pan oszukał?

– Wybierało się takie języki, w których można przykryć akcent. Da się to zrobić. W języku angielskim można zakryć polski akcent innym. Tylko trzeba wiedzieć jak.

Spiegował pan pod obcą flagą.

– A jak pan myśli, czy Turcy Greków werbują pod turecką flagą?

który został wycofany z linii, dlatego że wpadł, albo z innych powodów, musi odpracować to, co w niego zainwestowano. Każda służba to robi. Mosad nie jest dużą służbą, mniej więcej naszej wielkości, a liczba publikacji na temat Mosadu jest ogromna. Myśli pan, że to wszystko dzieje się bez ich woli?

W CIA jest specjalne biuro, które zajmuje się przygotowaniem publikacji, adiustowaniem pamiętników, wspomnień, współpracą z dziennikarzami...

...działaniami PR.

– I z Kuklińskim jest bardzo podobnie. Ta historia dotycząca Kuklińskiego, którą CIA oficjalnie prezentuje, jest funta kłaków warta. To było dobre do zrobienia filmu „Jack Strong”. Ale szpiegowi tamtej historii

cza. Agenci to nie są ideowcy, to są czarne podniebienia. Nie spotkałem ani jednego, który pracowałby z wyższych pobudek. Raport Macierewicza ma inny skutek, wewnętrzny, w Polsce. Dotyczy pracy obywateli ze służbami. Nasza praca to nie tylko agentura. To są setki, o ile nie

Dzisiejsza sytuacja w Polsce sprzyja innym wywiadom, ułatwia pracę operacyjną.

tysiące, obywateli polskich, którzy z nami współpracują z pobudek patriotycznych, nie finansowych. Bez ich pomocy nie rozpracujemy żadnego agenta. Musimy mieć kolegę, znajomego, jakiegoś sąsiada, który da sygnał. Tymczasem po raporcie Macierewicza nastąpiła zapaść. Zwracaliśmy się: panie Stanisławie, pomoże pan? On szedł do domu, a żona mu na to: będziesz później w telewizji, palcem cię będą wytykać, po co ci to? I później przychodził i się tłumaczył: no, chciałbym, ale widzi pan, co się dzieje. I koniec. A my sami nic nie wiemy. Bez wsparcia społeczeństwa służba jest ślepa i głucha.

Wydział Q, którego akcje opisał pan w czterech książkach, to zamknięta historia?

– Trzy tysiące stron historii. Więcej się nie da. Czas na coś innego, choć starzy bohaterowie też się pojawiają, na drugim, trzecim planie. Ale oczywiście utrzymuję klasyczny schemat – dobrzy oficerowie, źli politycy. Jak w westernie. To jest trochę odzwierciedlenie naszej rzeczywistości.

Robert Walenciak

Każdy agent wycofany z linii, bo wpadł, albo z innych powodów, musi odpracować to, co w niego zainwestowano.

No, nie. Pewnie pod brytyjską lub amerykańską. Albo rosyjską...

– I wtedy chowanie akcentu się przydaje. Bardzo dużo jest agentów, którzy – jak im się wydawało – szczerze pracowali dla wolności, dla największej demokracji świata. Gwarantuję panu, że szło to gdzie indziej.

NIECHCIANI. Agentura i PR

– A Kukliński? Oficjalna wersja mówi, że napisał list z ofertą szpiegowania i wysłał go do konsulatu USA. Wierzy pan w to?

– Wielokrotnie o tym mówiłem i powtórzę jeszcze raz. Każdy agent,

się nie sprzeda. Gdy młodzi oficerowie przychodzą do Kiejkut, pytamy ich: Kukliński? Oni na to: o, świetny agent! Pouczą się rok i już mówią: cholera, tak to nie wygląda. Kukliński został wykorzystany w stosunku do Polski, stworzono mit bohatera. Pokazano całemu światu: patrzcie, z nami warto pracować! Do nas możecie przyjść! O to w tym chodzi. My tak dobrze nie mamy. My sami musimy podchodzić. Zresztą znani jesteśmy z tego i w świecie cenieni.

Raport Macierewicza na temat WSI zepsuł wam pracę?

– Jak ktoś chce zdradzić, nie przejmuje się raportem Macierewi-



Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 9 grudnia 2017 r. zmarł

Franciszek Bobrowski

wiceprzewodniczący
Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych,
senator RP V kadencji

Wyrazy głębokiego współczucia rodzinie Zmarłego

składają
organizacje członkowskie, kierownictwo i pracownicy OPZZ

9 grudnia 2017 r. zmarł

Franciszek Bobrowski

wiceprzewodniczący
Ogólnopolskiego Porozumienia Związków
Zawodowych,
członek Rady Fundacji „Wsparcie”.

**Wyrazy głębokiego współczucia
rodzinie Zmarłego**

składa
Wiesław Jacenty Krzyżanowski
Prezes Zarządu Fundacji „Wsparcie”
z pracownikami

Z Galicji



Jan Widacki

Czasem bardzo trudno jest zrozumieć coś oczywistego. Co więcej, okazuje się, że czasem coś, co oczywiste dla jednej osoby, nie jest tak samo oczywiste dla kogoś drugiego. Gdy każdy ma swoją oczywistość sprzeczną z oczywistościami sąsiadów, konflikt gotowy. Tym gwałtowniejszy, im bardziej sąsiedzi są przekonani, że właśnie ich oczywistość jest oczywista – jak mawia klasyk. Bo jeśli oczywistość jest oczywista, a sąsiad jej nie uznaje, to znaczy, że albo błądzi i trzeba go na dobrą drogę sprowadzić, czyli przekonać do swojej oczywistości, albo okazuje wyraźnie złą wolę i wtedy trzeba go jako wroga unicestwić. A ponieważ błędzący najczęściej nie daje się przekonać do naszej oczywistości, *ergo* wykazuje złą wolę, trzeba go – patrz wyżej.

Polskie pojmowanie polityki to nawracanie siłą na swoje oczywistości, a jeśli ktoś nawrócić się nie daje, trzeba go zniszczyć. Nie da się (jeszcze) fizycznie, to przynajmniej moralnie. Najlepiej wykluczyć go z narodowej wspólnoty, zarzucić mu zdradę (najlepiej z historycznym odwołaniem do targowicy).

Kaczyński prawo do swoich poglądów i uważania czegoś za oczywiste, ale identyczne prawo mają inni. Nikt nie ma prawa narzucać pozostałym swojego poglądu, swoich wartości, uznania za oczywiste tego, co jemu akurat wydaje się oczywiste. Polityka to sztuka mądrego kompromisu, a nie postawienia na swoim za wszelką cenę. Tak politykę definiował zmarły niedawno Zbigniew Brzeziński. Zachodnia liberalna demokracja, od której teraz w Polsce tak gwałtownie odcina się PiS, wymaga społeczeństwa pluralistycznego, otwartego. Takiego, gdzie każdy ma prawo do swoich poglądów, ale polityka musi być wypadkową wszystkich tych pluralistycznych poglądów. Gdzie dominuje dyskusja, wyważanie racji, a nie pouczenie i dyktat tego, kto w ostatnich wyborach uzyskał parę procent głosów więcej niż pozostali.

To, co zabija demokrację wewnątrz państwa, rodzi też konflikty z sąsiadami. Próby zmuszania sąsiadów do przyjęcia naszych oczywistości w historii i polityce muszą się zakończyć konfliktem.

OCZYWISTA OCZYWISTOŚĆ

A jeśli oczywista oczywistość ma jeszcze placet Kościoła, to tak jakby Pan Bóg był członkiem naszej partii. Kiedyś Dostojewski pisał: „Jeżeli Boga nie ma, to wszystko wolno”. Miał rację. Ale też gdy ktoś jest przekonany, że w polityce ma Boga po swojej stronie, to wszystko mu wolno. Dlatego wojny religijne zawsze (od średniowiecza po wiek XXI!) były najokrutniejsze – bo każda ze stron była przekonana, że Bóg jest po jej stronie, więc wszystko jej wolno. Wszystko wolno, bo *Gott mit uns*.

Nie chcę się wdawać w rozważania teologiczne, ale głos toruńskiej rozgłośni to naprawdę nie głos Pana Boga z niebios. Nawet głos biskupa, wypowiadającego się w sprawach politycznych (lub pirotechnicznych), głosem Boga nie jest. Tymczasem wielu Polaków tak, zdaje się, sądzi. Dlatego mamy to, co mamy. Polskę podzieloną na pół, wzajemnie się nienawidzącą i zwalczającą.

Wszyscy przekonani o tym, że mają oczywistą rację (jedynie słuszną), są niebezpieczni. Oni muszą doprowadzić do konfliktu. Społeczeństw konfliktowych, takich, w których część chce koniecznie nawrócić pozostałych na swoje oczywistości, i w polityce wewnętrznej, i w zagranicznej, jest w naszej części Europy, o słabych tradycjach demokracji, dużo. To naprawdę źle wróży.

W krajach o utrwalonej demokracji z góry zakłada się, że nikt nie jest posiadaczem prawdy absolutnej, że niczyja oczywistość nie jest jedyną i jedynie słuszną. Każdy ma prawo do swojej oczywistości, ale zarazem obowiązek szanowania innych oczywistości. To nie relatywizm moralny, lecz pragmatyzm i poszanowanie innych poglądów. To tolerancja, obecna w Polsce w XVI w. (później już było tylko gorzej!), i pluralizm. Nieodrodne elementy demokracji. Mają o. Rydzyski i Jarosław

Błądne pojmowanie polityki – jako sztuki postawienia na swoim za wszelką cenę – rodzi konflikty wewnętrzne, dzieli Polskę. Z drugiej strony powoduje nasze osamotnienie na arenie międzynarodowej, konflikty z wszystkimi sąsiadami, z innymi członkami Unii Europejskiej i z nią samą.

To, co dla niektórych z nas – zwłaszcza w historii – wydaje się oczywiste, niekoniecznie jest takie dla Litwinów, Ukraińców czy Niemców. Skoro my mamy prawo żądać od nich uznania naszych oczywistości, oni mają identyczne prawo żądania tego od nas. Żądania, abyśmy uznali ich oczywistości. Jak z tego wyjść? Wyjść trudno. Łatwiej w to nie wchodzić. Najwyższy czas dać sobie spokój z polityką historyczną i zabrać się do polityki prawdziwej. Polityki, w której liczą się przede wszystkim pragmatyka, aktualne interesy i perspektywa przyszłości. A historią niech się zajmują historycy, a nie niedouczeni politycy, którzy wprowadzicie dopiero w czasie obrad sejmowej komisji śledczej dowiadują się o istnieniu carycy Katarzyny, ale chętnie formułowałiby politykę historyczną wobec Rosji.

Ale idą święta. Może pozwolą nam na kilka dni oderwać się od polityki, coraz głupszej i coraz obrzydliwszej. Może przy wigilijnym stole rodziny choć na chwilę zapomną o dzielących je poglądach, ciocia pisowa przełamie się opłatkiem z wujkiem platformersem, a zięć narodowy katolik z teściem komuchem... Może proboszcz na pastercie w czasie kazania wspomni o miłości bliźniego i za sprawą Ducha Świętego pojmie, że uchodźca to jednak nasz bliźni. A pan prezydent w noworocznym orędziu powie wreszcie coś mądrego... Nie jest to jednak ani pewne, ani tym bardziej oczywiste. Tak czy owak, Wesołych Świąt!

Jan Widacki



JARMARK NA PRZEKÓR

Najbardziej zatłoczony berliński jarmark na Alexanderplatz.

Paweł Drąg
Korespondencja z Berlina

19 grudnia 2016 r. W stolicy Niemiec trwają *Weihnachtsmärkte*, tradycyjne bożonarodzeniowe jarmarki. Około godz. 15.45 40-tonowa ciężarówka Scania zostaje uprowadzona przez 24-letniego Tunezyjczyka Anisa Amriego. Kierowcą auta jest Polak Łukasz Urban. Sposób jazdy samochodu uchwycony przez kamery monitoringu wskazuje, że kierowca stracił panowanie nad pojazdem. Napastnik ma nóż, a także broń małokalibrową. Kilkanaście minut po godz. 20 ciężarówka z polskimi tablicami rejestracyjnymi wjeżdża w tłum na Breitscheidplatz przy kościele Pamięci w dzielnicy Charlottenburg. Ginie 12 osób, a według kilku źródeł rannych jest od 49 do 56. Polak zostaje odnaleziony w kabinie pojazdu. Według ustaleń policji Łukasz Urban najpierw otrzymał ciosy nożem, a następnie został zastrzelony. 20 grudnia do zamachu przynajmniej Państwo Islamskie. Dwa dni później Tunezyjczyk ginie zastrzelony przez mediołską policję.

Kilka miesięcy po zamachu kontrowersje wciąż nie milkną. Politycy

Niemcy zjednoczyli się po ubiegłorocznym zamachu i tłumnie odwiedzają świąteczne targowiska

z Berlina przekonują, że można było go uniknąć. Policja podsłuchiwała rozmowy Anisa Amriego parę miesięcy przed zdarzeniem. Wynikało z nich, że handluje narkotykami, co powinno być wystarczającym powodem do zatrzymania. Tuż przed zamachem został sporządzony raport, w którym przekonywano, że Amri może być niebezpieczny. Nie zdecydowano się

dów policji wydaje się wyjątkowo długa. Ustalenia trwają, a sprawy nie można uznać za zamkniętą.

9 grudnia 2017 r. Przechadzałem się po Breitscheidplatz. W całym mieście co roku organizowanych jest kilkadziesiąt jarmarków, choć do tych najbardziej znanych zalicza się ok. 20. Ten, gdzie doszło do tragedii, wydaje się najpiękniejszy, mimo że ma mocną konkurencję – jarmark w Spandau. W tym roku Breitscheidplatz jest wyjątkowo mało zatłoczony, chociaż niemieccy politycy przekonują, że powinno go odwiedzić równie wiele osób co rok temu. Nie mam żadnego problemu z przemieszczaniem się wokół bud oferujących tradycyjne niemieckie pyszności, wśród których

W Berlinie co roku organizowanych jest kilkadziesiąt jarmarków.

jednak na podjęcie stanowczych kroków i w niemieckojęzycznych przekazach medialnych trudno o solidną argumentację, dlaczego tak postąpiono. Szef klubu parlamentarnego CDU/CSU Volker Kauder niedawno opowiedział się za powołaniem przez Bundestag specjalnej komisji śledczej do wyjaśnienia uchybień berlińskich władz w sprawie zamachu. Lista błędów

dominują *Currywurst*, grzańce i owoce w czekoladzie. Wejście na jarmark nie jest strzeżone przez umundurowanych policjantów. Okrążam je kilka razy, ale dostrzegam tylko dwa wozy policyjne – w sporym oddaleniu, tak jakby funkcjonariusze nie chcieli wprowadzać dodatkowej nerwowości. Tak też będzie na każdym jarmarku, który odwiedzę. Poli-

cja, owszem, jest, ale w niewielkiej liczbie, daleko, nienarzucająca się, by jak najmniej osób zwróciło na nią uwagę. To jednak tylko pozory. Zdecydowanie więcej funkcjonariuszy będzie działać po cywilnemu. Jarmarki są obserwowane również przez 24-godzinny monitoring.

Język polski słychać z każdego zakamarka Breitscheidplatz. Polacy nie tylko tłumnie odwiedzają jarmark, ale także sami na nim handlują. Mijam *Polnische Produkte*, kilka budek dalej Polka sprzedaje żelki, owoce w czekoladzie i wielkie lizaki. Pytam, czy trochę się boi. Uśmiech gaśnie na jej ustach. Rzuca szybkie „każdy się trochę boi” i ucieka w drugi kąt stoiska, zanim zacznę zadawać kolejne pytania. Podobnie będzie później, gdy będę próbował rozmawiać po niemiecku. Możliwe, że ludzie zwyczajnie są już zmęczeni rozmowami na ten sam temat.

W dniu otwarcia jarmarku wiele telewizji z całego świata zdecydowało się nadawać na żywo transmisję z tego wydarzenia. Odbęło się też nabożeństwo w pobliskim kościele, podczas którego zapalono 12 gromnic symbolizujących ofiary zeszłorocznego zamachu. Niemieccy oficjale z każdej strony apelowali, by nie dać się zastraszyć terrorystom i nie rezygnować z tradycji, do której należy odwiedzanie bożonarodzeniowych jarmarków. Na ulicach wokół głównego placu rozmieszczono betonowe zapory, mające uniemożliwić wjazd samochodów.

19 grudnia Breitscheidplatz będzie zamknięty. Tego dnia zostanie tu odsłonięty pomnik ofiar zamachu.

W niedzielę 10 grudnia na podziemnym parkingu niedaleko jarmarku została znaleziona reklamówka z ok. 200 fabrycznie opakowanymi nabojami do broni kalibru 7,65 mm. Nieopodal jest meczet, co potęguje tłumiony dotychczas strach. O zdarzeniu poinformował cały medialny świat, przypominając od razu o Poczdamie, gdzie na początku roku rozbrojono ładunek wybuchowy wypełniony gwoźdźkami. Niemiecka policja wydała komunikat, w którym zbagatelizowała problem, wskazując, że takie sytuacje zdarzają się bardzo często i jest wielce prawdopodobne, że ktoś robił porządki i znalazł coś na strychu. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że atmosfera nerwowości

będzie się utrzymywać aż do zakończenia jarmarków.

Na Alexanderplatz zapory są opakowane jak świąteczne prezenty z kokardką lub bożonarodzeniowe gwiazdy. Dzięki temu nie rzucają się w oczy i nie budzą niepokoju. Zastanawia mnie, że nikt nie próbuje sprawdzić zawartości mojego plecaka. W sobotni wieczór główny plac Berlina odwiedzają tysiące osób. Nie można swobodnie przejść, a sam jarmark jest maksymalnie zatłoczony, co kontrastuje z wrażeniem, jakie wywołuje jarmark w Charlottenburgu.

Stoję w długiej kolejce ludzi, którzy są blokowani przez tych stojących z przodu. Wręcz nie sposób się dopchać do stoisk. Dla potencjalnego terrorysty okoliczności nie mogłyby być bardziej sprzyjające. Następnego dnia rano jest niewiele lepiej. Odwiedzam jeszcze Friedrichstrasse, Jannowitzbrücke, Gendarmenmarkt oraz kilka pomniejszych. Tylko na Gendarmenmarkt zostaje poproszony o pokazanie zawartości plecaka. Co jakiś czas czuję też na sobie baczne spojrzenia. Nie dzieje się jednak nic. Na szczęście. ■

„PRZEŁOMOWE ARCYDZIEŁO”
Lindsey Bahr, ASSOCIATED PRESS

JUŻ NA 4K ULTRA HD, BLU-RAY I DVD!

DUNKIERKA

© 2017 Warner Bros. Entertainment Inc. All rights reserved.

ZAPRASZAMY DO SALONÓW empik i na empik.com

PARTNERZY MEDIALNI

Men's Health POLSKA HISTORIA marfan T3 Multikino Militarial IGN FILMWEB WP

MISJA SENATOR EWY

Ewa Dziedzic jest jedną z czworga Zielonych w parlamencie Austrii i wielką nadzieją na odrodzenie partii

Beata Dżon-Ozimek

Korespondencja z Wiednia

Telefonów, wyznaczonych terminów Ewa Dziedzic ma teraz więcej niż zwykle. Od początku kariery politycznej w partii Zielonych była jedną z najpracowitszych i najbardziej znanych opinii publicznej postaci, m.in. jako rzeczniczka praw człowieka, mniejszości seksualnych i kobiet. Bardzo aktywnie angażowała się w kampanię obecnego prezydenta Austrii, Alexandra Van der Bellena. Zdaniem obserwatorów austriackiej sceny politycznej w ciągu roku pochodząca z Małopolski Ewa Dziedzic stanie się drugą osobą w partii.

Ewa urodziła się w 1980 r. w małopolskich Proszowicach. Gdy miała 10 lat, rodzice z nią i jej siostrami wyemigrowali do Austrii. Po studiach politologicznych, filozoficznych i publicystyce na Uniwersytecie Wiedeńskim obroniła doktorat z filozofii. Pracowała naukowo, ale jej żywiołem jest działanie. Twórczyni i szefowa organizacji pozarządowych na rzecz migrantów, praw kobiet, mniejszości seksualnych. Najpierw referentka w Klubie Parlamentarnym Zielonych, potem w 2010 r. – radna XX Dzielnicy Wiednia, trzy lata później delegatka na krajowy kongres partii. Została rzeczniczką Kobiet Partii Zielonych w Wiedniu, a w 2015 r. – senatorką w austriackim parlamencie. Od 2016 r. jest krajową rzeczniczką Kobiet Partii Zielonych.

Z wielu stron słyszy: „To jest karma, przez tyle lat byłaś skuteczna, tyle pracujesz, nikomu nogi nie podstawiłaś, to twoja szansa”. Ewa Dziedzic, teraz w najważniejszej ósemce odbudowującej partię, podchodzi z chłodną głową do różnych sugestii. Bezpośrednia, uśmiechnięta, konkretna 37-latką zaznacza: – Nie muszę

się ścigać. Zawsze działałam w dobrej wierze.

Zieloni po raz pierwszy od 31 lat, czyli od konsolidacji partii, nie weszli do Nationalratu, izby niższej parlamentu Austrii. Mają tylko czworo reprezentantów w izbie wyższej, Bundesradzie, wybieranych w poszczególnych landach. Senatorzy pochodzą z Tyrolu, Vorarlbergu i Salzburga, Ewa Dziedzic reprezentuje stolicę i land Wiedeń. Stając do wyborów do senatu dwa lata temu, musiała zmienić obywatelstwo na austriackie, nie mogła równolegle zachować polskiego.

JESZCZE PARTIA NIE ZGINĘŁA

„Nasza Ewa”, jak Polacy w Austrii lubią o niej mówić, chętnie wspiera działalność rodaków angażujących się w lokalną wiedeńską politykę, łączącą środowiska polonijne, również o odmiennych poglądach. Obecnie ma przed sobą najpoważniejsze w karierze politycznej wyzwanie:

Każdy, kto połamie sobie język na moim nazwisku, spojrz też dwa razy, z kim ma do czynienia.

odbudowę partii. Jest jednym z jej filarów w „klubie ośmiu”, który tworzą: czwórka senatorów, trzech członków Parlamentu Europejskiego i aktualny szef partii Werner Kogler.

Jednym z pilnych problemów do rozwiązania są finanse. Dotąd wsparcie dla klubu Zielonych wynosiło 3,4 mln euro. Teraz dotacje dla klubów parlamentarnych zależą od Elisabeth Köstinger, pierwszej przewodniczącej parlamentu z ÖVP i najmłodszej w historii kobiety na jego czele. Ani ÖVP, ani SPÖ nie mają wielkiego interesu

w odbudowaniu się konkurencyjnych Zielonych. Jeszcze nigdy w austriackiej republice nie było takiej sytuacji, żeby partia miała klub w senacie i w Parlamencie Europejskim, ale nie w izbie niższej. – Zazwyczaj partia najpierw wchodzi do Nationalratu, odpowiednika Sejmu. Dopiero gdy tam jest silna, stara się o senatorów w wyborach w landach. Wielu prawników ma

teraz twardy orzech do zgryzienia, jeśli chodzi o finansowanie naszego klubu senatorów w nowym parlamencie – przyznaje dr Dziedzic. Przewodnicząca austriackiego parlamentu zdecydowała o finansowym wsparciu dla frakcji Zielonych: od 2018 r. otrzymają 44,5 tys. euro podstawy na działalność krajową oraz 47,5 tys. euro dla parlamentarzystów rocznie.

Po trzech dekadach działalności Zieloni pozostali z 5 mln euro długu, w tym ponad połowa to dług z kampanii prezydenckiej Van der Bellena.



Wyjawszy to i koszty bieżącej działalności w terenie oraz milion gotówki na kontach – dług wynosi pół miliona. – Właśnie udało nam się porozumieć z bankiem i wyjść z wielkiego niebezpieczeństwa, choć negocjacje były ostre. Były trzy opcje, łącznie z upadłością. Wtedy musielibyśmy zakładać partię od nowa, a tego nikt nie chciał po szoku po wyborach – wyjaśnia Ewa. Wystarczy pomyśleć o utracie logo partii, marki z historią i znaczeniem.

Najbliższe pół roku Zielonych to reorganizacja, zbieranie pomysłów i inicjatyw. We wrześniu – „zjazd” partii

oddato głosy na SPÖ – przyznaje polityczka Zielonych. Im odebrała też głosy lista Petera Pilza, byłego popularnego polityka Zielonych, wyrzuczonego z partii. Jemu zaś smak wygranej zepsuła akcja #metoo. Złożył mandat z powodu oskarżeń o nadużycia seksualne.

Senatorzy Zielonych siedzą aktualnie na kartonach, opuszczają dawne biura na czterech piętrach, a zajmą te po partyjnej efemerydzie Teamie Stronacha. – Dobrze nam to robi, kończymy skropiony łzami porażki rozdział i zaczynamy nowy – deklaruje optymistycznie Ewa.

Zdaniem obserwatorów w ciągu roku pochodząca z Małopolski Ewa Dziedzic stanie się drugą osobą w austriackiej partii Zielonych.

i analiza klęski, określenie programu, kierunków, wybór władz krajowych. – Będę oczywiście starała się wejść do zarządu. Czy przewodnictwo partii to mój cel? Od Koglera mogę jeszcze troszeczkę się nauczyć, mam mandat w senacie przez najbliższe trzy lata. Wybory do parlamentu są za pięć lat, ale nikt nie wierzy, że koalicja turkusowi/niebiescy wytrzyma, więc musimy być przygotowani. Ja także – mówi zdecydowanie Ewa Dziedzic.

W wolnym czasie, by doładować akumulatory i odstresować się Ewa biega, powróciła też do boksu. Jej drobna postura może zmylić. Poza tym lubi pogotować dla przyjaciół i rodziny, po polsku.

ZIELONI NA KARTONACH

Wielu Zielonych po przegranej wciąż leczy rany, wychodzi z traumy, wystarczy przypomnieć wieczór wyborczy. – To był szok, tży, niedowierzanie, ale do ostatniego momentu była nadzieja, że wynik jeszcze może się zmienić. Nikt nie myślał, że tyle stracimy. Ja byłam w mniejszości, która brała to pod uwagę. Jeszcze półtora tygodnia przed wyborami nawoływałam, by ofensywniej komunikować: „Idźcie na wybory, bo możemy wypaść z Nationalratu”. Dużo ludzi było nami rozczarowanych, mówili o błędach, pytali, co się dzieje. Świadomie powiedzieli nam „nie”. Oczywiście była też mobilizacja czerwonych, SPÖ, jako jedynej realistycznej opcji przeciwko FPÖ. I to im się udało. Wielu naszych wyborców

Najbliższy okres będzie dla senatorki Zielonych czasem wytężonej pracy. Spoczywa na niej wielka, jeśli nie największa odpowiedzialność, bo to w stolicy tworzy się cała polityka. Może być i tak, że po wyborach do landtagów w Salzburgu i w Tyrolu (luty, marzec 2018 r.) Zieloni stracą dwie senatorki. Wówczas w senacie zostaliby dr Ewa Dziedzic i jej kolega z Górnej Austrii, David Stögmüller.

WIELKIE OCZEKIWANIA

– Każdy oczekuje ode mnie niesamowitych pomysłów i niespożytej energii. Czuję tę odpowiedzialność, żeby odbudować partię, przez te trzy lata muszę dać z siebie wszystko, by iść dalej. Mnóstwo osób się załamało, ale ja nie. Muszę działać, dlatego nie mam czasu rozmyślać, rozpamiętywać. To nie znaczy, że mogę spać spokojnie, ale na pewno śpię spokojniej niż ktoś inny – mówi pani senator.

Po ostatnich wyborach pracę w Zielonych straciło 135 osób oraz 24 parlamentarzystów.

Ulrike Lunacek, jedna z dwóch już byłych szefowych partii, po przegranej w wyborach złożyła mandat europosłanki i wiceprzewodniczącej Parlamentu Europejskiego. Ta funkcja była dopełnieniem jej sukcesów. Obiecała jeszcze przed wyborami, że niezależnie od tego, jak się zakończą, przejmie wszystkie funkcje w Austrii, a odda te w Brukseli. – To było ważne, czy Ulrike wróci do Austrii, czy nie. Rozmawiałam z nią, powiedziała mi, że gdyby naprawdę chciała zostać w Brukseli, toby została, ale byłby wielki skandal. Ona by straciła twarz, Zieloni także, bo wyszłoby, że bardziej zależy nam na mandatach niż na

odzyskaniu zaufania – tłumaczy Ewa, która karierę polityczną zaczynała pod skrzydłami Ulrike Lunacek.

Po spotkaniach partyjnych, pożegnaniach, na których był też prezydent Van der Bellen, wcześniejszy szef Zielonych, Lunacek planuje teraz długi urlop. – Pytałam, czy planuje robić coś z nami. Proponowałam jej np. przejęcie mojej funkcji prezeski Kołbii Partii Zielonych, ale usłyszałam: „Nie, Ewa, na razie nic zielonego”. Na pewno ma dużo ofert, jest znana w Europie, w tym sensie o nią się nie martwię. Ale bardzo te wybory przeżyła. Zaszła tak daleko, jej marzeniem było zostać wiceprzewodniczącą europarlamentu, ale złożyła mandat. Dotrzymała słowa, żeby nie stracić twarzy – Ewa Dziedzic mówi to z podziwem. Zastanawiam się, czy mężczyzna na jej miejscu zachowałby się tak honorowo. – Może sam z siebie nie, ale w partii Zielonych by musiał – odpowiada Ewa.

IPN goni, Himmler ucieka

Prokuratorzy zatrudnieni w Instytucie Pamięci Narodowej zarabiają ponad 17 tys. zł miesięcznie na twarz. Ciężko pracują. Niedawno ustalili, że Herman Göring i Heinrich Himmler byli zbrodniarzami wojennymi oraz – uwaga, uwaga! – nie żyją.



O innych odkryciach prokuratorów z IPN czytajcie w najnowszym numerze tygodnika „NIE”.

► DZIEDZIC? TRUDNO, NIECH ŁAMIA JĘZYK

Nie ma możliwości, by ktoś pomyślał, że Ewa nie jest Austriaczką. Mówi znakomicie po niemiecku, dopiero przy nazwisku Austriacy mogą się zastanowić. – Wiele osób mnie ostrzegało, że to takie trudne nazwisko, nikt tego w polityce nie powtórzy, czemu go nie zmienię, nie przetłumaczę. Ja zawsze byłam zdania, że to moje korzenie i każdy, kto potrafi sobie na nim język, spojrz też dwa razy, z kim ma do czynienia. Zawsze odbierałam to jako korzyść – śmieje się Ewa.

Starannie umalowana, zadbaną, łatwo nawiązuje kontakty. Potrafi dać rozmówcy poczucie, że się w niego wstuchuje, potrafi słuchać. Przemawia rzeczowo, bez zbędnej retoryki, odnajduje się świetnie i na marszach, protestach i w wytwornych salach. Nie marnuje czasu słuchaczy.

Święta i sylwestra spędza w Polsce, z bliskimi. – Nadal najlepiej tam odpoczywam. Mamy domek pod Krakowem, tam poczytam po polsku, także prasę, bo tu głównie po niemiecku – cieszy się. Może zrobić jakieś zakupy. Torbę do pracy, taką, jak lubi („bez tych falbanek, ozdóbek”), kupiła sobie oczywiście dla ukochanym Krakowie.

Przyznaje, że rodzina chyba nie wiedziała, jak zareagować na przegraną jej partii w wyborach, by jej nie zranić. – Kiedy zobaczyli, że nie jestem załamana, przeciwnie, bio-



W Wiedniu na kongresie kobiet polskich, październik 2016 r.

re się do roboty, prawdopodobnie stwierdzili, że oszalałam. Zawsze byłam obecna w polityce, ale teraz stoję jak rolnik nad pustym polem i jeszcze nie wiem, ile koni mi dadzą, żebym je zaorała. Będę próbować włączyć ludzi do tych wszystkich projektów, żeby były sukcesem, żeby praca w polityce zaczęła znów cieszyć. Przed nami wielkie wyzwanie, żeby uaktywnić tę zieloną duszę sprzed 30 lat.

Bardzo dużo osób się zgłasza, chcą być członkami, chcą wspierać, przelewają pieniądze na fundusz partyjny. – Wielu wyborców tym razem nie wybrało naszej partii, bo byli zdania, że

z tego i tego powodu nie chcą, mimo to uważają, że jest ważna, że musi być w Nationalracie, że warto ją wspierać. Wyborcy widzą to jako pragmatyczną decyzję na jedne wybory, ale nie przenoszą tej decyzji na podejście do Zielonych ani na światopogląd. Nie ma innej partii, która zajmowała się tym, co Zieloni, choćby samą ekologią, prawami kobiet, prawami mniejszości i człowieka.

Austriaccy Zieloni, czego doświadczała sama Ewa, dostawali wyrazy wsparcia z całej Europy, zaproszenia do dyskusji, poszukiwania rozwiązań. – Jakies dwa tygodnie po wyborach byłam w Warszawie, spotkałam m.in. partyjnych kolegów z Holandii, gdzie była bardzo interesująca sytuacja. Wcześniej w wyborach bardzo dużo stracili, tak jak my teraz, ale w ostatnich wyborach zebrał się cztery razy więcej głosów, wyskoczyli na 16%. Długo z nimi rozmawiałam, co się stało, czy to cecha zielonych partii, że muszą się odbudowywać inaczej niż partie zastałe – rozważa senatorka.

– Proszę mi życzyć na ten rok, który na pewno będzie intensywny, wiary, nadziei i głębokiego przekonania, że to, co robię, jest tego warte. Stoi za tym światopogląd, który, mówiąc patetycznie, właściwie chce dobra dla wszystkich. Tutaj chodzi nie tylko o politykę, ale również o odnowienie społecznego ruchu ekologicznego, feministycznego i ogólnie – praw człowieka na wielu płaszczyznach. To bardzo ważne dla Austrii i dla Europy.

Beata Dżon-Ozimek



Wyślij SMS
o treści AGAT
pod numer 74567
i pobierz tapetę
(koszt 4,92 zł z VAT)

„Życie składa się z szeregu chwil, z których każda jest podróżą do kresu.”
Jenny Downham

Kiedy przychodzisz na świat i dorastasz, wierzysz, że będzie on leżał u twych stóp. Że każda kolejna chwila przyniesie coś nowego, dobrego. Że ten świat jest właśnie dla Ciebie stworzony po to, abys w nim dobrze żył. Ale lata płyną, a każdy kolejny dzień odziera Twój umysł ze złudzeń. Okazuje się, że podczas ciągłego biegu do przodu nieraz musisz upaść. I gdy zbliża się

kres, i spoglądasz do tyłu, to okazuje się, że podróż, która w młodości jawiła Ci się jako wspaniała przygoda, dała tylko garść tych dobrych chwil. Garść zbyt małą, by przyćmić całą przychylną lęk.

Agat. Miał wszystko, by poskramiać życie. Miał urodę, dobre pochodzenie, i pewnie przekonanie, że jest tu po to, aby być szczęśliwym. Dziś, uwiązany liną w handlarzkiej komórcie, nie ma już złudzeń. Już wie, że konie przychodzą na ten świat po to, by pracować, a aby żyć muszą na to zasłużyć. Wie też, że prawo do życia kończy się z chwilą ustania zatrudnienia. I nawet te minione dobre chwile nie są w stanie przyćmić strachu przed zbliżającym się kresem podróży.

Agat, siwy, starszy koń, karmiony batem i strachem. Życie warte tyle, ile waży. Możemy go ocalić. Potrzeba 3400 zł aby go ocalić, potrzebne są też środki na transport do naszego ośrodka (szacowany koszt to 1500 zł). Mamy czas do końca grudnia. Pomóżesz?

Możesz pomóc Agatowi dokonując darowizny z tytułem AGAT na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

ul. Walbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław

tel. 518 569 487, tel. 518 569 488
www.centaurus.org.pl

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rkkm>



Inne możliwe



Roman Kurkiewicz

ATRAPOSPOLITA POLSKA

Kiedyś, w nieodległej przeszłości, najprzenikliwszym bon motem opisującym kondycję państwa polskiego było podsłuchane, nagrane i udostępnione zdanie z dłuższego wywodu autorstwa byłego ministra spraw wewnętrznych Bartłomieja Sienkiewicza, że „państwo istnieje tylko teoretycznie”.

Czy dzisiaj możemy powiedzieć, że coś znacząco się zmieniło w tej kwestii? Ostrze krytycznej diagnozy Sienkiewicza wymierzone było w rozparcelowane cele, metody, efekty instytucji państwa, które, mimo obowiązującej wszak konstytucji, nie składały się i nie tworzyły spójnej całości. Wiele mechanizmów kontrolno-naprawczych działało od przypadku do przypadku, systemy ostrzegania (nie tyle wczesnego, ile ostatecznego) zawodziły, rozłaziła się gdzieś w szwach ta „odrodzona”, „wolna”, „niepodległa” Polska i przeciekała przez palce, wymykając się standardom, procedurom obowiązującym wszem wobec. Jednych wyróżniała ponad miarę, drugich nie pieściła, jeszcze innych traktowała źle albo i nie zauważała. O natężeniu i intensywności owych miazmatycznych rozmyśleń można dyskutować zapewne bez końca, sama skrótowa przenikliwość diagnozy wielu była bliska i odbierana przez nich jako trafiona.

Jak chyba w każdym środowisku politycznym (ówcześnie rządzącym Polską już drugą kadencję) pojawiały się głosy krytycznie przytomne, nawołujące do zmian, korekt, ruchów – generalnie do wyjścia z bezpiecznego bezruchu i politycznego zastygnięcia („ciepła woda w kranie”, „róbmy politykę niepolityczną”, historię i mity zostawmy historykom, bazarom, hobbystom), jak to się wydawało wówczas rządzącej Platformie. Dziś z wielu wywiadów z politykami tamtej „teoretycznej ery państwa” wiemy, że raporty, sugestie, pomysły wyjścia z impasu trafiały na niemożliwe do przebycia bagnisko „braku woli politycznej”. Miało być ciszej, nieantagonistycznie, zgodniej, razem, ku lepszemu, nowocześniejszemu, bez zadęcia, chwalenia, ganienia, bez emocji, zawodowo, po ekspercku, fachowo. I mniej państwa.

I to „mniej państwa” na prostej niby drodze wyróżniło z wyborczym hukiem. Bo jak pokazuje niezwykle raport „Dobra zmiana w Miastku. Neoautorytaryzm w polskiej polityce z perspektywy małego miasta”, który powstał w Instytucie Studiów Zaawansowanych prowadzonym przez Krytykę Polityczną, w momencie odczuwalnej po-

prawy sytuacji gospodarczej ludzie wraz ze wzrostem aspiracji zapragnęli „uznania aktywnego państwa za aktora niezbędnego do ich realizacji”. Lektura całego raportu z badań miasteczka, w którym PiS wyraźnie wygrało, jest kubłem zimnej wody na stereotypy tłumaczące wygraną partii Kaczyńskiego oraz dzisiejsze, przeszło dwuletnie już doświadczenie formacji rządzącej. Oczywiście niektórzy chcieliby po prostu zrozumieć, co się stało, inni natomiast powinni wykorzystać tę wiedzę do stworzenia wreszcie realnej alternatywy polityczno-programowej. Choć sporo ciepłych myśli wędruje w stronę najrozmaitszych aktywności społecznych, takich jak ruchy miejskie, trzeba pamiętać, że w dającej się przewidzieć przyszłości nie będzie oznak odejścia od jakiejś formy demokratycznej legitymacji i wyboru rządzących. Nawet jeśli to będzie demokracja autorytarna czy – jak chcą autorzy badań – neoautorytarna. I puste miejsce

Puste miejsce przy wigilijnym politycznym stole czeka na ofertę partyjnej formacji.

przy wigilijnym, politycznym, polskim stole nie czeka na przypadkowego, samotnego, bezradnego bezdomnego,

tylko na polityczną ofertę partyjnej formacji. Dzisiejsze nastawienie społeczne, a co za tym idzie polityczne, jest oczywiście niechętnie dopuszczaniu „obcego” do wspólnego stołu.

Jednak bez wejścia „nowego” ten stół, który jest jak Polska, coraz bardziej będzie atrapą. Bo w rzeczy samej teoretyczne państwo nabrało w dwuletnim międzyczasie wzorcowych cech atrapy, gdyż w takie zostały zamienione kluczowe instytucje i mechanizmy państwa: trójpodział władzy, Trybunał Konstytucyjny, niezależność sądów i sędziów itd. Parlament (przy minimalnej arytmetycznej dominacji PiS) właściwie przestał istnieć, jest wyduszką, pustym gestem, jałowymi podrygami. Resorty siłowe praktycznie zostały podporządkowane partyjnemu aparatowi i są na co dzień nadużywane do pacyfikacji (wciąż i na razie tylko pacyfikacji) przeciwników politycznych. Mediów publicznych jak nie było w ostatnich prawie 30 latach, tak nie ma jeszcze bardziej.

Kiedyś Czesław Miłosz (taki dawny poeta, nawet z Noblem za literaturę) pisał, że mamy w Polsce katolicyzm kulinarny ludzi niewierzących, ale praktykujących. Teraz taki będziemy mieli ustrój atrapowo-kulinarny, od barszczyku do jajeczka. Od piwka do wódeczki. Orzeł na krzyżu, z kiełbasą w szponach. Ta wigilia mi się nie podobą. Nie siadam.

Remigiusz Grzela

Była rocznica katastrofy smoleńskiej. Na jednym ze spotkań, zupełnie przez przypadek, Teresa siedziała naprzeciw Jarosławowi Kaczyńskiemu. Mówiła, że cały czas patrzyli sobie w oczy. Nie odrywając od siebie wzroku. Pytanie, kto patrzył jak kobra, a kto jak ofiara. Pomyślała, że po spotkaniu podejdzie. Ale nie podeszła. Wyszedł w otoczeniu licznej obstawy.

Kiedy pracuję nad książką, poniżony i zbuntowany tłum przed Sejmem stara się nie wypuścić poza jego teren parlamentarzystów, którzy złamali procedury, przegłosowując w Sali Kolumnowej, najpewniej bez kworum, nie dopuszczając do głosu opozycji, ustawę budżetową. Wszystko po wyłączeniu mikrofonu posłowi PO Michałowi Szczerbie, który chciał zabrać głos w sprawie pieniędzy na budowę siedziby Sinfonia Varsovia. Zdążył powiedzieć jedynie: Panie marszałku kochany, muzyka łagodzi obyczaje...

Szczerba składa odwołanie. Marszałek, który wykluczając go z obrad, popełnił polityczny błąd, gotowy jest się wycofać. Ale po rozmowie z Jarosławem Kaczyńskim podtrzymuje swoje stanowisko. Posłowie opozycji blokują mównicę. Posłowie PiS przenoszą się do Sali Kolumnowej i zamieniają Sejm w maszynkę do głosowania, właściwie w biuro własnej partii. Coraz więcej mieszkańców Warszawy pojawia się przed Sejmem. Wzbiera w nich kumulowana przez ostatni rok złość na łamanie prawa i niszczenie konstytucji. Koło trzeciej w nocy policja siłą usuwa z drogi protestujących, by przejechać mógł prezes Jarosław Kaczyński. Zdjęć, jakich zrobiono mu wtedy przez szybę samochodu, nie da się zapomnieć. Nie jest przejęty sytuacją. Śmieje się. Właściwie rechocze.

Biurka nigdy nie miała. Zawsze pracowała, leżąc. Stolik Teresy sfotografowany trzy lata po jej śmierci. Mąż Leszek pakował już dom do przeprowadzki.

JARECZEK

W rozmowie z Teresą Torańską widać, że Kaczyński cały utkany jest z małych zadr, że jest małostkowy, pamiętliwy, wytacza mniejsze i większe zemsty

Do tego rechotu długa była droga od początku lat 90., kiedy Torańska wielokrotnie rozmawiała z Kaczyńskim. Zachowało się dziesięć taśm, kilkanaście godzin rozmów. Na tych taśmach często się śmieje, kokietuje Torańską, mówi o swoich sympatiach, sprawia wrażenie dobrego kumpla.

Byli zaprzyjaźnieni, poznali się na strajku w Stoczni Gdańskiej w 1988 r.

– Kierownictwo strajku spało w oddzielnej sali. Wałęsa na swoim styropianie blisko okna, a bracia Kaczyńscy pod stołem. Rano przychodzili do nas do stołówki i opowiadali anegdoty. Bardzo byli zabawni. Jarek bardziej. Umiał powiedzieć anegdotę, był złośliwy, błyskotliwy. Replikował, wdawał się w spory, ironizował. Zaciekał sobą – wspominała

20 lat później w wywiadzie dla „Kurier Porannego”.

Na początku lat 90. Teresa coraz częściej przyjeżdżała do Polski i chodziła do polityków pytać ich o formowanie się tej nowej, wolnej Polski.

Kiedy czyta się ich prawie stustro-nicowy wywiad, a już na pewno kiedy się słucha taśm z jego nagraniem, odnosi się wrażenie wzajemnej sympatii. Torańska zwraca się do niego „Jareczku”, on do niej „dziewczyno”, czasem „dziecko”. Wyszli z tego samego źródła, i bez wątpienia Teresie bliżej było do środowiska Porozumienia Centrum, partii, jaką stworzył, niż do innych.

Różnica między nimi jest zasadnicza. Kaczyński od początku był politycznym graczem, już na przełomie

Zachowało się dziesięć taśm, kilkanaście godzin rozmów. Na tych taśmach często się śmieje, kokietuje Torańską, sprawia wrażenie dobrego kumpla.



1989 r. rozgrywał na brata Lecha i na siebie. Teresa widziała politykę w szerszym, historycznym i społecznym kontekście, co nie znaczy, że Kaczyński jej również tak nie widział, tyle że wszelkiego rodzaju gry, kiwanie i faulowanie przeciwników było dla niej niezrozumiałe. Uważała, że ruch solidarnościowy obalił komunę i należy się skupić na budowaniu państwa demokracji, świadomego społeczeństwa. Bardzo szybko zorientowała się, że jej solidarnościowe środowisko przechodzi na drugą stronę. Kiedy wróciła ze Stanów, mówiła do męża: „Zobaczysz, powiedzą, że jestem lewicowa”. Choć wcześniej postrzegana była jako prawicowa. Czuli, że wszystko się przewartościowało. [...]

Pisała, że wszystko zmienił rok 1989: Nagle, w cudownych wręcz okolicznościach, odzyskaliśmy wolność i niepodległość, i mo-

gliśmy sami zacząć budować naszą III Rzeczpospolitą (...). Nagle się okazało, że na prezydenta wolimy nieznanego emigranta z Peru z czarną teczką z donosami niż męża stanu sprawdzonego w opozycji. Że bardziej nam odpowiada nienawistny ton ojca Rydzyka niż spokojny, wzywający do umiaru i wzajemnego zrozumienia głos księdza Tischnera. I było jak na wojnie. Frontowy język. Od bitwy do bitwy. Bo wroga trzeba pokonać, upokorzyć i do piachu (...). Nas jako przeciwnieństwa „onych” już nie ma. Pozostaje pytanie: kim jako społeczeństwo jesteśmy? Powtórzę: kim?

Już wtedy, między rokiem 1991 a 1994, bo tak datowane są nagrania, próbowała zrozumieć, o co Kaczyńskiemu i innemu chodzi. Poświęciła mu bardzo dużo czasu, może już wiedziała, że w przyszłości stanie się czołową postacią w państwie. Przecież to jej powiedział, mając 45 lat, że chciałby być emerytowanym zbawcą narodu, szefem silnej, bardzo wpływowej, rządowej, współtworzącej albo tworzącej rząd partii.

W czasie tej rozmowy spaceruje między nimi biedronka.

– Potóż ją na parapecie – prosi Kaczyński.

Teresa zanosí ją na parapet.

Biedronka nie odfrucha.

Każdy, kto chce zrozumieć, jak powstawała Polska po 1989 r. i co teraz się w niej dzieje, powinien przeczytać tę rozmowę, która już wtedy obnażała mechanizmy polityki, a dzisiaj

To jej powiedział, mając 45 lat, że chciałby być emerytowanym zbawcą narodu, szefem wpływowej partii, współtworzącej albo tworzącej rząd.

pokazuje kalkulowaną zmianę poglądów, a zarazem konsekwencję ambicji wodza. Pokazuje też, jak zmieniło się jego zaplecze, jak ludzi o przenikliwej inteligencji, w których towarzystwie czuł się dobrze w latach 80. i zaraz na samym początku 90., o których mówi z sympatią, zamienił na wiernych, ślepo wykonujących jego zalecenia, okłaskujących każdą jego myśl. Już kiedy Teresa z nim rozmawiała i kiedy kształtowała się ta nowa Polska, w jego otoczeniu było coraz więcej wyznawców. W pewnym momencie rzuciła mu nawet: Ty, Jarek, masz talent do dobierania sobie marnych ludzi.



W Neapolu z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, z którym toczyła dyskusję o emigracji i któremu zdradziła pomysł na książkę o gen. Jaruzelskim.

To w tekście wywiadu. Na oryginalnej taśmie mówi: Ty ubóstwiasz mieć durniów wokół siebie. To moja diagnoza ciebie.

Wprost. A on się nie obraża. Nawet jakby mu to schlebiało.

Ich rozmowa ujawnia obsesję Kaczyńskiego: jego wiarę w tajemny układ z Rosją. Owszem, wówczas władzę wciąż sprawowali ludzie poprzedniego systemu, ale Kaczyński widział w tym sowieckie sterowanie. Mówił, że trzeba stworzyć program nowego państwa, ale po wycięciu guza układu sprzed 1989 r. Widział agenturę, bo – jak mówi – czytał tajne materiały. Bez jej rozwalenia nie wyobrażał sobie nowego, normalnie funkcjonującego państwa.

straszyć. Po to, by trochę uspokoić społeczeństwo. Pokazać mu, że dzieje się sprawiedliwość. By nie mogło mówić: przedtem działało się niesprawiedliwie i obecnie też jest niesprawiedliwie, demokracja niczego w tym zakresie nie zrobiła.

Torańska pyta wprost: Ty, Jarek, przyznaj się, marzyłeś o rewolucji pałdziernikowej?

Odpowiada, że chodziło mu o zmniejszenie niebezpieczeństw wiążących nad Polską, nie o rewolucję.

Dużo mówią o konieczności zmiany systemu. W końcu Teresa nie wytrzymuje: To zmieniaj te struktury! Ale odczep się od ludzi.

A Kaczyński cierpliwie tłumaczy: Zrozum, tu był komunizm, najpierw potwornie demoralizujący, później rozkładający się.

– Jarek, tu nie było żadnego komunizmu! – krzyczy Teresa.

– To PRL, nie krzycz. Ja na to, co było, mówię komunizm, ale wszystko jedno. Rozpadający się, z patologią społeczną i destrukcją.

Teresa argumentuje dalej. Choćby przypominając, że pieniądze na „Tygodnik Solidarność”, którego był redaktorem naczelnym, wziął od komunistów.

Kaczyński: – Oni kupili akcje zgodnie z prawem. Bo widzisz, na tym polega polski fenomen, że pieniądze, duże pieniądze, mają tylko oni.

W innym miejscu Torńska: Bo nasze zwycięstwo (śmiech) zaprogramowało KGB w Moskwie, prawda?

► – Nie ma się z czego śmiać – odpowiada. – Podziemie było głęboko, bardzo głęboko spenetrowane, choć mechanizm tej penetracji, szalenie skomplikowany, nie do końca jest dla mnie jasny. Więc jeżeli nie zaprogramowało, to wszystko w dużym stopniu trzymało pod znaczną kontrolą. Od 1980 r.

Raz po raz wraca do agentury i konieczności jej rozwalenia.

– Uderzając w Wiesława Chrzanowskiego? – pyta Teresa dosyć już zrezygnowana.

– W Chrzanowskiego też. Poprosiłem o jego materiały, bo byłem jednak zdziwiony, mało zdziwiony – zbulwersowany. Są, z końca lat 40. i początku 50. oraz z 70. Chociaż są to raczej materiały tragedii, tragedii człowieka, który chciał coś zrobić, który ciągle był przyciskany.

– Opowiedz.

I opowiada, jak w czasach stalinowskich Chrzanowski siedział w więzieniu, w małej celi, z sześcioma innymi osobami. Pili wodę z sedesu, gdzie strażnicy wlewali wodę do picia i prania. W czasie śledztwa rozerwali Chrzanowskiemu twarz.

– Jarku, czy uderzyć w starego, ciężko doświadczanego człowieka to po... chrześcijańsku? [na oryginalnej taśmie: Ale powiedz mi jedną rzecz, czy można zrobić coś takiego człowiekowi, jak Chrzanowski, który tyle wycierpiał? Czy to jest po chrześcijańsku?]

– No, zrobiono (westchnienie), bo wymagał tego interes kraju (...).

[Torańska na taśmie: Ale w czym widzisz interes tego kraju? Żeby załatwić starego człowieka?]

Kaczyński [na taśmie mówi, że agentów działało wielu, była ich niezwykła koncentracja]: I dlatego w stosunku do wszystkich, nawet do uczciwych później działaczy, należało wyciągnąć konsekwencje polityczne. To jest może przykre, trudne do przyjęcia, ale konieczne dla kondycji tego państwa. Ten kraj był przecież powiązany ze Wschodem i struktura tych powiązań była nieporównanie bardziej rozbudowana, niż my sądziliśmy – powtarzał jak w strasznej piosence. I dodał:

Notatki Teresy Torańskiej do książki o katastrofie smoleńskiej.

A jeżeli się ich załatwia, to niestety, droga Tereso, nie można robić wyjątków. Nie może być wyjątków w ujawnieniach.

[Torańska na taśmie, bezsilna: Czy naprawdę interes państwa polega na tym, żeby załatwić Chrzanowskiego?]

– Jarek, powiedz, własnego ojca też byś ujawnił?

– Gdyby był agentem, tobym ujawnił.

Kaczyński powtarza, że musi mieć władzę, żeby rozbić układ społeczny.

Na taśmie Teresa pyta ironicznie w innym miejscu:

– Nie boisz się, że się okaże, że tylko ty nie jesteś agentem?

Kaczyński mówi, że choroba społeczeństwa leży w nieoddzieleniu

Ich rozmowa ujawnia obsesję Kaczyńskiego: jego wiarę w tajemny układ z Rosją.

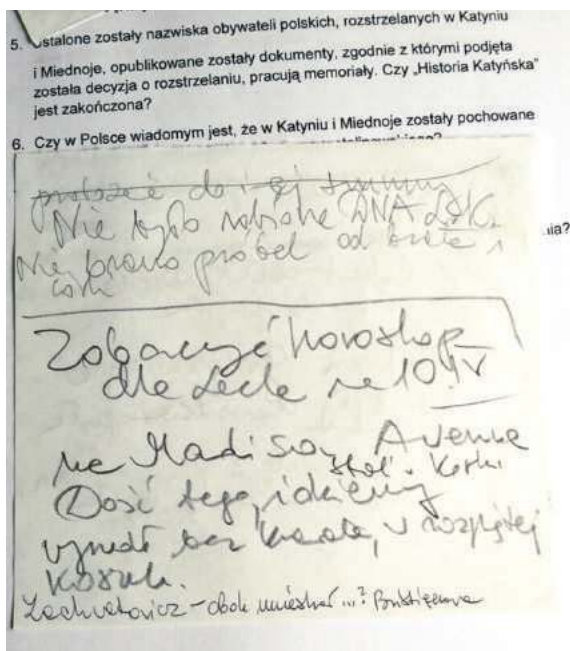
dobra od zła. Trzeba było zrobić inaugurację nowych czasów, a nie wszystko ze sobą mieszać. Kiedy Teresa mówi: nigdy nic nie jest tylko białe i tylko czarne, Kaczyński przyznaje się – zapomina, że świat nie składa się tylko z polityków.

Szczegółowo, i właściwie bez oporów, odpowiada na każde pytanie, czasem się złościąc, zazwyczaj z poczuciem wyższości, to jest wyraźnie, że nie traktuje jej po partnersku. Ale to Teresa wygrywa w tych rozmowach. Bo to jej „nierozumienie” otwiera Kaczyń-

skiego, powoduje szczerość, na jaką nie zdobyłby się w wywiadzie z kim innym. Kilkakrotnie prosi ją o wyłączenie magnetofonu, kiedy nie może powiedzieć czegoś otwarcie. Mówi *off the record*, ale mówi. Choć w jednym z wywiadów, i to z 1992 r., żaliła się: Tak jak kiedyś Ochab mówił do mnie: Córku, nie wiesz, co mówisz, ten powtarza jak refren: Dziewczyno, ty nic nie rozumiesz. Proszę więc: To mi wytłumacz, a on: Dziewczyno, co ci będę tłumaczył... Ten sam refren. Następni, co wszystko wiedzą najlepiej.

Bardzo ciekawe jest całe tło kreowania Polski po 1989 r. Teresa wiedziała, że to Jarosław Kaczyński stał za prezydenturą Lecha Wałęsy. Pyta go wprost: Jarek, dlaczego wymyśliłeś Wałęsę na prezydenta?

Mówił: On miał to wyczucie czasu, w którym trzeba coś zrobić, pozadykursywnie politycznie i kompletnie niewytłumaczalne w jakichkolwiek racjonalnych kategoriach. Niewytłumaczalne także przez niego samego, bo on również nie wiedział, dlaczego czegoś chce i po co chce, a później okazywało się, że to on chciał dobrze, a nie jego genialni doradcy, na których wszyscy się powoływali. Poza tym Wałęsa (...) był postrzegany jako ten, kto potrafi rozwiązać wszystkie trudne problemy. Bez przerwy powtarzał: dajcie mi władzę, a ja załatwię wasze sprawy. I oni mu uwierzyli, był dla nich autorytetem. Przy tych bólach społecznych, rozgoryczeniach, rozniewaniu społeczeństwa, jego zapewnienia nabierały szczególnej wagi. Tym bardziej że mówił to facet o wzięciu światowym, światowej sławie, przyjmowany przez wszystkie liczące się głowy państw, owacyjnie witany w Kongresie Stanów Zjednoczonych. Jaki rząd miał przy nim szansę? Żaden! Żadna władza nie była w stanie mu się przeciwstawić. Wałęsa prezydenturę zdobyłby i tak. Gdyby nie udało się legalnie, to drogą puczu, autentycznego puczu (...). Te masy wtedy w 1990 r. były potwor-





Wakacje z mężem Leszkiem Sankowskim.

nie zgorzkniałe i brakowało im tylko przywódcy, który ich krzywdę wyartykułuje. Obawialiśmy się, że Wałęsa stanie na ich czele – taki wariant rozpatrywaliśmy między sobą, uznając, iż jest najczarniejszym scenariuszem tamtej sytuacji (...). Doszło bowiem do tego, iż miał taką pozycję, że można go było albo zastrzelić, albo zrobić prezydentem. Dlatego my...

- Pistolet masz?
- Oczywiście, że mam.
- Umiesz strzelać?

[na taśmie Teresa pyta również, gdzie się nauczył strzelać].

- Szkoda, że nie wolno używać amunicji, bobym ci pokazał.
- I myślałeś?
- Nie, pistolet mam na różnych chuliganów, prześladowców, nie wygłupiaj się.

Właściwie miał plan, aby Wałęsa sam siebie odczarował w oczach społeczeństwa. To dawało szansę na krótszą kadencję, na prezydenturę tymczasową.

Mówi, jak później podsuwał Wałęsę na stanowisko premiera Tadeusza Mazowieckiego: Wałęsa nie chciał nikogo z tej trójki: Mazowiecki, Gerek, Kuroń, która wchodziła w grę, i trzeba go było parę godzin łamać, aby mianował w końcu Mazowieckiego. Nie ukrywam, że to ja osobiście go łamałem (...). Tłukliśmy mu więc do głowy tego Mazowieckiego

i on w końcu, miotając słowami powszechnie uważanymi za obraźliwe, zgodził się.

Kiedy Tadeusz Mazowiecki został premierem, zaproponował Jarosławowi Kaczyńskiemu stanowisko szefa... cenzury. W wywiadzie Kaczyński tłumaczy, że po to, aby go

- Jarek, powiedz, własnego ojca też byś ujawnił?
- Gdyby był agentem, tobym ujawnił.

ośmieszyć, aby ludzie na wspomnienie jego nazwiska pękali ze śmiechu.

Opowiada, jak na stanowisku premiera postawił Jana Olszewskiego. Wynika z tej rozmowy, że Kaczyński był kluczową, choć zakulisową, postacią w kreowaniu wolnej od komunizmu Polski. Grał ostro, ale jak mówi Torańska (właściwie od tego zaczyna rozmowę), zgrał się. On nazywa to strategią. Teresa mówi na taśmie: Chciałeś się zacwanic, a zostajesz z Olszewskim i Macierewiczem. Kaczyński odpowiada, że nie musi się podobać społeczeństwu, jak Kuroń albo Tusk. Nigdy nie dostawał czułych listów od dam. Zwierzył się z tego kiedyś Tuskowi i ten przyniósł mu plik listów, jakie dostał od wielbicieli. Kiedy Torańska pyta, czy nie boi się, że zraża społeczeństwo tym, co mówi, np. że powinno się wymierzyć najwyższą karę gen. Jaruzelskiemu, odpowiada, że ludzie piszą w li-

stach, że jest prawdziwym Polakiem. Teresa nie kapituluje: To twarde grupy antykomunistyczne. Chcesz się obracać w tej sferze? Kaczyński odpowiada, że chciałby dotrzeć do innych, ale na to nie ma szans. Najpierw musiałby przynajmniej mieć prasę.

Porusza Torańska kwestie obyczajowe. Pyta o zakazywanie aborcji i antykoncepcję. Kaczyński obrusza się, że go prowokuje. – Sam się zabierz za robotę – wypala ona.

Kiedy Kaczyński narzeka na kampanię przeciwko Kościołowi, Teresa, cytując za taśmą, mówi: Jest agresja Kościoła przeciwko mnie, kobiecie. Społeczeństwo się broni. Nie widzisz tego? Ja się czuję absolutnie atakowana przez Kościół. Ja chcę tykać pigułki. – A tykaj sobie! Kto ci zabrania, tykaj sobie, dziewczyno, cztery razy dziennie.

Na taśmie Teresa mówi: Grozi nam za to kara od roku do dziesięciu lat więzienia. Kaczyński odpowiada, że jej nic nie grozi i że może sobie tykać publicznie, w kawiarni. Komentuje, że Teresa żyje w nierealnym świecie.

Znaczyłoby to, że realnym światem są hasła polityczne, a nie faktyczne przekonania polityków, którzy je głoszą.

Warto dzisiaj byłoby przypomnieć Kaczyńskiemu i jego zwolennikom kilka jego wypowiedzi z wywiadu Torańskiej:

Ja wiem, że żadnych tajnych porozumień w Magdalence nie było. Ja do Magdaleny nie jeździłem, ale mój brat Leszek jeździł, uczestniczył we wszystkich posiedzeniach, mówił, że nic nie było, i ja mu wierzę.

Już wtedy, kilkanaście lat temu, lubił się obrażać i musiał mieć wrogów.

Ja generalnie nie krytykuję Okrągłego Stołu. Uważam nawet, że w tamtym czasie odegrał pozytywną rolę.

Solidarność była największym doświadczeniem naszego pokolenia i niezależnie od tego, co każdy z nas jeszcze w życiu zdziałał, to solidarnościowe będzie najważniejsze.

(Tu Teresa konkluduje: Solidarność już padła).

► Dlatego powiedziałem sobie: trudno, to nieważne, najważniejsza jest demokracja.

– Jaka demokracja?

– Że rządzi, dziewczyno, parlamentarna większość i wyklucza się wariant: jeśli nie dyktatura, to pół-dyktatura. W Polsce przecież toczyła się walka nie o taki czy inny rząd. W Polsce toczyła się walka o demokrację. Dlatego tak się angażowałem.

Więc dlaczego ponad ćwierć wieku później nic już nie zostało z tamtych poglądów? Antoni Macierewicz



Część archiwum, jakie po sobie zostawiła Teresa Torańska. Choć nie lubiła porządku, tematy miała zawsze dokładnie opracowane.

czowi, który uznał ostatnio Wałęsę za jednego z najgroźniejszych agentów, też warto by zacytować Kaczyńskiego z wywiadu Torańskiej: Macierewicz bowiem bardzo dbał wtedy o to, żeby być w dobrych stosunkach z Wałęsą.

O Macierewiczu mówił Kaczyński: Jest to człowiek niewątpliwie zręczny, wykształcony, sprawny intelektualnie, inteligentny i generalnie rzecz biorąc, wyrobiony politycznie, u którego w pewnym momencie kariery życiowej coś się zacięło, nastąpił jakiś odjazd. On w 1981 r. zaczął żeglować w tę stronę, gdzie w końcu wylądował. Być może doprowadziła go do tego jego wojna ze środowiskiem lewicowym, odbierana przez niego bardziej emocjonalnie niż racjonalnie, nie wiem. Ze mną jednak Macie-

rewicz rozmawiał rozsądnie. Mówił mi: słuchaj, ty żeś wymyślił partię nowoczesną, w stylu zachodnioeuropejskim, odciętą od wszystkich bagaży polskiej tradycji z antysemityzmem i nacjonalizmem na czele, i ja się z tobą – generalnie rzecz biorąc – zgadzam, ale ty nie widzisz tego społeczeństwa. To społeczeństwo – tłumaczył mi – żyło 50 lat w stanie zamrożonym i jest jak gdyby z Sienkiewicza, a nie z końca XX w.

Już w rozmowie z Torańską widać, że Kaczyński cały utkany jest z małych zadr, że jest małostkowy, pamiętliwy, wytacza swoje mniejsze i większe zemsty. Opowiada, jak w 1977 r. został zaproszony na spotkanie KOR. Usiadł przy stole. – Otwierają się drzwi i wkracza czołówka opozycji: Kuroń, Macierewicz, Jan Józef Lipski itp. Patrzę ze zdumieniem, a tu wszyscy, którzy siedzieli przy stole, wstają i przenoszą

kazywał, że ci w strajku byli, a tamci nie byli. To też małe przyczynki do tego, dlaczego jedni w 1989 r. dysponowali szeroką, międzynarodową nawet sławą, a inni byli zupełnie nieznani.

Tłumaczy Torańskiej, że właśnie z takich powodów on i Lech Kaczyński, choć w kierownictwie Solidarności, pozostawali całkowicie nieznani.

W 2008 r. na spotkaniu autorskim w Białymstoku, pytana o ocenę rządów Jarosława Kaczyńskiego, mówiła: Kiedy zetknęłam się z okropnym językiem tego okresu, ze strasznymi słowami w stylu dać odpór, to aż mnie wbiło w ziemię. To była ta sama agresja, co w marcu 1968! Wtedy wrogiem byli syjoniści, teraz agenci. I to szukanie agentów, ta czujność, szukanie haków, tak jak w 1968 r. szukanie pochodzenia. Paranoiczne! Te lata rządów PiS to była namiastka PRL, pełna obsesyjnej nienawiści.

Torańska powtarzała, że Jarosław Kaczyński był jednym z najlepszych rozmówców, na jakich trafiła.

się pod ściany. Podniosłem się także, ale by ustąpić miejsca Lipskiemu, który był starszym panem, kolegą mojej mamy i człowiekiem chorym. On jednak usiadł obok, a Kuroń, wykorzystując ten moment, już wieszał swoją skózaną marynarkę na moim krześle. Ja jednak spokojnie na nim usiadłem i miejsca Kuroniowi nie ustąpiłem. Po jakimś czasie poszedłem do Jacka do domu i on 15 minut trzymał mnie bez krzesła. Zapamiętał i zemścił się (śmiech). Szczerze ci powiem, gdyby nie silna motywacja, że ja muszę z tym komunizmem walczyć, a więc muszę być w opozycji, to ja bym ją w jasną cholerę rzucił, bo tego towarzystwa nie akceptowałem.

Mówi też, jak w czasie strajku w stoczni w 1988 r. z kilkoma inteligentami napisali list. Kiedy strajk się skończył, list trafił do parafii św. Brygidy i przekazano go do Radia Wolna Europa. – I co się okazało? Że do tego listu na pierwsze miejsce dopisał się Michnik. Był nie w stoczni, tylko w kościele, ale pal go diabli, niech będzie. On jednak zorganizował akcję, żeby do tego listu dopisało się jeszcze z 60 osób. Dlaczego? Bo skład tej pierwotnie podpisanej grupy był niestosowny z punktu widzenia ówczesnych potrzeb politycznych i nie mógł w Wolnej Europie pójść dokument, który wy-

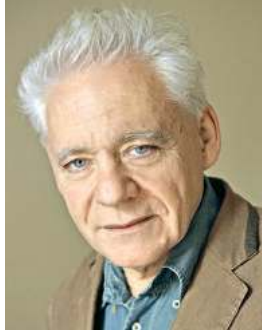
Powtarzała, że Jarosław Kaczyński był jednym z najlepszych rozmówców, na jakich trafiła. – Rozumiał, że rozmowa musi mieć dramaturgię, że nie może być po prostu ciągiem pytań i odpowiedzi, lecz zamkniętą całością, posiadającą wewnętrzną konstrukcję. Spotykałam się z nim kilkanaście razy. Pamiętam, kiedy kończyliśmy autoryzację, było już po północy. Przyszedł Lech Kaczyński i mówi: Jarek, co ty wyprawiasz, przecież ona cię zrobi w konia. Na co Jarosław odparł: Daj spokój, poradzę sobie. Ale potem chyba ktoś mu powiedział, że za bardzo się odsonił, za dużo powiedział, i się na mnie obraził. I uznał, że jestem jego wrogiem. Już wtedy, kilkanaście lat temu, lubił się obrażać i musiał mieć wrogów. Ale to nie było jeszcze takie brutalne, tak nienawistne, jak to, co mogliśmy obserwować przez dwa lata rządów PiS – mówiła w 2008 r. w rozmowie z Jerzym Szerszunowiczem („Kurier Poranny”).

Rozdział z książki
Remigiusza Grzeli
Podwójne życie reporterki.
Fallaci, Torańska,
Prószyński i S-ka,
Warszawa 2017



CZĘŚĆ DRUGA W NASTĘPNYM NUMERZE

Oko w oko



Tomasz Jastrun

MIESZANIE W GŁOWACH

Polska demokracja tonie, prawa strona sali sejmowej pusta, posłowie opozycji wymachują bezradnie rękami, próbując czegoś się uchwycić.

Prowadząc warsztaty pisania, proszę kursantów o prowadzenie dziennika. Inteligentna, wrażliwa dziewczyna notuje w pamiętniku: „Dzisiaj miałam pójść na protest, ale zdecydowałam się posprzątać mieszkanie i zrobić zakupy. Po rozmowie z tatą przypominałam sobie, jakie to dla niego ważne, co się dzieje z tym krajem. Kiedy do mnie mówił przez telefon, rozumiałam, że chciałby, żeby i dla mnie było to ważne. Ale nie jest. Mogę udawać i iść na protest – zresztą pewnie jeszcze to zrobię. Ale nie widzę możliwości ani chęci obudzenia w sobie motywacji do obrony sądów i demokracji”. Cytuję te słowa, gdyż wydaje mi się, że takie poplątane myślenie dominuje u polskiej młodzieży, nawet tej bardziej rozgarniętej. Niestety. Ich bunt zaczyna się, gdy PiS wsiądzie na internet.

Beata Szydło podała się do dymisji. Zabulgotało, zaszumiło, zaroilo się od komentarzy. Morawiecki ma twarz polskiego inteligenta, nawet jeśli to tylko maska, co w PiS jest wielką rzadkością. I co nie spodoba się elektoratowi, który cenił sobie małomiasteczkowość pani premier. Na pewno Morawiecki jest mniej prowincjonalny niż Beata Szydło, która była skrupulatną gminną księgową prezesa. Czy będzie bardziej od niej niezależny? Można wątpić, skoro jego pierwszym odruchem było przytulić się do Radia Maryja i nagadać głupot o rechrystianizacji Europy przez Polskę. Na pewno nie będzie bardziej wobec Kaczyńskiego potulny niż pani premier – bardziej nie można. Tam był związek miłosny, jak między czworonogiem i panem. Jedno pewne, nie będę musiał codziennie słuchać jej głosiku z charakterystycznym tembrzem, takiego zawodzenia szeptem.

Wielu ludzi z liberalnej strony wzbudza w sobie współczucie wobec Szydło, że tak ją przeczołgano. Współczując, zdobywa się pewną przewagę nad obiektem współczucia, to bywa powodem współczucia częściej, niż jesteśmy skłonni do tego się przyznać. Ale ktoś, kto biegał przez dwa lata na czworakach, nie cierpi już za bardzo, gdy musi wejść pod szafę.

W czasie programu w Radiu Maryja zadzwonił do studia sam o. Tadeusz Rydzyk. Mówił: „Proszę o potężną modlitwę. Złe duchy uwięziły się na Polskę, bo Polska jest światłem dla Europy, dla świata. Niemcy nam zazdrosz-

czą, że prezydent kłeka, premier kłeka. Oby to było konsekwentne”. Polska jako światło dla Europy i dla świata, piękne...

A od jakiegoś czasu wielka sensacja, Radio Maryja przestało być antysemityczne. Złe duchy już nie są żydowskie. Miało to charakter nienawistny, ale też magiczny. Przed laty słuchałem Radia Maryja w samochodzie (teraz słucham książek). Słuchałem, zawsze kiedy groziło mi, że zasnę za kierownicą – od razu rościło mi ciśnienie i senność zniknęła. Pamiętam, jak do radia zadzwonił jakiś słuchacz z nowiną, że powódzie w Polsce to może być robota izraelska, bo oni nauczyli się wywoływać w sztuczny sposób deszcz. Prowadzący kapłan odparł: „Ja się na tym nie znam, ale nie jest to wykluczone”. A teraz w radiu wielka zmiana, o. Tadeusz zaprzyjaźnił się z Jonnym Danielsem. To potomek polsko-żydowskiej rodziny zamordowanej podczas Holokaustu. Urodził się w Londynie, wyemigrował do Izraela, tam służył w jednostce spadochroniarzy. Z wojska trafił do Knesetu, był doradcą wiceministra obrony i ambasadora Izraela w USA. Doradzał politykom z USA, Izraela i Europy, a „The Jerusalem Post” pisał

Morawiecki na pewno nie będzie bardziej potulny wobec Kaczyńskiego niż pani premier – bardziej nie można.

o nim jako o „najbliższym Trumpa obywatelu Izraela”. To on miał spowodować, że dzisiaj o. Rydzyk rozpytywa się nad izraelską kulturą, odwiedza ambasadora Izraela w Polsce i promuje dialog polsko-izraelski (zabawne, że w tej „operacji” przeformatowania Rydzka bierze udział Tomohou Umeda, syn moich przyjaciół, Agnieszki i Joshiha Umedy, Japończyka, już nieżyjącego niestety).

Z anteny rozgłośni zniknął Jerzy Robert Nowak, czołowy polski antysemita, a konkurujący z nim w tej dziedzinie Stanisław Michalkiewicz ma surowy zakaz mówienia w radiu czegokolwiek o Żydach. Jak ten biedak musi się namęczyć z takim zaparciem, jakie musi mieć antysemityczne wypróżnienie poza rozgłośnię. Danielsowi przypisuje się zmianę nastawienia redemptorysty do Żydów. On sam mówi, że „czuje się częścią rodziny Radia Maryja”. Ojciec dyrektor od razu wyczuł w nim duchowego brata. A Radio Maryja jak było paranoiczne, tak jest, Żydów zastępują liberałowie i Bruksela. Mieszanie w polskich głowach trwa.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

CZWARTY ATAK NA BIRCZĘ

Czyżby dla polskiej prawicy największą winą Birczy było to, że nie dała się wyróżnić UPA?

Bohdan Piętka

Przewodniczący Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej Wołodymyr Wiatrowycz oświadczył 9 listopada 2017 r., że na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie „pojawiała się tablica na cześć polskich żołnierzy, którzy zginęli w walkach z UPA. Wśród tych, którzy zginęli na terenach Polski (powojennej – uzup. BP) w walce z ukraińskimi powstańcami, najczęściej było przedstawiciele komunistycznej bezpieki. A więc od teraz w Polsce na szczeblu państwowym upamiętniani są czekistami wraz z tymi, którzy mają na rękach krew polskich patriotów”.

Uwaga Wiatrowicza dotyczyła obrońców Birczy. Nazwa tej miejscowości pojawiła się na jednej z dwóch tablic zawieszonych przed tegorocznym Świętem Niepodległości na Grobie Nieznanego Żołnierza. Odślonienie tych tablic – z nazwami 20 wsi i miasteczek na Wołyniu, Lubelszczyźnie i w Małopolsce Wschodniej, które stawiały opór bojówkom OUN i UPA – było efektem wieloletnich starań rodzin ofiar UPA, organizacji kresowych i działaczy społecznych. Spośród wymienionych na tablicach miejscowości walki z UPA w okresie powojennym toczono tylko w Birczy. To jej obrońców Wiatrowycz nazwał

Państwowa polityka historyczna RP współgra z polityką historyczną Ukrainy.

czekistami. Nie wiemy, czy z tego właśnie powodu wkrótce po oświadczeniu Wiatrowicza Bircza zniknęła z Grobu Nieznanego Żołnierza.

Można jednak przypuszczać, że tak. Państwowa polityka historyczna RP współgra bowiem z polityką historyczną Ukrainy na płaszczyźnie wojującego antykomunizmu. Żołnierze Wojska Polskiego, które walczyło na froncie wschodnim, a po wojnie m.in. w obronie ziem południowo-wschodnich przed UPA, zostali przecież wy-

kluczeni przez znanego historyka obecnego obozu władzy z tradycji polskiego oręża. W świetle dogmatów tej polityki historycznej obrońcy Birczy – zarówno żołnierze, jak i funkcjonariusze MO – byli przedstawicielami „sowieckiej władzy okupacyjnej”, którzy na pamięć nie zasługują.

TRZY ATAKI

Bircza to nieduża miejscowość na Pogórzu Przemyskim. Od 1464 r. do 1934 r. miała prawa miejskie. W II RP wchodziła w skład powiatu dobromilskiego. 21 sierpnia 1945 r. – po przesunięciu granicy – znalazła się w powiecie przemyskim. 11 i 12 września

Wołodymyr Wiatrowycz obrońców Birczy nazwał czekistami. Wkrótce Bircza zniknęła z Grobu Nieznanego Żołnierza.

1939 r. 11. Dywizja Piechoty, którą dowodził płk dypl. (później gen.) Bronisław Prugar-Ketling, stoczyła pod Birczą krwawą bitwę z niemiecką 2. Dywizją Górską. Najdramatyczniejsze chwile miejscowość ta przeżyła jednak po zakończeniu II wojny światowej, kiedy stała się celem trzech ataków Ukraińskiej Powstańczej Armii.

Obszar Pogórza Przemyskiego znalazł się wówczas w strefie działania 26. Odcinka Taktycznego UPA „Łemko”, którego dowódcą był Wasyl Mizerny „Ren”. W skład odcinka wchodziły dwa kurenie – „Rena” i „Rezuna”

(Wasyla Andrusiaka), liczące po kilka sotni. Na początku 1946 r. przeprowadzono reorganizację odcinka. Kureń „Rezuna”, zdziesiątkowany podczas walk z Wojskiem Polskim, został zastąpiony przez kureń „Konyka”. Pod tym pseudonimem ukrywał się Mychajło Galo (1914-1946), od 1935 r. członek Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. W 1943 r. wstąpił w szeregi 14. Dywizji Waffen SS „Galizien” (1. ukraińskiej), ale już w 1944 r. był w UPA. Początkowo jako komendant sotni szkol-

nej w szkole oficerskiej UPA „Oleni” w Karpatach, a od listopada 1945 r. jako zastępca dowódcy 26. Odcinka Taktycznego UPA „Łemko”.

Pierwszy atak UPA na Birczę miał miejsce 22 października 1945 r. O godz. 22.30 do miejscowości próbował się wdrzeć oddział ok. 30 ludzi ubranych w polskie mundury. Wezwani przez żołnierzy do podania hasła upowcy otworzyli ogień i jednocześnie wystrzelili białe race, będące sygnałem do ataku na polski garnizon. Siły UPA składały się z sotni „Rena”, „Jara” i „Suchego” oraz innych nierozpoznanych jednostek z kurenia „Podkarpacie”, który wchodził w skład 22. Odcinka Taktycznego UPA „Czar-

ny Las”. Ponadto wsparcia udzieliły im bojówki tzw. samoobrony ukraińskiej (SKW, Samoobronni Kuszczowi Widli), stanowiące zaplecze UPA, politycznie nadzorowane przez OUN-B.

Birczy broniły dwa bataliony 28. Pułku Piechoty i jeden batalion zbiorczy 17. Dywizji Piechoty. Jednocześnie z atakiem na Birczę sotnia „Hromenki” przy wsparciu bojówek SKW dokonała napadu na oddaloną o ok. 10 km Kuźminę, by powstrzymać ewentualną odsiecz stacjonujących tam pododdziałów 30. Pułku Piechoty. Oba ataki zostały odparte. Straty polskie wyniosły 19 zabitych żołnierzy i kilkudziesięciu rannych. Zginęło też 11 osób cywilnych i spłonęła większość zabudowań Kuźminy.

Drugi atak na Birczę przeprowadziły prawdopodobnie sotnie „Burlaki” i „Bartla” w nocy z 29 na 30 listopada 1945 r. Garnizon birczański tworzyły wówczas batalion zbiorczy 17. DP, kompania MO i kompania Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Atak UPA – polegający na ostrzelaniu Birczy z moździerzy i karabinów maszynowych – był pozorowany. W rzeczywistości upowcom chodziło o spa-



Kompania
moździerzy
w Birczy.
Pierwszy z lewej
por. Witold Grabarczyk.



Żołnierze z garnizonu w Birczy w zimie 1945-1946.

lenie okolicznych wsi: Boguszków, Huty Brzuski, Korzeńca, Łomnej, Rudawki i Starej Birczy. Cel ten został osiągnięty. Straty polskie w Birczy wyniosły kilku zabitych.

Trzeci, największy atak, nastąpił w nocy z 6 na 7 stycznia 1946 r., czyli w Wigilię obrządków wschodnich. Upowcy chcieli zniszczyć polski garnizon i spalić miejscowość. Plan ataku opracował Mychajło Galo „Konyk”. On też stanął na czele sił atakujących, które zostały podzielone na dwie grupy: wschodnią (sotnie „Burlaki” i „Łastiwki”) oraz zachodnią (sotnie „Jara” i „Orskiego”, a także oddział Służby Bezpeky OUN-B). Wedle danych UPA Birczy miało bronić 960 żołnierzy WP i 140 milicjantów, wspartych przez „dwie ciężarówki wojsk NKWD”. Na te informacje chętnie powołuje się dzisiaj Wołodymyr Wiatrowycz mówiący o „czekistach”, których rzekomo upamiętniono na Grobie Nieznanego Żołnierza. W rzeczywistości liczebność batalionu 26. Pułku Piechoty była

znacznie niższa. Wraz z funkcjonariuszami MO załogę Birczy mogło stanowić maksymalnie 400 osób. Natomiast siły UPA wynosiły 550-600 ludzi.

OGIEŃ MOŹDZIERZY

Trzeci atak na Birczę zakończył się pogromem oddziałów UPA, które zostały odparte, straciły kilkudziesięciu zabitych i rannych. Zginęli m.in. dowodzący atakiem Mychajło Galo „Konyk” oraz dowódca jednej z sotni – Dmytro Karwanśkyj „Orski”. Straty polskie były niewielkie – jeden zabity i czterech rannych. Podczas walk spłonęła jednak część drewnianych zabudowań Birczy.

Żołnierze polscy broniący Birczy od października 1945 r. do stycznia 1946 r. pochodzili z pododdziałów 9. i 17. Dywizji Piechoty. Ta pierwsza została sformowana jesienią 1944 r. jako część 2. Armii Wojska Polskiego. Składała się w większości z byłych żołnierzy Armii Krajowej, w tym po-

chodzących z Wołynia i mających za sobą walki z UPA w szeregach polskiej samoobrony, oraz 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Również wielu funkcjonariuszy MO z garnizonu w Birczy miało za sobą służbę w AK i Batalionach Chłopskich. Niejednokrotnie wstępowali oni do milicji na polecenie powojennej konspiracji antykomunistycznej, by w ten sposób bronić ludności polskiej przed UPA.

O sukcesie obrony Birczy w nocy z 6 na 7 stycznia 1946 r. zdecydował ogień kompanii moździerzy dowodzonej przez por. Witolda Grabarczyka. Pochodził on z Wołynia, gdzie był żołnierzem zgrupowania „Osnowa”, wchodzącego w skład 27. Wołyńskiej DP AK. Uczestniczył w walkach z UPA w obronie ludności polskiej. Podczas ciężkich walk toczonych przez 27. Wołyńską DP AK z Niemcami w 1944 r. znalazł się na terenie opanowanym przez wojska radzieckie i został wcielony do Wojska Polskiego sformowanego w ZSRR. Skierowano go do trzymiesięcznej szkoły oficerskiej, a po jej ukończeniu został mimo młodego wieku (zaledwie 19 lat) zastępcą dowódcy kompanii moździerzy. Podczas forsowania Nysy Łużyckiej przejął dowodzenie kompanią w miejsce ciężko rannego dowódcy.

Walczył następnie w operacji łużyckiej i operacji praskiej w szeregach 26. Pułku Piechoty 9. Drezdeńskiej Dywizji Piechoty. Koniec wojny nie przyniósł wytchnienia żołnierzom tej dywizji, skrwawionej podczas ciężkich walk na Łużycach. Już bowiem w czerwcu 1945 r. skierowano ich do walki z UPA w południowo-wschodniej Polsce. Pododdziały dywizji rozmieszczono m.in. w Jarosławiu i Sanoku. W drugiej połowie grudnia 1945 r. 2. batalion 26. Pułku Piechoty otrzymał rozkaz wymarszu do Birczy, żeby złuzować załogę tamtejszego garnizonu. W ten sposób por. Witold Grabarczyk znalazł się w Birczy.

Wedle jego relacji batalion „nie miał jednak pełnego stanu osobowego i liczył tylko 222 ludzi. Kompania moździerzy dysponowała zaledwie trzema moździerzami, a kompania CKM-ów pięcioma ciężkimi karabinami maszynowymi. Atutem żołnierzy batalionu było natomiast duże doświadczenie bojowe. Wszyscy byli zahartowani w ciężkich walkach o Drezno, w stawianiu czoła o wiele silniejszemu przeciwnikowi”.

► Batalion wyruszył z Jarostawia w grudniowy, mroźny poranek. „Nasza kolumna maszerowała w śnieżnej zadyńce. Żołnierze szli zmarznięci, zgarbieni, zbici w grupki, biegli za wozami konnymi, by po kilku kilometrach takiego marszobiegu wyciągnąć wozy z zasp śnieżnych”, wspomina por. Grabarczyk. Dopiero po dwóch dniach batalion osiągnął Birczę i zluzował tamtejszy garnizon składający się z 460 elewów szkoły podoficerskiej. Wywołało to panikę miejscowej ludności, która była przekonana, że przybyli nie będą w stanie obronić Birczy przed UPA. Dlatego większość cywilnych mieszkańców uciekła do Przemyśla wraz z elewami.

SYSTEM FORTYFIKACJI

„Ich kolumna była bardzo długa. Składała się z wozów konnych, sanek i wózków, na których ludzie ciągnęli swoje toboły. Wszystko to opasane było mrowiem dzieci. W miasteczku zapanała cisza!”, relacjonuje Grabarczyk.

A jednak to nowy garnizon, o potęgę szczuplejszy niż poprzedni, ale złożony z doświadczonych żołnierzy frontowych, obronił Birczę przed UPA. Wkrótce zresztą przybyli do niej nowi mieszkańcy. Byli to uciekinierzy z pobliskich wiosek, szukający schronienia przed UPA.

Z opisu por. Grabarczyka wyłania się dramatyzm sytuacji, z jaką musiał się zmierzyć dowódca batalionu, mjr Leon Lubecki: „Całe miasteczko



Tablica na Grobie Nieznanego Żołnierza z inskrypcją o Birczy i już bez tej nazwy.

następująco: „Nikogo nie trzeba było zachęcać do wysiłku. Wszyscy przez skórę czuli, że wkrótce przyjdzie nam stoczyć zażartą walkę. Dla mnie, żołnierza 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, a także żołnierza 2. Armii WP, zahartowanego w bojach na przyczółku pod Dęblinem i Puławami, którego nie udało nam się utrzymać, i pod Górą Kalwarią, w walce pod Dreznem i Pragą, było to oczywiste. Wiedziałem, że mogę liczyć na swoich żołnierzy. Z nimi pod Dreznem w okążeniu broniiliśmy się przed Niemcami przez trzy dni, zanim nadeszła odsiecz. Wiedzieliśmy, że w razie ataku możemy liczyć tylko na siebie (...). Dowódca batalionu, mjr Leon Lubecki, co trzy, cztery dni robił odprawy, na których byli



boli epigonów UPA, co jest nawet zrozumiałe. Niezrozumiałe jest to, że boli on również polską prawicę. Czyżby dla niej też największą winą Birczy było to, że nie dała się wyrzucić UPA?

„Przełożeni uznali, że moździerz w obronie Birczy odegrał zasadniczą rolę. Bez ich ognia Bircza mogłaby się nie obronić (...). Niskie straty po naszej stronie były wynikiem przede wszystkim faktu, że nasz batalion nie składał się z żołnierzy z poboru, ale z zahartowanych w ciężkich bojach żołnierzy. Nie bali się przeciwnika i nie wpadli w panikę, gdy ten był 50 m od nich”, podsumował bitwę por. Witold Grabarczyk. Za obronę Birczy otrzymał *Virtuti Militari*. Karierę wojskową zakończył w 1954 r., kiedy wyszło na jaw, że był w AK. Został wówczas zdegradowany, wydalony z wojska i skazany na pracę w kopalni węgla.

Sukces obrony Birczy miał, obok wojskowego, ogromne znaczenie polityczne. Tuż po wojnie toczyła się bowiem gra między Stalinem a Chruszczowem, który dążył do tego, żeby granica Polski i Ukrainiejskiej SRR przebiegała na Sanie, tak jak po podziale Polski pomiędzy Niemcy a ZSRR w 1939 r. Destabilizacja tzw. Zakerzonie przez UPA sprzyjała planom Chruszczowa i komunistów ukraińskich włączenia tych terenów do USRR. Zapobiegła temu m.in. klęska UPA pod Birczą.

Bohdan Piętko

Cytaty pochodzą z relacji por. Witolda Grabarczyka *Nie daliśmy UPA wziąć Birczy. Relacja z obrony Birczy atakowanej przez UPA w nocy z 6 na 7 stycznia 1946 r.*, zamieszczonej w książce Marka A. Koprowskiego *Akcja „Wista”. Krwawa wojna z OUN-UPA*, Zakrzewo 2016.

Dowódca 2. batalionu 26. Pułku Piechoty mjr Leon Lubecki był oficerem przedwrześniowym. Tacy to „czekiści” bronili Birczy.

opasane było systemem ziemnych fortyfikacji obronnych połączonych rowami ciągłymi. W sumie liczyły 3,5 km długości. Dowódca batalionu stanął przed bardzo trudnym zadaniem: jak zapewnić obronę miasteczka, mając do dyspozycji tylko 50% sił i środków w stosunku do swego poprzednika? Zmniejszenie pierścienia obrony nie wchodziło w grę. Birczyński system obrony był budowany przez okres sześciu miesięcy. Dowódca batalionu postanowił, nie naruszając dotychczasowego systemu, rozmieścić siły i środki na głównych kierunkach potencjalnego uderzenia ze strony UPA”.

Na jednej z odpraw mjr Lubecki powiedział: „Liczę na moździerzystów!”. Witold Grabarczyk skomentował to

obecni wszyscy dowódcy kompanii. Był on przez wszystkich niezwykle szanowany. Należał bowiem do korpusu oficerów przedwrześniowych. Miał on dużą wiedzę wojskową i doświadczenie. Cechował go zawsze spokój, powaga i wysoka kultura osobista”.

Tacy to właśnie „czekiści” bronili Birczy. Animatorzy polityki historycznej rządzącej prawicą, odmawiając tym żołnierzom przynależności do tradycji polskiego oręża, stają faktycznie po stronie UPA. Dyskwalifikują też swoją politykę historyczną, która w istocie jest nie antykomunistyczna, ale antypolska. Obronę Birczy można śmiało porównać do obrony Przebraża na Wołyniu. Bircza to po prostu Przebraże Podkarpacia. Ten symbol

Ogórek nie chce eskalować

Edward Mikołajczyk

Opowiadano mi kiedyś w Belgradzie dowcip. Przychodzi klient do sklepu, z daleka pokazuje coś na półce i mówi: – Poproszę ten akordeon. – Czarnogórcem nie sprzedajemy – odpowiada sprzedawca, nawet nie spoglądając w jego stronę. „Ja cię przechytzę”, pomyślał klient i następnego dnia pojawił się w tym samym sklepie z tą samą prośbą, tyle że w białej koszuli i marynarce. Zdumiony usłyszał od sprzedawcy to samo, co wczoraj. Nie dał za wygraną i nazajutrz do garnituru dołożył krawat i wodę kolońską. Cały pachnący jeszcze raz poprosił o akordeon i jeszcze raz usłyszał: – Czarnogórcem nie sprzedajemy.

Facet nie wytrzymuje: – *Ajde, brate, wsadź sobie ten akordeon w jakieś bolesne miejsce, tylko mi powiedz, po czym poznałeś, że jestem Czarnogórcem?!* – Bo to jest kaloryfer – odparł sprzedawca.

Nic mądrzejszego nie przychodzi mi do głowy, kiedy usiłuję sobie wyobrazić, jak może wyglądać scena wypraszenia kogoś ze sklepu dzisiaj, to znaczy w czasach, kiedy i u nas, i na Bałkanach pełno jest wszędzie i kaloryferów, i akordeonów, i poprawności politycznej. Puste półki, owszem, kiedyś same wypraszały ludzi. Wystarczała siła perswazji i rzetelna informacja. – Czy jest u pani masło – pytam ekspedientkę delikatesów przy placu Komuny Paryskiej w okresie późnego Gomułki. – Nie, proszę pana – odpowiada uprzejma pani – u mnie nie ma mięsa, masła nie ma w sąsiednim stoisku.

Dzisiaj żaden sklep nie broni się przed klientami. Bywa, że trzeba wyprowadzić złodziejaską albo pijanemu przypomnieć, że wejście do knajpy jest dwa numery dalej, ale żeby za samą twarz, zmarszczki albo niemodną torebkę zaraz człowiekowi pokazywać drzwi?!

Magdalena Ogórek poskarżyła się publicznie, że ją wyproszono z trzech warszawskich sklepów. Podobno dlatego, że pracuje w Telewizji Polskiej. Nie chcę jej tutaj namawiać do porzucenia tej roboty, bo do następnych wyborów prezydenckich jeszcze bardzo daleko. Ale żeby nie zostać bez zakupów na święta, mogłaby się pani Magda lekko przebrać, przemalować i spróbować jeszcze raz

coś kupić, bez uprzedniego komunikowania sprzedawcy o swoim miejscu zatrudnienia. Handlowcy bowiem mogą przekazywać sobie w genach pewną niechęć do „tych z telewizji”, którzy za to, że są z telewizji, oczekują czegoś ekstra i najchętniej za darmo.

Dziennikarz z Poznania zainteresował się incydem i poprosił panią MO, aby podała adresy sklepów, które zafundowały jej afronty. Odpowiedziała, że nie chce eskalować i nie powie, skąd ją wyproszono. To bardzo szlachetne zachowanie każe jednak publicznie zapytać ją, po jakie lichy skarżyła się publicznie, jeżeli nie w intencji ujawnienia zła i napiętnowania „sprawców”.

Na szczęście był jeszcze ciąg dalszy uzasadnienia. Pani MO powiedziała mianowicie, że gdyby ujawniła adresy, pod którymi ją źle potraktowano, nieznani sprawcy zaraz by wytlukli wskazane witryny, a wtedy „Gazeta Wyborcza” napisałaby, że to sprawka prawicy. Jak to dobrze, że pani MO nie umie żyć ciszej i zachowuje się jednakowo donośnie na zakupach i na ekranie. Jej oświadczenie ocaliło Warszawę przed nocą kryształową i zapobiegło wybuchowi wojny TVPiS o handel.

To wszystko nie znaczy, że będzie świąteczny spokój z telewizją. Widzom już nie wystarcza, że pan Samuel Pereira zawiesza pana Ziemowita Piasta Kossakowskiego, albo odwrotnie – Piast zawiesza Samuela za prowokacyjne

Jak to dobrze, że pani MO zachowuje się jednakowo donośnie na zakupach i na ekranie.

kłamstwa propagandowe, bo obaj ponoszą odpowiedzialność za tę grandę, jaką były zdjęcia z misji pomocowej w Kurdystanie pokazane jako ilustracja dolce vita strajkujących w Polsce lekarzy rezydentów. Poszkodowanym przychodzi do głowy, że pora się odwinąć.

W tym samym czasie, kiedy nieznani sprzedawcy odmówili obsługi pani Ogórek, zidentyfikowani sprawcy nie zgodzili się na emisję spotu reklamowego książki o Jarosławie Kaczyńskim i Jacku Kurskim. Autor, Roman Giertych, wypowiedział wojnę TVPiS.

FOT. DEMOTYWATORY



TygPrzegląd



TygodnikPrzegląd



www.tygodnikprzegląd.pl

Granie solo jest jak Formuła 1

Rozmawia Joanna Poros

We wrześniu ukazała się twoja płyta „Look Inward”. Album zaskakujący, bardzo osobisty. Opisując go, wspominasz o poszukiwaniu harmonii, wyciszeniu, przestrzeni, muzykoterapii, rozmowie z samym sobą i próbie zharmonizowania energii własnej z energią świata. Słychać na nim echa podróży do Bhutanu, czuje się twój związek z buddyzmem.

– W Bhutanie spędziłem trzy tygodnie, na wysokościach od 2000 do 4500 m n.p.m. Byłem w siedmiu klasztorach buddyjskich, do kilku z nich turyści na co dzień nie mają dostępu. Moim osobistym przewodnikiem był mówiący po angielsku mnich – najpierw czekał na mnie na lotnisku, potem podróżowaliśmy razem dzień w dzień, gdy odwiedzałem kolejne klasztory. To był wspaniały czas, choć jednocześnie trudny fizycznie i wyczerpujący, bardzo dużo chodzenia, w deszczu, na wysokościach. **„Look Inward”, czyli spojrzenie w głąb siebie, ma także wiele innych inspiracji.**

– Są wśród nich na pewno czyście muzyczne: minimalizm, muzyka klasyczna, sakralna, relaksacyjna, z drugiej strony jazz. Dużo było także chorału gregoriańskiego i tradycyjnej jednogłosowości. Nagrywając ten materiał, skupiałem się m.in. na tym, by na zasadzie powtarzalności prostych akordów stworzyć rodzaj transu, kontemplacji. Powtarzane figury, oparte na bardzo prostych strukturach rytmicznych i harmonicznym, są jak mantra,

wywołują u podatnych słuchaczy właśnie rodzaj transu.

Wśród inspiracji jest też muzyka elektroniczna.

– Uwielbiam dawną muzykę elektroniczną! Jako inspiracja była obecna w moim życiu dużo wcześniej niż jazz. Mówiąc o muzyce elektronicznej, mam na myśli Vangelisa, Tangerine Dream, Jeana-Michela Jarre’a, rzeczy bardzo przestrzenne, często romantyczne, mocno oddziałujące na wyobraźnię, trochę filmowe, nieco bajkowe.

Specjalnie prosiłem realizatora Rafała Smolenia, by przy nagrywaniu „Look Inward” uruchomił dla mnie bardzo długi pogłos – by wpłynęło to inspirująco na moją grę. Gdy siedzimy przy fortepianie w typowej sali koncertowej, pogłos jest krótki, inaczej niż kiedy gramy w wielkim kościele, gdzie pogłos wytwarza się naturalnie i trwa pięć, siedem sekund. Wtedy się nie śpieszymy, czekamy na wybrzmienie dźwięku, zupełnie inaczej budujemy frazy. I potwierdziło się, że pomogło mi to zbu-

Nawet wirtuozi często nie grają o sobie. W ich palcach mieszka Bach, Chopin

KRZYSZTOF HERDZIN

– pianista,
kompozytor,
aranżer,
dyrygent,
producent,
multiinstrumentalista

Krzysztof Herdzin – dziewięciokrotnie nominowany do Fryderyków (w 2017 r. w kategorii Płyta roku – muzyka współczesna), statuetkę zdobył w 2012 r. (jazzowy kompozytor/aranżer roku); współpracował m.in. z Janem A.P. Kaczmarkiem, Zbigniewem Namysłowskim, Aleksandrą Kurzak, Małgorzatą Walewską, Kayah, Anną Marią Jopek, Edytą Geppert, Ewą Bem i jedną z najśłynniejszych orkiestr – Academy of St Martin in the Fields w Londynie. Ma 17 złotych płyt dla aranżera. Koncertował m.in. w USA, Kanadzie, Australii, Indiach, Chinach, Japonii, Korei, Izraelu, Turcji, Rosji i w większości krajów europejskich.



dować muzykę momentami zbliżoną do tego, co grał Vangelis. Choć gram na instrumencie akustycznym, liczba kolorów, które wytwarzały się na wybrzmieniu fortepianu na długim pogłosie, sprawiła, że ta muzyka chwilami brzmi, jakbym korzystał z instrumentów elektronicznych.

„Look Inward” nagrałeś w ciągu zaledwie paru godzin, nocą, niemal w ciemności – sam w pomieszczeniu, celowo odizolowany. To twoja pierwsza płyta z muzyką improwizowaną na fortepian solo. Atmosfera podczas nagrywania musiała być zupełnie inna niż wtedy, gdy występujesz jako jeden z muzyków w zespole. Było to stresujące?

– Trochę. Jeśli jestem sam na scenie, za nikogo się nie schowam. Grając sam, muszę przez godzinę, od początku do końca, intensywnie skupiać uwagę słuchacza i samemu być niezwykle skupionym na graniu. To trochę tak, jakbym prowadził bolid Formuły 1, nawet na sekundę nie mogąc stracić koncentracji, ponieważ jeden niepoprawny ruch mógłby doprowadzić do wypadku. Gdy gra się w takich warunkach, chwila dekoncentracji, zagubienia skutkuje tym, że muzyka staje się nieciekawą, powierzchowną, ludzie przestają słuchać w skupieniu. Sądzę,

że niewielu pianistów jazzowych, nagrywając płyty solowe, wpisało się nimi w historię muzyki. Wśród tych, którym się udało, mających genialną wewnętrzną koncentrację i pomysł, byli moi idole: Keith Jarrett i Brad Mehldau.

Pianiści unikają nagrywania improwizowanych płyt solowych?

– Tak. Myślę, że wynika to z lęku, może również z pokory, także z braku ciekawej koncepcji. I z tego, że im ktoś starszy, tym bardziej uświadamia sobie własne braki, niedoskonałości.

Odpowiedzialność polega na tym, by nie brać się do czegoś, czego nie umiemy zrobić dobrze. Ja też nie myślałem wcześniej o nagraniu płyty solowej, czując,

że jeszcze wiele mi do tego brakuje, mimo że jestem wykształconym pianistą klasycznym, mam zatem dobry warsztat, panuję nad dźwiękiem. Granie solo na fortepianie, gdy mówimy o improwizacji, to najtrudniejsza forma muzykowania. Myślałem więc, że wciąż za mało umiem, że za wcześnie na to. I właściwie miałem rację. Gdybym podszedł do nagrania płyty solo w duchu moich genialnych mistrzów czy nawet znakomitych polskich kolegów, takich jak Leszek Możdżer i Piotr Orzechowski, poległbym z kretesem.

Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?

– Praktycznie przez dwa ostatnie lata przechodzę intensywny proces re-manentu wewnętrznego. W pewnym momencie poczułem impuls – to się pojawiło z dnia na dzień – by dla autoterapii nagrać solową, w pełni improwizowaną płytę. Niekoniecznie *strictie* jazzową. Uznałem, że potrzebuję teraz, w tym właśnie momencie, w którym jestem, zmierzyć się z samym sobą. Obnażyć, wyrzucić z siebie emocje –

Nie mam w sobie czegoś takiego jak gniew twórczy.

grając na fortepianie, ale robiąc to tak, aby wyraźnie odciąć się od tego, co robię na co dzień. By potraktować to granie jako formę kontemplacji, modlitwy, medytacji. Medytacja jest mi bliska. Wierzę, tak jak wielu muzyków, że poprzez muzykę można osiągnąć stany medytacyjne, a co za tym idzie – wewnętrzny spokój, harmonię.

Dlatego, nie wiedząc tak naprawdę, co z tego wszystkiego wyniknie, z dnia na dzień zarezerwowałem studio w Polskim Radiu i poprosiłem kolegę, wspianego realizatora Rafała Smolenia, z którym regularnie pracuję, by przyszedł ze mną. Drugi mój wspianaty kolega, stroiciel Wojciech Kuleczka, wybitny spec od klawiatur, przygotował mi fortepian w fenomenalny sposób, wiedząc, że będę grał sam.

Wszedłem do studia z planem, że nie mam żadnego planu, żadnej koncepcji, żadnych przygotowanych tematów. Że po prostu chcę grać. Grać o sobie. Usiadłem przy fortepianie, „przede mną” były tylko nagromadzone w środku aktualne przemyślenia, lęki, radości, smutki. Aby łatwiej było mi to wszystko zagrać, przygasiłem światło praktycznie do zera. Kiedy gram w ciemności i jestem dodatkowo odcięty od świata, łatwiej

skupiam się na sobie, nic mnie wtedy nie dekoncentruje. No więc improwizowałem i grałem, grałem, grałem. Robiłem od czasu do czasu przerwy, a to na kawę, a to by się przewietrzyć, po czym znów siadałem do fortepianu. Z sekundy na sekundę pojawiała się kolejna myśl, nie wiedziałem, co nastąpi za pięć sekund, za piętnaście. To tak, jak w sytuacji, gdy dochodzimy do zakrętu i nie wiemy, co nas za nim czeka.

To przyjemne doświadczenie – niewiedza, co nas czeka za zakrętem?

– Wspaniałe i uskrzydające. Nie jesteśmy wtedy w stanie niczego przewidzieć, nie ma żadnej strategii rozwoju, planowania, wszystko się dzieje tu i teraz. Czysta energia i podświadomość. Nagrany materiał odsłuchałem dopiero po kilku tygodniach. To było w sumie ponad pięć godzin muzyki. Tak jak myślałem, znalazło się tam dużo rzeczy nie do słuchania, niezdatnych, o niczym, jakoś nieukładających się w dobrą

narrację. Odrzuciłem więc tamte fragmenty i z pozostałych wybrałem dziełko krótkich, po pięć, siedem minut, które wydały mi się bardzo osobiste, w miarę sensowne i zamknięte. Cała płyta trwa w efekcie godzinę.

Gdy opisujesz ten proces nagrywania, przychodzi na myśl słowo wolność.

– To było dla mnie doświadczenie prawdziwie wyzwalające. Po to przystąpiłem do tego nagrania, by zmierzyć się z sobą. Nie na darmo używam słów medytacja, kontemplacja czy modlitwa. Improwizacja generalnie jest wolnością i najwyższym muzycznym spełnieniem. Nie ograniczam się tu do jazzu, chodzi mi o samą umiejętność grania muzyki bez przygotowania. W mojej opinii nawet wybitni wirtuozi, mający znakomite nazwiska, występujący w największych salach na świecie, jeśli grają wyłącznie z nut, tak naprawdę nie grają o sobie – bo w ich palcach i w głowie mieszka Bach czy Chopin. Kiedy zabierze się im nuty, są jak niepełnosprawni.

Warto odpowiedzieć sobie na pytanie, kim właściwie jestem po dziesiętkach lat, które oddałem muzyce, po 20 latach ciężkiej i stresującej pracy nad warsztatem, dzieciństwie podpo-

► rządowanym mozołnemu ćwiczeniu itd. Dlatego właśnie sędzę, że każdy improwizator – czy to klasyk, jazzman, czy muzyk folkowy – jest dużo bardziej wolny, jest prawdziwie sobą.

Przystępując do nagrywania „Look Inward”, czułem się wolny i myślę, że tę wolność czuć też w muzyce. Dlaczego chciałem wydać ten album? Mógłbym przecież zostawić materiał dla siebie i wracać czasem do niego, bo to moja osobista terapia. Uznałem jednak, że jest w tej muzyce duży ładunek dobrych emocji i wibracji, dlatego chcę podzielić się nią z innymi, dać podobnie odczuwającym ludziom nieco więcej spokoju i oddechu. Wierzę, że ta płyta może być niczym muzykoterapia.

W zapowiedziach określana była jako „płyta dla ludzi, którzy stawiają na rozwój osobisty i duchowy, poszukujących w życiu harmonii, równowagi, spokoju”. Album jest, jak mówisz, efektem zmiany, która w tobie zaszła. Jak zmieniło się twoje życie pod wpływem tej przemiany?

– Bardzo. Dzięki temu, że mniej się przejmuję tym, co myślą inni, tym, czy

zyskam akceptację innych, czy nie, że robię to, co chcę, czuję się znacznie lepiej. Jestem spokojniejszy. Mam w sobie równowagę i optymizm. Odciałem się od tych ludzi, z którymi łączyły mnie niedobre relacje. Do innych, z którymi miałem nierozwiązane napięcia, wyciągnąłem rękę na zgodę. Czyszczę wokół siebie pole energetyczne. Myślę pozytywnie.

Pomówmy jeszcze o twojej filozofii życia, np. o zakręcie, za którym nie wiadomo co czeka.

– Ufam, co jest związane z buddyzmem, że życie prowadzi nas po pewnej ścieżce, danej nam w momencie urodzenia, i cokolwiek byśmy robili, ten scenariusz jest nam przypisany. Karma twierdzi, że czyny określają nasze przyszłe doświadczenia. Oznacza to, że każdy jest w pełni odpowiedzialny zarówno za własne cierpienie, jak i za własne szczęście, za to, co czyni sobie i drugiemu człowiekowi.

Godzimy się więc na sporą bezwolność?

– Nie, to bezwolność tylko pozorna. Owszem, z drugiej strony jest wszystko to, czym się kierujemy w życiu, ma-

jąc ambicje, plany, zadania do wykonania, swoją wytrwałość, cierpliwość, determinację. Jednak choć wydaje się nam, że to my zawsze pociągamy za sznurki, ja coraz częściej się przekonuję, że nic się nie dzieje bez przyczyny. Dlatego warto się nauczyć to akceptować i skupić się na tu i teraz.

Jak się mają do tego popularne apele: kształtuj swoją przyszłość, weź los w swoje ręce, przejmij stery?

– To odnosi się do pracy nad sobą, a tego nigdy nie jest za wiele. Od zawsze w myśl tego kształtowania przyszłości starałem się być ambitny i zdeterminowany w realizacji celów i marzeń. Jednak po latach widzę, że wydarzają się pewne sytuacje, a teraz jest ich w moim życiu szczególnie wiele, które wskazują, że coś biegnie sobie swoim torem. Czasem coś mnie bardzo zaskakuje i zastanawiam się, dlaczego wydarzyło się akurat tak, a nie inaczej, ale myślę sobie...

...że nie ma przypadków?

– Według mnie, to moje subiektywne zdanie, nie ma. Nawet jeśli przez chwilę coś się zachwieje i wypadną z toru, po jakimś czasie znowu

SYLWESTER

W

FILHARMONII NARODOWEJ

koncert

walce, polki,
arie z operetek
Strauss (ojciec i syn)

Orkiestra
Filharmonii
Narodowej

Jacek Kasprzyk dyrygent
Nadine Koutcher sopran

bal

Salonowa Orkiestra
Johanna Straussa
walce, polki, tanga

Tomasz Bielski
Jazz Orchestra
twisty, rock&rolle

DJ
open bar
szwedzki stół

**Szampańska zabawa
do białego rana!**

Zapraszamy na godz. 21:30

Na wieczór sylwestrowy zaprasza
Międzynarodowy Związek Filharmonii Narodowej

PGE Polska Grupa
Energetyczna

wejdę na tę samą drogę. Takie myślenie powoduje, że czuję się coraz bezpieczniejszy i spokojniejszy, gdyż skupiam się po prostu na byciu teraz. Nie boję się przyszłości, staram się nie rozmyślać o przeszłości, dystansuję się od spraw, które nie mają realnego wpływu na moje życie. Dojście do takiego punktu wymagało ode mnie poważnej pracy nad sobą – aby umieć się skupić na byciu, na codziennym życiu i włożyć w to bycie maksimum energii, radości, wynieść z tego spokój i balans, akceptując siebie, innych ludzi, świat.

A gdzie tzw. gniew twórczy?

– Nie mam w sobie czegoś takiego jak gniew twórczy. Powiem więcej: mam w sobie coraz mniej gniewu w ogóle. To efekt tego, jak pracuję nad sobą, w jaki sposób staram się żyć: tonować napięcia, nie doprowadzać do problemów i kłótni, nie oceniać, nie krytykować. Istotą buddyzmu jest pozbycie się wszelkich niegodziwych myśli i działanie w taki sposób, by szukać harmonii, świadomie budować z ludźmi dobre kontakty, pomagać, działać na rzecz innych i nie robić krzywdy. To sprawy związane nie tylko z buddyzmem, ale również z tym, na czym polega chrześcijaństwo. W końcu miłość do bliźniego i miłość do świata są wpisane w istotę chrześcijaństwa. Wykonałem bardzo wiele ruchów, które podczas mojej pracy nad sobą pomogły mi zachować spokój i pozbywać się gniewu.

Na przykład?

– Wypisałem się z wszelkich portali społecznościowych, choć wcześniej byłem tam bardzo aktywny i na swój sposób uzależniony. Bez Facebooka żyję już prawie rok. Na Twitterze i Instagramie mnie nie ma.

Wolałeś od razu się wypisać? A nie tylko zmienić podejście?

– Wyjście było jedno. Musiałem się wypisać. Zauważyłem, jak bardzo jestem w to uwikłany i jak przestaję nad tym panować. Nie żyję swoim życiem, spędzam godziny w światach wirtualnych. Przeszkadzało mi, że pod wpływem tych portali stawałem się cyniczny, podatny na kłótnie, nieprzyjemne polemiki, złą energię płynącą z bzdurnych wpisów. Przeglądałem te wpisy całymi godzinami, zamiast naprawdę spotykać się z ludźmi. Setki zdjęć z koncertów, wakacji, codziennych spraw, oczekiwanie lajków, sympatii i akceptacji znajomych – nie

Wszedłem do studia z planem, że nie mam żadnego planu.



przyjaciół – ludzi, których nawet nie poznałem w realnym życiu. Moje szpanerstwo i samochwalstwo. Czyste wariactwo. Opuściłem. Zupełnie inny jest osobisty kontakt z drugim człowiekiem, gdy temu człowiekowi spojrzysz się w oczy. Zupełnie inaczej się rozmawia, inaczej oddziałują na siebie nawzajem nasze energie.

Co po „Look Inward”? Jakie masz kolejne plany zawodowe?

– Akurat realizowałem nagranie na kolejną płytę z moją muzyką współczesną. Zagrali Krakowskie Trio Stroikowe, saksofonista Paweł Gusnar, altowiolistka Kasia Budnik-Gałązka i Elbląska Orkiestra Kameralna. Płyta prawdopodobnie pod koniec przyszłego roku. Natomiast na początku 2018 r. wydanie płyty nagranej w kwietniu w Los Angeles razem z legendarnym amerykańskim perkusistą Vinniem Colaiutą.

Jesteś bardzo zapracowany. Gdy masz czas wolny, to...

– Długo śpię... Poza tym kocham kino. Potrafię iść na cztery filmy w ciągu dnia. To ucieczka od realnego świata i totalny reset. Uwielbiam przedpołudniowe seanse, kiedy czasem jestem

sam i żadni siorbiący i chrupiący widzowie mnie nie dekoncentrują.

Czego, oprócz muzyki klasycznej, sakralnej czy jazzu, lubisz słuchać w czasie wolnym?

– Mało słucham jazzu. Najczęściej tego łączącego elementy muzyki orkiestrowej i współczesnej. Uwielbiam Beatlesów, Franka Zappę, Johna Williamsa, słucham muzyki progresywnej z lat 70., kapel typu Yes, King Crimson, Soft Machine, U.K., Brand X, lekkiego popu, Vangelisa, muzyki francuskiej z lat 60. Lubię podróżować i lubię podróżować sam. Jest to związane z poszukiwaniem siebie i z tym, że lubię spędzać czas w spokoju ze sobą. Taka była wspomniana wyprawa do klasztorów buddyjskich w Bhutanie. Lubię pojechać sam na parę tygodni do Nowego Jorku i łączyć po Manhattanie, staram się nie jeździć metrem, zazwyczaj przemieszczam się tam kilometrami pieszo, nawet gdy muszę przechodzić przez niebezpieczne nowojorskie zaulki. Lubię też polecieć do Londynu i chodzić tam na musicale. Lubię w odwiedzanych miastach usiąść w parku i pogadać sobie z ludźmi.

Joanna Poros

NOWE MIEJSCE

GALERIA WZORNICTWA POLSKIEGO

MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Fotele Józefa Chierowskiego i Romana Modzelewskiego, niepowtarzalna porcelana, oryginalne tkaniny z lat 50. i 60., makatki z nieistniejących już polskich fabryk i biżuteria – w nowo otwartej Galerii Wzornictwa Polskiego w warszawskim Muzeum Narodowym możemy poznawać najważniejsze zjawiska w polskim wzornictwie na przykładzie wybitnych prac, od początku XX w. po czasy współczesne. Osobne miejsce przeznaczono na zagadnienia związane z projektowaniem przemysłowym, projektowaniem dla dzieci oraz etnoprojektowaniem.

ZAJRZYJ TU



POWIERZYE – WIĘCEJ NIŻ NIC

Zewsząd otaczają nas aromaty – nie tylko świąteczne goździków, cytrusów, iglaków. Ale te atrakcje dla zmysłów byłyby niedostępne, gdyby nie powietrze – bohater najnowszej wystawy w Centrum Nauki Kopernik. To dzięki niemu czujemy powiew wiatru, zapach, słyszymy dźwięki. Nie widzimy go, lecz nie możemy bez niego żyć. Właściwości tej niepozornej mieszaniny gazów ukazuje 45 eksponatów. Można tu zatańczyć w powietrznej fontannie, pospacerować pod szybą, dać się unieść odkurzaczowi, pojeździć na rowerze ze śmigłem, pogłaskać różowego słonia czy przymierzyć ciasne rękawiczki. Doskonała zabawa dla całych rodzin. Szczegóły: www.kopernik.org.pl/wystawy/powietrze/.

WARSZAWA, CENTRUM NAUKI KOPERNIK



NA EKRANACH

SPUTNIKOWE FILMY W POLSKICH MIASTACH

W grudniu 11. Festiwal Sputnik rozpoczyna filmową podróż po Polsce. Do kwietnia 2018 r. odwiedzi: Wrocław, Łódź, Szczecin, Kraków, Gdańsk, Chodzież, Olsztyn, Lublin, Bydgoszcz, Poznań, Skierniewice, Płock, Gliwice, Białystok, Hajnówkę, Katowice, Kielce, Opole, Kętrzyn, Elbląg, Tarnowskie Góry i Nowy Sącz. W programie repliki znajdą się najlepsze rosyjskie fabuły z sekcji konkursowej i Kalejdoskopu Nowego Kina, filmy dokumentalne oraz produkcje dla najmłodszych widzów. Najmocniejszym punktem programu będzie zwycięzca grand prix w Konkursie Filmów Fabularnych 11. Sputnika oraz zdobywca nagrody publiczności – „Arytmia” Borisa Chlebnikowa. Szczegółowy repertuar we wszystkich miastach: www.sputnikfestiwal.pl/2017/miasta.



ZASŁUCHAJ SIĘ

Jacek Kaspszyk, Warsaw Philharmonic & Bomsori Kim

WIENIAWSKI/SHOSTAKOVICH

Warner Classics

Dwa całkiem odmienne stylistycznie koncerty skrzypcowe, choć oba jakoś związane z Rosją, znalazły się na płycie ngranej w Filharmonii Narodowej pod dykcją Jacka Kaspszyka. Wykonawczynią jest fenomenalnie uzdolniona skrzypaczka z Korei Południowej Bomsori Kim. Jej XVIII-wieczny instrument Guadagniniego brzmi cudownie zarówno w śpiewnych, romantycznych frazach Wieniawskiego, jak i szaleńczo skocznych, obłądnie tanecznych w koncercie Szostakowicza. Ogromny talent artystki możemy docenić w zjawiskowo zagranej kadencji w trzeciej części koncertu Szostakowicza, Passacaglia, gdzie Bomsori występuje solo, a muzyka zdaje się natchnioną improwizacją.



Bronisław Tumilowicz

MIĘDZY OKŁADKAMI

Bartek Jędrzejak

MĘSKA SPRAWA

Grupa Zwierciadło, Warszawa 2017

Książka napisana przez mężczyznę dla mężczyzn jest pierwszym na rynku kompendium wiedzy dla brodaczy i najlepszym choinkowym prezentem dla nich. Bo dbanie o siebie nie jest wcale niemęskie – przeciwnie, to oznaka pewności siebie, co warto panom uświadomić. W książce znajdują się nie tylko porady, jak dbać o brodę i wąsy oraz jak dopasować zarost do fryzury, ale również rozmowy z barberami (i barberką!), które pozwalają lepiej poznać tajniki tego nadal niszowego zawodu.



(sz)

KURTYNA W GÓRĘ

OD A DO ZET

Pomysł na ten spektakl wydaje się prościutki: oto świat porządkowany regułami elementarza Mariana Falskiego. Razem z Alą (fascynująca Edyta Olszówka) przechodzimy kurs wedle abecadła, od litery a do zet, tyle że nie ma tablicy, ale Falski w dwuosobowym wcieleniu (Monika Dryl, Bartłomiej Bobrowski) pilnuje postępów edukacji.

Wszystko odbywa się w uruchomionej pamięci od pierwszego zdania jak latarnia: „Ala ma kota”. Ale o kocie... później – jak zastrzeża Ala.

Zabawa ta, pełna sugestywnych obrazów, scenicznych gór, jaskiń i muszli koncertowych, gdzie po mistrzowsku swawolą muzycznie na żywo Marcin Przybylski, Paweł Paprocki i Jakub Gawlik, służy nie tylko ucieście publiczności, ale i namysłowi. To pełen dramatyzmu obraz językowego pomieszania, przerw na łączach, niemożności porozumienia, a co więcej inwazji języka, którego nie chcielibyśmy słyszeć, ale który przenika nawet tutaj, do sennego widziadła elementarnej edukacji. Wielkie wrażenie robi scena Chóru Abecadła i kantata słów nikczemnych, wulgarnych, miotanych ze sceny bez wyraźnego adresu, ale przecież nieustannie słyszanych w przestrzeni publicznej. To dramatyczna kulminacja opowieści o języku, który wypadł z formy, wyrwał się spod kontroli rozumu, przeszedłszy na służbę złym sprawom.

Tomasz Miłkowski

BARBARA KLIKA, „ELEMENTARZ”, REŻYSERIA PIOTR CIEPLAK, TEATR NARODOWY, PREMIERA 7 GRUDNIA 2017

NA EKRANACH



THE FLORIDA PROJECT

reż. Sean Baker, prod. USA, w kinach od 22 grudnia

Ależ ten film ma energię! Bohaterami są dzieciaki zamieszkujące przydrożny hostel nieopodal amerykańskiego Disneylandu. Charyzmą, werwą i ekspresją biją na głowę utytułowanych aktorów. Nie oderwiecie od nich wzroku! Wyrozumiale patrzmy nawet na ich najbardziej nieodpowiednie zachowanie. Sean Baker („Mandarynka”), choć wiele na to wskazuje, nie tworzy jednak

społecznego filmu o złym wychowaniu. W charakterystycznym stylu (skąpany w pastelach obraz, latająca za bohaterami dokumentalna kamera, nadekspresja wszystkich aktorów) zadaje pytanie o granice wolności jednostki. Są wakacje, w czasie których dzieciaki stoją ponad prawem, nie uznają żadnych granic. Mają swój karnawał, który już z definicji jest czasem ograniczonym. Choć podporządkowują sobie otoczenie, i tak są skazane na porażkę w walce z systemem, który w końcu ujawnia swoją bezwzględność i okrucieństwo. I w tym właśnie zawiera się gorycz tego żywiołowego, wypełnionego humorem i emocjami filmu, który krytycy już umieścili na listach najlepszych premier 2017 r.

Artur Zaborski

NA DVD

8 NAJLEPSZYCH FILMÓW MILLENNIUM DOCS AGAINST GRAVITY

„Przeżyć: metoda Houellebecq’a” i Iggy Pop w roli głównej, „21 x Nowy Jork” Piotra Stasika, „Bez tytułu”, ostatni obraz Michaela Glawoggera, dokończony dwa i pół roku po jego tragicznej śmierci przez Monikę Willi, nominowane do Oscara „Brakujące zdjęcie” Rithy’ego Panha, a także „Perłowy guzik” Patricia Guzmána, który otrzymał Srebrnego Niedźwiedzia za najlepszy scenariusz na Festiwalu Filmowym w Berlinie w 2015 r. – to tylko część filmów, które można kupić w specjalnie wydany, kolekcjonerskim boksie z najlepszymi filmami Festiwalu Filmowego Millennium Docs Against Gravity. Więcej na: www.againstgravity.pl.

MÓWIĆ GOMBROWICZEM



Jeśli ktoś nie radzi sobie z odbiorem dramatów Witolda Gombrowicza, szansą dla niego jest inscenizacja Anny Augustynowicz, zrealizowana dzięki współpracy Teatru im. Jana Kochanowskiego w Opolu i Teatru Współczesnego w Szczecinie. Intryga została tu przedstawiona jako sen, w którym może się zdarzyć wszystko. Nad wszystkim króluje mięsisty, szorstki, a zarazem wieloznaczny język Gombrowicza, który może drażnić, bo głęboko tkwi w duszy Polaka. Ten język to obsesja autora, ale też archetyp naszej chorobliwej komunikacji. Często bowiem, rzucając wyzwiska pod czyimś adresem, chcielibyśmy nadać słowom szczególne, wręcz rytualne znaczenie. Tymczasem słowa w swej istocie są puste, niemal bez znaczenia, jak większość naszych sporów. Aktorzy cały czas trzymają nas w napięciu, bo nie wiemy, do czego zdolne są zjawy przychodzące we śnie.

Bronisław Tumitowicz

WITOLD GOMBROWICZ, „ŚLUB”, REŻYSERIA ANNA AUGUSTYNOWICZ, SPEKTAKL NA SCENIE TEATRU IMKA W WARSZAWIE W RAMACH FESTIWALU POLSKA W IMCE, 27 LISTOPADA 2017



BEZ LEWEGO NIE MA PRAWIE NICZEGO

Nasza siła jest mniejsza, niż sugeruje ranking FIFA.
O ile – to zweryfikują mecze na mundialu

Rozmawiają Adam Godlewski
i Maciej Polkowski

Kiedy znanemu dziennikarzowi sportowemu Adamowi Godlewskiemu zaproponowałem rozmowę o naszej reprezentacji piłkarskiej, zgodził się natychmiast, ale z zastrzeżeniem: „Macieju, wcale nie jest tak różowo!”. Warto jednak podyskutować. Gdzie prawda, a gdzie fałsz? Jaka jest sytuacja? Z kim i po co mamy jechać na finały do Rosji w 2018 r.?

Maciej Polkowski: – „Przed wszystkim te dwa mecze będą oka-

zją, żeby pokazać jakość i piłkarską mądrość reprezentacji Polski. Mamy okazję, by zaprezentować nasz poziom i potwierdzić, że wyniki w eliminacjach nie wzięły się z niczego”, obiecywał Robert Lewandowski przed listopadowymi towarzyszymi potyczkami z Urugwajem (0:0) i Meksykiem (0:1). Na obietnicach się skończyło – przekonaliśmy się dobitnie, że bez niego zespół narodowy traci katastroficznie dużo. Nikt nie jest w stanie go zastąpić.

Adam Godlewski: – Podobnie jak nikt nie jest w stanie zastąpić Leo Messiego w reprezentacji Argentyny czy nie mógł zastąpić Zbigniewa Bońka w naszej kadrze w szczytowym okresie kariery

Zibiego. Tak to już jest z absolutnie wybitnymi piłkarzami, że rodzą się w poszczególnych krajach rzadko, a w Polsce w ostatnich dekadach mniej więcej raz na 30 lat. Drużyna Adama Nawałki jest uzależniona od goli, a nawet obecności Lewandowskiego i zapewne tak już pozostanie do końca jego kadencji. Nasza ofensywa we wspomnianych meczach towarzyszych istniała tylko teoretycznie, czemu zresztą trudno się dziwić, w sytuacji gdy trener zdecydował się na ustawienie z pięcioma *de facto* obrońcami. Bez Lewego to schemat wyłącznie na przetrwanie – obronę bezbramkowego remisu albo wytrzymanie do serii jedenastek w fazie pucharowej turnieju. Nawet skuteczny, jeśli idzie o grę w destrukcji, ale da-

Nasza drużyna jest uzależniona od goli,
a nawet obecności Lewandowskiego.



Bez Lewego nie ma ataku, ale obronę też ustawi. Nz. Piotr Zieliński, Robert Lewandowski i Łukasz Fabiański – mecz z Armenią, 11 października 2016 r.

Bartosz Kapustka (nz. w meczu z Armenią) był największym odkryciem Nawałki, ale źle pokierował karierą i dziś trzyma poziom kadry młodzieżowej.

jący mgliste nadzieje, a po prawdzie to niedający żadnych, na nasze gole.

SZANUJMY NAWALKĘ, DOPÓKI JEST

MP: – Wielokrotnie wspominałeś o wyjątkowej pracowitości Adama Nawałki, ale w niektórych słabszych momentach przypominała mi się nieco abstrakcyjna anegdota o studencie, któremu nie szło na egzaminie, jednak zapewniał profesora, że naprawdę się uczył. Egzaminujący poradził: „Nie trzeba było tyle się uczyć, ale trzeba było umieć!”.

AG: – Nie zgadzam się z krytyczną oceną Nawałki. To ojciec sukcesu, za stał kadrę – bez słowa przesady – nie tylko drewnianą, ale wręcz spróchniałą, a zbudował murowaną. I nie mówię o samych wynikach, ale też o sposobie pracy z drużyną, liczebności sztabu, technikach rozpracowywania rywali. Wcześniej to była pełna amatorszczyzna. Obecny selekcjoner potrafił przekonać władze PZPN, a zwłaszcza skarbnika, że bez zwielokrotnienia nakładów finansowych na prowadzenie reprezentacji o satysfakcjonujących rezultatach wszyscy będą mogli jedynie pomarzyć. Jako były asystent Leo Beenhakera miał wiedzę, na co szczególnie trzeba zwrócić uwagę, prowadząc zespół narodowy w obecnych – toczących się dla piłkarzy w zwariowanym tempie – czasach,

Tylko skłonnościom Adama Nawałki do pracoholizmu kibice zawdzięczają osiągnięte w ostatnich latach wyniki.

ale przede wszystkim wizję i konkretny pomysł, jak to zrobić. Jest w polskich realiach absolutnym pionierem i tylko wrodzonym skłonnościom Nawałki do pracoholizmu kibice zawdzięczają osiągnięte w ostatnich latach wyniki, które wcale nie wzięły się z wciąż miernego potencjału naszego futbolu. Mówiąc szczerze – wyniki są ponad stan, dlatego wszyscy powinni się nauczyć szanować obecnego selekcjonera, zanim odejdzie ze stanowiska. A pewnie odejdzie już po mundialu w Rosji i rozpocznie pracę w zupełnie innym systemie walutowym.



Mając do dyspozycji 13, góra 14 zawodników na międzynarodowym poziomie, nie sposób grać efektywnie i totalnie w turnieju.

WYJĄTKOWO KRÓTKA ŁAWKA REZERWOWYCH

MP: – Kilkakrotnie na łamach PRZEGLĄDU zwracałem uwagę, że zarówno selekcjoner, jak i zawodnicy doskonale wiedzą, że dzisiaj wymaga się od nich znacznie więcej, lepiej, efektywniej. Po Euro 2016 oceniałem, że we Francji grano niezwykle ofiarnie, ale często bez błysku, natchnienia i odwagi graniczącej z ryzykiem. Nie podzielałem entuzjastycznych

do zmian, tymczasem to naprawdę inteligentny facet, który po prostu zdawał sobie sprawę, że każda rozszada personalna powoduje osłabienie zespołu. Kołdra była ewidentnie przykrótką, żeby mogła przykryć i nogi, i głowę, więc trener musiał na coś się zdecydować. Mając do dyspozycji 13, góra 14 zawodników na międzynarodowym poziomie, nie sposób grać efektywnie i totalnie w turnieju z takim współczynnikiem trudności jak mistrzostwa Europy.

MP: – To Zbigniew Boniek przyznał, że po mistrzostwach Europy ukonstytuowała się grupa bankietowo-rozrywkowa. Dość długo prosperowała, skoro do tzw. afery alkoholowej doszło w pierwszej połowie października zeszłego roku przed meczem z Armenią. No i ta kompromitująca wrześnieńska wpadka z Danią (0:4). „Dlaczego zawiodło wszystko? (...) Przeprowadzimy analizę tego, co się wydarzyło, załatwimy to między zawodnikami”, stwierdził Nawałka tuż po meczu w piątek, by już po dwóch dniach oświadczyć: „Zamknęliśmy sprawę Kopenhagi i skupiamy się tylko na meczu z Kazachstanem”. Jak widać, niektóre sprawy udało się w gruncie rzeczy zamieść pod dywan – nie poznaliśmy i za-

opinii, że nie traciliśmy bramek, skoro niezmiennie istotą piłki pozostaje ich zdobywanie.

AG: – Tak krawiec kraje, jak mu materii staje. Skoro Lewandowski stawiał się na zgrupowaniu przed Euro 2016 wyczerpany sezonem ligowym i bez formy, trzeba było inaczej określić priorytety. OK, z Portugalią w ćwierćfinale można było – przy większej dozie szczęścia – wygrać w serii rzutów karnych, ale w moim odczuciu polski zespół na francuskich boiskach wyciągnął maksa. Nawałka był krytykowany za niechęć

- pewne nigdy już nie poznamy przyczyn ani szczegółów.

AG: – Fakt, że afera hotelowo-dywanowa ujrzała światło dzienne, okazał się niezwykle pomocny nie tylko na finiszu... kampanii wyborczej w PZPN, ale także w odzyskaniu przez Nawatkę kontroli nad drużyną. I trzeba oddać sprawiedliwość selekcjonerowi, że bardzo umiejętnie zarządzał sytuacją kryzysową. Publiczność była niepokieszona, poznając z przecieków dwa, trzy nazwiska winowajców, i to nie z pierwszego szeregu, natomiast trener, który skrzętnie ukrywał przed mediami szczegóły i prał brudy w szatni, zachowywał się w ten sposób z pełną premedytacją. Dzięki temu zyskał w oczach zawodników, ale też dostał argumenty, dzięki-

mocho do myślenia selekcjonerowi i jego sztabowcom, dlatego doczekaliśmy się wreszcie w listopadzie ustawienia 1-5-2-3, ćwiczono – o ile mnie pamięć nie myli – już przed zwycięskim meczem z Niemcami w Warszawie w 2014 r. A zapewne rywale biało-czerwonych będą zdziwieni, widząc także zupełnie inne niż dotychczas rozwiązania w systemie z czwórką zawodników w bloku obronnym, czyli w naszym podstawowym. W tym sensie baty w Kopenhadze miały wymiar terapeutyczny, uzmysłowiły trenerowi kadry, że na pewnym etapie eliminacji zapomniał o... BHP.

MP: – Nasza pierwsza kadrowa prezentuje się więc całkiem, całkiem, ale pod warunkiem, że wszyscy podstawowi gracze są zdrowi, zwarci i go-

potem pomocnik, który bez wątpienia był największym odkryciem Nawatki, źle pokierował karierą, a właściwie zdegradował się na własne i swoich agentów życzenie i dziś trzyma po-

Fart jest potrzebny każdemu trenerowi.

ziom kadry... młodzieżowej. Kto i kiedy pojawił się w miejsce Kapustki? Otóż dopiero tej jesieni Maciej Makuszewski z Lecha Poznań. Zawodnik znacznie starszy, nie tak utalentowany i nie tak finezyjny, choć przy posusze, z którą musi się zmagać selekcjoner, coraz bardziej przydatny. A jednak dopadł go olbrzymi pech i jego szanse wyjazdu na mundial zmalały do zera. Podczas meczu Lecha z Cracovią 10 grudnia zerwał więzadła krzyżowe i poboczne. Przerwa w grze potrwa od sześciu do dziewięciu miesięcy.

Piorąc brudy w szatni, trener zyskał w oczach zawodników i mógł grupę sprowadzić z odlotu na ziemię.

ki którym mógł grupę – niewątpliwie skłoną do zakochiwania się w sobie z wzajemnością i z dużą łatwością – sprowadzić z odlotu na ziemię. I nie zawahał się ich użyć. Jeśli zaś chodzi o 0:4 w Kopenhadze, to zupełnie się nie dziwię, że Nawatka nie zrobił publicznego rachunku sumienia, podczas którego musiałby, chcąc nie chcąc, pokazać miękkie podbrzusze drużyny. A już wystarczy, że Duńczycy „przeczytali” grę naszego zespołu niczym dziecięcą książeczkę i bezlitośnie wykorzystali tę wiedzę. Po prostu zbyt długo nasz zespół powtarzał pewne schematy, które Duńczycy nie tylko rozszyfrowali, ale i znaleźli na nie piorunujące antidotum. Dało to jednak

towi. Martwi wyjątkowo krótka tawka pełnowartościowych rezerwowch.

AG: – To faktycznie największa słabość reprezentacji. Selekcjoner próbuje zaczarować rzeczywistość i od kilku lat utrzymuje, że pod stałą obserwacją znajduje się ponad 70 zawodników. Kiedy jednak przychodziło do ogłaszania powołań na mecze – debiutanci pojawiali się nader rzadko. Co oczywiście wcale nie jest dowodem konserwatyzmu Nawatki, tylko słabości zaplecza. Prosty przykład – jednym z bohaterów Euro 2016 był Bartek Kapustka, którego grę na francuskich boiskach docenił nawet słynny i mocno krytyczny wobec współczesnych piłkarzy Gary Lineker. Tyle że

NIE STAĆ NAS NA SZALEŃSTWO

MP: – Należy zdać sobie sprawę, że przez rywali jesteśmy dzisiaj postrzegani nie jako europejski średniak, ale jako groźny i wymagający *team* dysponujący składem z kilkoma bardzo mocnymi graczami ze znaczących klubów, z gwiazdą pierwszej wielkości Lewandowskim. Co nie oznacza, że do rywalizacji z nami ktoś przystąpi z kompleksami.

AG: – Nie przywiązywałbym się do wysokich notowań białoczerwonych w rankingu FIFA. Z oczywistego powodu – swoją rolę już odegrały przed podziałem na mundialowe koszyki.

NAJLEPIJ I NAJGORZEJ – TYPUJE MIROŚLAW TŁOKIŃSKI

Były świetny piłkarz, zapamiętany przede wszystkim jako widzowiak (1976-1983), od wielu lat mieszka w Szwajcarii, gdzie zajmuje się szkoleniem młodzieży. Jest zapraszany przez ECA (European Club Association) na różne międzynarodowe seminaria. Z czasem stał się cenionym analitykiem – dlatego poprosiliśmy go o przejrzenie wszystkich eliminacyjnych meczów Polaków oraz wybranie i skomentowanie dwóch sytuacji. Oto one:

NAJLEPSZY ATAK: POLSKA-CZARNOGÓRA 4:2, 8 PAŹDZIERNIKA 2017 R.

Najlepszą akcją ofensywną w eliminacjach był szybki atak Polski w meczu z Czarnogórą. To jedyna akcja (!) zespołowa w całych eliminacjach, w której doprowadziliśmy do „równowagi liczebnej” (6:6). W końcowej fazie Łukasz Piszczek dośrodkował do znajdującego się w okolicach

16. metra Piotra Zielińskiego, a ten (mimo kiku) podał na lewo do Krzysztofa Mączyńskiego, który z 12 m płaskim strzałem zdobył bramkę na 1:0.

NAJGORSZA OBRONA: POLSKA-ARMENIA 2:1, 11 PAŹDZIERNIKA 2016 R.

Najgorszą i jednocześnie najszcześliwszą sytuacją w grze defensywnej naszej formacji obronnej był kontratak zespołu Armenii w 93. (!) minucie, w sytuacji trzech na trzech, po którym napastnik Aras Özbiliz strzelił tuż obok prawego słupka. Należy dodać do tego dwa fakty. Zespół gości od 30. minuty grał w dziesiątkę, a w 95. minucie Lewandowski strzelił zwycięskiego gola dla Polski na 2:1. Według mnie to najgorsza interwencja naszej obrony w eliminacjach, a jednocześnie najszcześliwsze zakończenie.

A teraz już nikt lub prawie nikt nie będzie sobie zaprzętał tym głowy. Zresztą w Polsce wiedziliśmy od dawna, że właściwie nie rozgrywając meczów towarzyskich w trakcie eliminacji mistrzostw świata, Nawałka – zapewne wspierany przez prezesa Bońka – „oszukuje” (choć oczywiście nie łamiąc żadnych przepisów) system stworzony do naliczania światowej klasyfikacji. A gdyby ktoś z zagranicy nie połapał się w przyjętej strategii, to przed moskiewskim losowaniem grup mundialu Hiszpanie publicznie obnażyli naszą drogę, wiodącą nieco na skróty do pierwszego koszyka. Chociaż i bez tego większość uczestników mundialu w roku 2018, mających o sobie dobre zdanie, z pierwszego koszyka chciała wylosować właśnie biało-czerwonych. Zupełnie nieprzypadkowo. Nasza siła jest

z pewnością mniejsza, niż sugeruje ranking FIFA. O ile – to zweryfikują mecze na mundialu.

MP: – Nieustannie zachęcam, by w grze biało-czerwonych pojawiło się więcej fantazji, a może nawet odrobina szaleństwa. Jak się wydaje, Nawałka nie ma duszy ryzykanta, ale trzeba przyznać, że sprzyja mu szczęście. Dość przypomnieć sobie, co się działo w ostatniej półgodzinie spotkania z Kazachstanem (przy stanie 2:2), a także zwycięski gol Lewandowskiego w ostatniej akcji meczu z Armenią (2:1).



Łukasz Piszczek może być podporą prawej obrony, pod warunkiem że ominą go kontuzje.

na uśmiech fortuny. Dobrze więc, że przy wszystkich niedostatkach wynikających z niezbyt dużego potencjału Nawałka z fartu potrafi uczynić walor. Jeśli jednak w dalszym ciągu nasz zespół będzie tracił tak dużo goli po przerwie, jak to się działo w eliminacjach – a 11 z 14 straconych przez biało-czerwonych bramek padło w drugich połowach – to nawet szczęście nie uchroni naszej drużyny przed gorszymi niż dotychczas wynikami. Poprzeczka pójdzie przeciw znacznie w górę, a polska drużyna ma ewident-

Jeśli nasz zespół wciąż będzie tracił tak dużo goli po przerwie, to nawet szczęście nie uchroni drużyny przed gorszymi wynikami.

AG: – Fart jest potrzebny każdemu trenerowi, to w moim odczuciu ogromnie istotny element warsztatu. I mówię to całkiem serio. Przy bardzo wyrównanym poziomie i zaawansowanej już nie tylko w Europie taktyce bez odrobiny szczęścia trudno marzyć o dobrych wynikach. Zresztą legendarny Kazimierz Górski, choć dysponował nieporównanie większymi możliwościami selekcyjnymi, bo tamta generacja polskich piłkarzy była więcej niż złota i za naszego życia podobna już się nie powtórzy, także mógł liczyć w pracy z kadrą

na problem z utrzymaniem koncentracji, zwłaszcza przy korzystnym wyniku. To jest poważny mankament, nad którym sztab kadry musi popracować – i to bardzo mocno – przed startem w finałach mistrzostw świata. Selekcjoner ma oczywiście świadomość tej niedoskonałości, trudno zatem wymagać, żeby decydował się na odrobinę nawet innego szaleństwa.

MP: – Oceniając realnie, wyjście z grupy H to szczyt naszych możliwości? W tym przypadku w jednej ósmej finału trafimy zapewne na Anglię lub Belgię i...?

AG: – Najwięcej, a właściwie wszystko, zależy od tego, w jakiej formie i w jakim stanie zdrowia na przedmundialowym zgrupowaniu stawi się Lewandowski. Dotąd mogliśmy tylko się tego domyślać, natomiast po spotkaniach z Urugwajem i Meksykiem już wiemy ponad wszelką wątpliwość, że bez Roberta nie ma życia w ofensywie naszej drużyny narodowej. Kluczowe pytania na przełomie maja i czerwca będą zatem brzmią, jak bardzo Lewandowski jest zmęczony i ile potrzebuje czasu, żeby odzyskać świeżość. Niepopularna prawda jest taka, że kibice reprezentacji Polski powinni marzyć o tym, żeby Bayern – akurat w 2018 r. – nie awansował do finału Ligi Mistrzów. A gdyby jeszcze Bawarczycy przepadli w rozgrywkach Pucharu Niemiec, np. w kwietniowych półfinałach, komfort przygo-

towań naszej kadry do rosyjskiego turnieju byłby pełny. Tyle że Lewandowski jest człowiekiem niezwykle ambitnym. Robertowi bardzo doskwiera brak w domowej gablocie ważnych międzynarodowych trofeów. Poza tym po upragnionym zwycięstwie w Champions League forma psychiczna naszego kapitana byłaby zapewne rewelacyjna. Powinniśmy zatem chyba ścisnąć kciuki za nową dietę cud wymyśloną przez jego żonę Anię, a nie szeptać: skuś baba na dziada przed spotkaniem z monachijczyków. Warto przy tym

pamiętać, że bardzo dobrze się stało, że biało-czerwoni przystąpią do rywalizacji w grupie H dopiero 19 czerwca, a nie od pierwszego dnia turnieju. Każda kolejna doba, którą napastnik Bayernu będzie mógł przeznaczyć na regenerację, może bowiem się okazać kluczowa. Również dla wyniku ewentualnej potyczki z Anglią lub Belgią na początku fazy pucharowej, ale nie wolno zapominać, że Lewy w życiowej formie będzie niezbędny Nawałce już od premierowego starcia z Senegalem.

Maciej Polkowski

Najlepszy prezent dla rodziny i przyjaciół!

PRENUMERATA 2018

Prenumeratę krajową wydania papierowego tygodnika PRZEGLĄD można zamówić w redakcji od dowolnego numeru:

KWARTALNA 79 zł
PÓŁROCZNA 149 zł
ROCZNA 289 zł

Zamów prenumeratę
ROCZNĄ
i odbierz książkę
GRATIS!



sklep.tygodnikprzeglad.pl

tel.: 22 635 84 10 w. 120; e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Oferta promocyjna ważna do 31 grudnia 2017 r.

DOWÓD / POKWITOWANIE DLA WPLACAJĄCEGO

nr rachunku odbiorcy
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

nr rachunku odbiorcy c.d.

odbiorca:
**Fundacja Oratio Recta
ul. Inżynierska 3 lok. 7
03-410 Warszawa**

kwota:

zleceniodawca:

tytułem:

Prenumerata

stempel
dzienny

Opłata:

nazwa odbiorcy
Fundacja Oratio Recta

nazwa odbiorcy cd.
ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa

nr rachunku odbiorcy
7 2 1 0 9 0 2 8 5 1 0 0 0 0 0 0 1 2 0 2 3 9 8 2 1

W P

waluta

kwota

nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)

nazwa zleceniodawcy

nazwa zleceniodawcy cd.

tytułem

Prenumerata redakcyjna (roczna, półroczna, kwartalna)

tytułem cd.

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

Opłata:

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

LULANIE NA OSTRO

Świeżo narodzone Chrystusiki miały okrągłe pupki bobasów, rozkoszne policzki i papuśne kolanka. Leżały równo w kartonowych pudłach i okropnie brudziły, bo całe były z gipsu, białe i trzeba sobie było wyobrazić, że są różowe, mają rzęsy i pachną. W ogóle w kościele trzeba było sobie dużo wyobrazić i to było ogromnie sympatyczne. Wyświetlać sobie przed oczami a to anioły, a to ciało i krew, a to jak ktoś pomnaża dukaty. No i wiele razy, jak ktoś umiera: w obronie swojego dziewictwa albo na krzyżu. Białe Chrystusiki były więc i tak cudownie materialne. Niedrogie, choć kiedy ktoś chciał mieć wszystkie warianty – musiał jednak swoje wybulić. W parafialnym sklepie na plebanii sprzedawano Chrystusiki na sianku, w kotysce i klasyczne. Małe i trochę większe. A kolekcjonowanie zawsze jest wyczerpujące. No i trzeba pamiętać, że w tym czasie na rynek ostro wchodziły inne dewocjonalia: zimowe edycje świętych obrazków, które były po prostu rajcowne! Teraz dziwi mnie, że nie malowaliśmy tych figurerek lakierem do paznokci ani farbami. Pewnie ze strachu przed karą bożą lub ziemską represją rodziców.

Oczywiście największy bobas leżał w kościele i nie był biały. Wszyscyśmy podchodzili nabożnie, żeby pogapić się na prawdziwe siano i wrzucić monetę do rasi-stowskiej skarbonki. Pieniądz wkładało się w dziurę na plecach porcelanowego Murzynka, który dziękczynnie machał główką. U jego stóp – żeby nie było wątpliwości – widniał napis „Bóg zapłać”. Podchodziliśmy pobożnie do Murzynka i czekaliśmy zafascynowani na to czarodziejskie kiwnięcie.

Chrystusiki miały dwuznaczny status. Były świątobliwe, ale były też trochę lalkami i śmiało można im było robić kołderki z ligniny, czapki z waty i ostro je lulać. Proszę sobie wyobrazić, ile rozpaczy czai się w tym obrazie: pęknięte główki, odłupane uszy, połamane nóżki i urwane rączki, które z żalem podnosiło się z posadzki. Gips był raczej

nietrwały i takie kolizje zdarzały się nawet figurkom w pudełkach. Co było pretekstem do powoływania kapitałnych szpitali, gdzie mogłyśmy z koleżankami obmywać ranne bobasy w miskach, robić im zastrzyki i okłady (nasze chomiki były wdzięczne za te szczęśliwe chwile wytchnienia). A nawet czytać im „Koziołka Matołka” i karmić ryżem preparowanym w namiocie z koca.

Kiedy wreszcie nadchodziło Boże Narodzenie, figurki były już mocno sterane. Nic w tym dziwnego: skoro nawet ojciec wyglądał na steranego i matka wyglądała na steraną, to co dopiero taka figurka, która ma jednak niewiele lat i sama sobie herbaty nie robi. Ale było coś szczęśliwego w patrzeniu na oświetlony lampką kącik przyrody – czyli mech, patyki i szyszki – który stanowił

Najdziwniejsze było wieszanie Chrystusików na choinkach. Uznaliśmy, że to przegięcie.

cudowny zakątek, przytulne spa, w którym Chrystusik zbierał siły na dalszą świętość. Bo przecież wiedzieliśmy, co mu potem zrobią i jak to wszystko się skończy.

Najdziwniejsze było wieszanie Chrystusików na choinkach. Uznaliśmy, że to przegięcie. I ściągaliśmy potajemnie te biedne istotki z gałęzi, tworząc dla nich coś w rodzaju przytułku. Siostra kolegi strasznie się bała tych bobasów. Pomnożone figurki, białe i chłodne w dotyku, wydawały się jej demoniczne. I nie chciała słyszeć o teatryku, w którym każdy ludzik może zagrać kogoś zupełnie innego. Ale my hołubiśmy kruche figurki, które co roku w grudniu stawały się bohaterami tych wszystkich niezwykłych historyjek i pieśni. Detronizowały Uszatka i Mickey. A do tego w nagrodę za przytułek, szpital, opiekę i teatrzyk – miały nas ostatecznie zbawić. Czego sobie i państwu życzę. Wesołych świąt!

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Dołącz do nas!

Otwarty dostęp

do wydań archiwalnych od 1999 r.

Jurek Owsiak

Celebrowanie jedzenia zawsze było dla mnie ważne podczas podróży. Nie wolno było go opuszczać, zwłaszcza wieczorem, a jeśli powstawały jakieś trudności, zawsze się kombinowało. Kiedy podróżowaliśmy po Nevadzie, pamiętam, że najbardziej smakowały mi steki usmażone na kratce kanalizacyjnej przy samochodzie. A jak i dlaczego na kratce?

Nevadę przemierza się długą drogą pomiędzy monumentalnymi górami, takimi jak z reklam Marlboro. Do dzisiaj żadne współczesne badziewie nie zaśmieca jej krajobrazu, nadal można tam kręcić filmy kowbojskie bez budowania scenografii, kaktusy są te same, drzewa te same, także piasek i skalne monumenty, tylko samochody musiałyby zniknąć z krajobrazu, ale też jest ich tam niewiele. I tak jadąc przez ten krajobraz, kupiliśmy sobie na jakiejś stacji benzynowej steki, porządne amerykańskie steki, krwiste, bardzo grube i nie do podrobienia. Jadłem kiedyś steki argentyńskie, miały nawet certyfikat, że pochodzą z najlepszej hodowli bydła w Argentynie, ale bujajcie się – stek amerykański jest jakby stworzony dla mnie, podchodzi mi najbardziej na świecie. Kupiliśmy więc sobie te wielkie steki, licząc, że wieczorem dojedziemy do celu – a zmierzaliśmy na złot harleyowców z całych Stanów – i tam je sobie zrobimy. Lecz nie dojechaliśmy do celu i kiedy wiedzieliśmy już, że nam się nie uda, zatrzymaliśmy się przy jeszcze jednej przydrożnej stacji.

Dzisiaj na stacjach benzynowych w wielu krajach możemy kupić grill oraz wszystko do grilla, co nam się zamarzy, tu jednak stacja była jakby osuszona z takich pomysłów. Bida z nędzą, oprócz paliwa – nic. Zapobiegawczo wieźliśmy ze sobą węgiel, ale nie mieliśmy na czym usmażyć steków. Zaczęliśmy więc rozmawiać z chłopakiem, który tam pracował.

– Nie wiesz, gdzie by tu można było kupić maszynę do grilla? – pyta kumpel.

– Nie, nigdzie tutaj czegoś takiego nie znajdziecie – powiada tamten. – Lecz wiecie co, chłopaki? Ja już parę razy pożyczałem takim jak wy krat-

LEGENDY O ŻARCIU

Jurek Owsiak:
Kiedy podróżowaliśmy po Nevadzie, najbardziej smakowały mi steki usmażone na kratce kanalizacyjnej przy samochodzie



Przystanek na pustyni Libijskiej.

kę kanalizacyjną i ludzie byli z niej zadowoleni. Smażyli sobie na tej kratce i jedli. Chcecie?

– Pokaż tę kratkę – mówimy.

Kratka była żeliwna, podtużna i istotnie nosiła ślady chyba setek grillowań.

– Może być – powiedzieliśmy.

– Ale mam prośbę: przywieźcie mi ją rano, tylko koniecznie.

Obiecaliśmy mu, rozbiliśmy się w pobliżu i na tej kratce, nad ogniskiem, mając sól za wszystkie przyprawy, usmażyliśmy sobie na kolację steki. Po dzień dzisiejszy pamiętam ich smak (...).

Jak podjechaliśmy rano pod stację, kołesia nie było, w ogóle wszystko zamknięte na głucho. Odłożyliśmy kratkę na swoje miejsce ze świeżym śladem naszego grillowania. Przy stacji była budka telefoniczna, a przy budce stała kobieta, nawet nie pamiętam, czy gdzieś obok był jej samochód. Zaczęła coś do mnie mówić i dopiero kumpel – Nepal – Amerykanin z wyboru, dosyć stanowczo z nią porozmawiał i zabrał mnie i Adasia do samochodu.

– O co chodziło – pytam.

– To była kobieta od Świadków Jehowy.



– A skąd się tu wzięła? A czego chciała – pytam.

– Odpowiedzi na ich stałe pytanie: czy wiemy, że świat zdąży w złym kierunku.

A my z Adasiem prawie że zgodnie:

– No pewnie, tu nie było żadnego oprzyrządowania do grilla!

NIC BIAŁEGO

Z jedzeniem na wyjazdach różnie bywa. W każdym kraju je się trochę inaczej, trzeba przede wszystkim wiedzieć, co jeść, bo nie zawsze może to być dla nas bezpieczne. W Indiach miałem zawsze jedną, żelazną zasadę – nie jem nic białego. Żadnych serów, żadnych twarożków, żadnych, kurwa, jogurtów. I zawsze mówiłem to swojej załodze: nie wciągajcie żadnych białasów, flora bakteryjna w środku jest kompletnie inna i nawet jeśli takie jedzenie jest formalnie zapakowane, wszystko styka i wydaje się, że jest OK, to dla Europejczyków nie będzie OK.

Kiedy pierwszy raz przyjechaliśmy naszą filmową ekipą do Indii, jeden z kolegów wciągnął oczywiście jogurt, mimo że cztery razy go prosiłem, by tego nie jadł. A wieczorem dostał takiego kogla-mogla, coś tak nim zakręciło między piersią a dupą, że zachowywał się, jakby siedział

w nim cały Czarnobyl. To była po prostu hekatomba! Jak się zaczęło, to pierwszy raz w życiu widziałem człowieka, który pawiem otworzył drzwi do łazienki. Poleciałem z miejsca po kubek, bo wiedziałem, że za chwilę będą się tam działy rzeczy niezwykle, i miałem rację. Siedział albo klęczał nad wiadrem całą noc do samego rana i wszystko się z niego wytrząsnęło, kompletnie wszystko: dzieciństwo, młodość. Co tylko w sobie miał, zostało wyrzucone z niego do zera.

Rano, kiedy mieliśmyjechać dalej, facet wyglądał jak szmata, nie miał nawet siły ruszać ustami. Indyjskie białe żarcie zadziało na niego jak słynna zemsta faraona w Egipcie, wyeliminowało go całkowicie z pracy.. (...)

AHA, MA PROBLEMY

Kiedyś w Indiach i ja znalazłem się jednak w sytuacji, w której nie było wybaczyć. Wydawało się, że naprawdę nie mam już wyjścia, że przysłała na mnie krysa i też będę musiał skosztować białego żarcia. Zostałem zapędzony w kozi róg, ale wykazałem się bohaterstwem i polskim sprytem.



Australia w pełnej krasie.

Zdarzyło się to w jakiejś wiosce, do której pojechaliśmy, żeby nakręcić materiał o tym, jak rządzą nią kobiety. Właściwie chodziło o biedę w Indiach, o ten kosmiczny kontrast pomiędzy bogatymi a biednymi, między tymi, którzy opływają w dobrobyt, a tymi, którzy walczą o byt (...). W tej wiosce kobiety pokazały, jak

Jadłem kiedyś steki argentyńskie, ale bujajcie się – stek amerykański jest stworzony dla mnie.

dać sobie radę z biedą, a to dzięki facetowi z Bangladeszu, ekonomiście, który dostał Nagrodę Nobla za to, że wymyślił mikropożyczki, kredyty dla najbiedniejszych na kilkanaście czy kilkadziesiąt dolarów. Notabene ten gość, który nazywa się Muhammad Yunus, był gościem w naszej Akademii Sztuk Pięknych na Przystanku Woodstock. (...)

Kobiety w wiosce przyjęły nas bardzo serdecznie i kolorowo. Nasza wizyta musiała być dla nich czymś ogromnie ważnym, bo specjalnie na tę okazję założyły bardzo piękne sari i były rozśpiewane. Kobiety w Indiach na ogół bardzo ciężko pracują. (...) Wieś, do której trafiliśmy, też poczyniła ich rękoma wielki postęp, bo wyremontowano szkołę i wzorzyście pomalowano ściany, i pięknie się rozwinęła. Kobiety pokazały nam nawet z dumą wioskowy szalet, prawdziwą murywaną, publiczną toaletę, którą właśnie budowały. Zastaliśmy właśnie gościa, który instalował typową dla indyjskich toalet porcelanę, czyli szalet z dwoma miejscami na nasze stopy.

Przyjechała telewizja, filmuje wioskowe osiągnięcia, trzeba więc ją godnie przyjąć. Zaproszono nas do wójta na kurtuazyjną wizytę. Przyjął nas z całą swoją rodziną bardzo elegancko i dostojnie, po czym zaprosił na poczęstunek. Spojrzałem na podłogę, na której na wielkim obrusie rozstawione było jedzenie, i zdrętwiałem, bo leżało tam samo białe... Ułaaa, samo białe, nic innego! Pani domu przygotowywała jeszcze podpiomyki, czyli robiła z ciasta piękne placuszki i rzucała je na rozgrzaną blachę, a kiedy spuchły, wkładała



► rękę w jakieś smarowidło, przeciągała nią po podpłomyku i rzucała go na kupkę innych. Natychmiast postanowiłem, że pod pozorem zdobywania przepisu i praktyki sam upiekę sobie taki placuszek, ale kiedy trzymałem go już w rękach, ona i tak mi go wyrwała i przesunęła po nim swoją rączusią z tłuszczykiem. A potem postawili to wszystko przed nami, kazali nam zasiąść wokół obrusa i pierwsze, co nalali nam do miseczek, to jakieś białe kefir, a może sosy.

Zmartwiałem. I wtedy zrobiłem ostatnią, desperacką rzecz, która mnie uratowała. Nagle wyjąłem z kieszeni telefon, który nie dzwonił, powiedziałem „Sorry” i wyszedłem przed dom. Zacząłem do tego telefonu coś gadać, na co nasi indyjscy przewodnicy, którzy z nami podróżowali, usłyszeli od gospodarza: – Kto tutaj mógł do niego zadzwonić? Przecież tutaj nic nie odbiera.

– Ale to jest polski telefon.

– No tak, chyba że polski.

A ja, kręcąc się, kręcąc, zacząłem powoli, ale coraz szybciej oddalać się od tego miejsca, od tej chaty, pomachałem im jeszcze z daleka ręką i krzyknąłem coś tam, żeby powtórzyli wójtowi. Więc powtórzyli:

– Ma problemy.

– Aha, ma problemy.

Nie zjadłem tego, co nam podano, nie ruszyłem ni kęsa, ale cała reszta mojej ekipy musiała to jeść i powiedziałam potem:

– Dzięki! Zostawiłeś nas z tym samych, samo białe! Białe do potęgi.

Rzeczywiście, nic im nie było! Choć ja i tak nie zmieniam zdania: bez białego!

HOTEL W CENTRUM UWAGI

Innym razem będąc w Indiach, przejazdem znaleźliśmy się w Delhi. Mieliliśmy akurat dzień odpoczynku, a już wcześniej zarezerwowaliśmy hotel. I to nie było gdzie, bo przy głównej ulicy w Paharganj. Hotel dumnie nazywał się Shelton. Opisać ulice? Podobne do siebie domy, tłok i gwar.

Wpadamy do hotelu, dosyć zmęczeni. Z zewnątrz widać, że budynek lata świetności ma już za sobą. Nad każdym oknem markiza, ale tylko

Siedział albo klęczał nad wiadrem całą noc i wszystko się z niego wytrząsnęło: dzieciństwo, młodość, co tylko w sobie miał.

konstrukcyjnie. Bo albo podarta, albo wydartą, oberwana, obszmacona i zwisająca. Ale to normalka. Rozłazimy się po pokojach i z naszą męską ekipą, jak zwykle, wszyscy schodzimy się do mojego pokoju. Coś tam popijamy, jest gorąco, duszno, siedzimy w samych gaciach. Wtedy dopadły nas pierwsze dźwięki, coś zagrało.

Często w Indiach, nie tylko w dużych miastach, najpierw słyszeliśmy, a później widzieliśmy generalską orkiestrę. Generalską, bo każdy mu-

Lądowanie w Himalajach.

zyk miał pagony i milion frędzeli. Orkiestra musi być widoczna i z fajerwerkami. Nikt z nas nawet nie podniósł łba. Dopiero po chwili ktoś poczłapał do okna i powiedział: orkiestra. Żadnego ruchu. A bo to pierwsza? Orkiestra przeszła ulicą tuż pod naszym hotelem. Rzeczywiście, głośna, więc dla formalności zerknąłem. Kolorowa, ludna, ale już nie będę dupy zwracał kolegom, żeby chwycili za kamery, bo pochód właśnie się kończy i znika w głębi ulicy.

Aż tu nagle, jak nie pierdolnie! Ale nie to, że raz. Petarda! Potem jeszcze większa, chwila ciszy i znowu kompletny Sajgon. I nie ma bata. Wszyscy jesteście w oknie. Idzie druga orkiestra. Odruchowo kumple już zaczynają grzebać przy sprzęcie filmowym, żeby go pozbierać do kupy. I tu zaczyna się widowisko. Idzie pochód. Kolorowy. Piękny. Jedzie facet na cudnym białym koniu. No, może nie białym, ale tak chcielibyśmy to zobaczyć. Wszystko jak w najbardziej kolorowym filmie z Bollywood. To nie błahostka. Na trzy cztery dostaliśmy takiej petardy, że nogi same biegly po schodach. Byliśmy w tych kąpielowych gaciach, w laczkach na nogach i z kamerami. Wybiegamy z hotelu i trafiamy gdzieś w środek tego pochodu. Wchłania nas jak tornado, a następnie podaje nas sobie z rąk do rąk w tanecznym pląsie, uśmiechach i przyjacielskich poszturchiwaniach. Gonimy czotówkę jak peleton w Wyścigu Pokoju, wszyscy nam pomagają. Już po chwili mamy tego króla na koniu i tłum daje

nam znać, że nasze miejsce jest przed nim, bo wszyscy na całym świecie, a zwłaszcza ci, którzy kumają i widzą, że trzymamy w rękach zawodowe kamery, wiedzą, że jesteśmy z innego świata. I wszyscy ich wynajęci operatorzy weselni (bo okazało się, że to orszak weselny) po prostu w minutę osiem zostają na drugim planie. Nawet nasze stroje nic tutaj nie psują, bo przecież siebie nie filmujemy.

Ulica skręca i przed nami widzimy namiotowe miasto. Kilka dużych hal

i mnóstwo ludzi, którzy czekają na ten pochód i oczywiście na królewicza na koniu. Bo w namiocie już czeka pani młoda. Wśród ekipy jest wodzirej, który zajmuje się nami, jakby był wcześniej dogadany i zapłacony. Ale zna się chłopak na rzeczy, bo jedna kamera – myk do przedziału, gdzie pani młoda – cud urody – przygotowuje się do zawarcia związku. Druga kamera śledzi

globtroterów, którzy używali takiego wspaniałego sformułowania: „Spotkał mnie zaszczyt, bo trafiłem na niezwykłą uroczystość, na którą zostałem zaproszony”.

Nie zawsze w takie wspaniałe historie wierzę, bo kiedy byliśmy w Tanzanii i spotkaliśmy pasących bydło Masajów, to zażądali kilku dolarów honorarium, a zaraz później

Spojrzałem na podłogę, na której na obrusie rozstawione było jedzenie, i zdrętwiałem, bo leżało tam samo białe.

królewicza, a my szybko omiatamy to, co się dzieje dookoła.

Wszystko wyglądało trochę inaczej niż na polskim weselu. Po prostu ludzie przybyli nie na żarcie, ale głównie na tradycyjną i piękną ceremonię. Od początku do końca czuliśmy, że mocno ożywiamy towarzystwo, bo każdy chciał się prześlizgnąć przed naszą kamerą. W każdym zakątku świata wszystkie te regionalne historie robią wielkie wrażenie. Pamiętam, jak oglądałem niezapomniane reportaże wielu

dodali, że za stówę mogą odśpiewać, odtńczyć całe masajskie wesela. Kiedy wędrowaliśmy po Afryce Południowej, zaprowadzono nas do wioski zuluskiej, gdzie przekonywano nas o jej normalnym życiu i całym tym rytmem codzienności, który wyjątkowo będziemy mogli sfilmować. Tańczono, śpiewano, przygotowywano jedzenie. Wszystko szło super, dopóki w wiosce nie rozległ się dźwięk telefonu komórkowego. Cała atmosfera jebudu w sekundzie, a my popatrzyliśmy po sobie. A że-

by było śmieszniej, dwa lata później, z zupełnie inną ekipą, trafiliśmy w to samo miejsce.

Z kolei Hindusi na weselu bawili się czarująco i naturalnie, najbardziej podkreślił nas break dance w wykonaniu młodych chłopaków z turbanami na głowie. No, taki kącik młodzieżowy. Wszyscy chcieli z nami gadać. Wszyscy autentycznie odbierali to także jako superprzygodę, a może i furę szczęścia dla młodych na przyszłość. (...)

Traf chciał, że dostojnie kilka miesięcy po tym zdarzeniu na kanale Discovery obejrzałem niezwykle pięknie zrobiony program, gdzie jedną z sekwencji była właśnie taka ceremonia. Może mieli jeszcze lepsze kamery, może potężniejszy zespół, ale w naszym materiale serdeczności i ujęć spod kopyta było więcej!

Fragmenty książki
Jurka Owsiaka
Obgadywanie świata,
Znak, Kraków 2017







AFP ZDJĘCIA ROKU

1. Joseph Eid. Syryjski biznesmen Mohammed Anis słucha muzyki w swoim mieszkaniu w Aleppo. **2.** Eric Feferberg. Emmanuel Macron z żoną Brigitte Trogneux pozują do zdjęcia w przededniu wyborów prezydenckich (Touquet, Francja). **3.** Ronaldo Schemidt. Uczestnik ulicznych rozruchów przeciwników prezydenta Nicolása Madura (Caracas, Wenezuela). **4.** Alessio Paduano. Emigrant z Afryki ratowany u wybrzeży Włoch. **5.** Karim Sahib. Otwarcie Luwru w Abu Zabi, stolicy Zjednoczonych Emiratów Arabskich.





SOS WIOSKI
DZIECIĘCE

www.dziecisos.org

Święta
mogę sobie
tylko
namalować

Hania, 7 lat



ŚWIĘTA TO RODZINA

NIE MAJĄ JEJ TYSIĄCE DZIECI W POLSCE

Pomóż opuszczonym dzieciom. Przekaż świąteczną darowiznę dla zastępczych rodzin SOS na www.dziecisos.org lub na konto **07 1240 6247 1111 0000 4975 0683**

Patronat medialny:



Wybory Dudy

To jak, prezydent zablokuje nowo mianowanego ambasadora RP w Chinach czy nie? Wspominaliśmy już o tym – Andrzej Duda nie chce podpisać listów uwierzytelniających Wojciechowi Zajączkowskiemu, którego szef MSZ wysunął na stanowisko ambasadora RP w Pekinie. Sprawa przeciąga się, ośmieszając Polskę. O co w tym wszystkim chodzi? Ano o to, że Andrzejowi Dudzie nie podoba się przeszłość Zajączkowskiego. Ten czas, kiedy był ambasadorem w Rosji, między jesienią 2010 r. a latem 2014 r. Duda uważa, że w tym czasie Zajączkowski nie zachował się tak, jak powinien (według PiS), w sprawie śledztwa smoleńskiego i wszystkich z tym związanych kwestiach.

Czy tak było, czy też Zajączkowski po raz kolejny odpowiada za nie swoje grzechy?

Po raz pierwszy dostało mu się za innych w roku 2000. W tamtym czasie pracował w ambasadzie RP w Moskwie zaledwie od dwóch lat, wydawało się więc, że spokojne przed nim czasy. A jednak – w Warszawie UOP (to okres rządów AWS i premiera Buzka) złożył wniosek o wydalenie dziewięciu rosyjskich dyplomatów pod zarzutem szpiegostwa. Moskwa zareagowała retorsjami – prosząc o opuszczenie Rosji przez dziewięciu polskich dyplomatów. W tej grupie znalazł się Zajączkowski, któremu przy okazji wypomniano pracę w Ośrodku Studiów Wschodnich. Ostatecznie nasze MSZ, by nie komplikować mu życia, przeniosło go do ambasady RP w Kijowie.

W roku 2010 była więc pewna cienkość, gdy Polska poprosiła Rosjan o *agrément* dla nowego ambasadora. Mogli nie dać. Ale dali bez kłopotów. I – o ironio – jest to teraz kłopotem dla Zajączkowskiego. A w zasadzie było, bo jak mówią wiewiórki, Duda ostatecznie zdecydował,

że podpisze mu listy, i to jeszcze w tym roku. 28 grudnia Zajączkowski będzie mógł wylecieć do Pekinu.

Opisując te perypetie, trudno się oprzeć takiej oto refleksji – że w oczach prezydenta kłopotem jest dobra współpraca w roli ambasadora z poprzednią ekipą, że to w zasadzie dyskwalifikuje. A nie ma problemu, gdy na wielkie placówki szef MSZ kieruje dyletantów, osoby, które w dyplomacji nie przepracowały nawet jednego dnia.

To kazus Adama Burakowskiego, ambasadora w Indiach i Afganistanie. Uczestniczył on w tym samym posiedzeniu komisji sejmowej co Zajączkowski. Ale listy uwierzytelniające Duda podpisał mu jeszcze w listopadzie. Tym samym wysyłamy do Indii człowieka, którego głównym doświadczeniem związanym z aktywnością zagraniczną jest praca w... Europejskiej Unii Nadawców.

„Jeśli chodzi o moje doświadczenie dyplomatyczne, to jestem człowiekiem spoza MSZ – tak wyjaśniał posłom. – To wynika z mojego CV, natomiast współpraca międzynarodowa jest czymś, co robiłem przez całe życie zawodowe, zarówno w świecie akademickim i bardziej intensywnie w świecie mediów. Od wielu lat działam w Europejskiej Unii Nadawców jako przedstawiciel Polskiego Radia. Jestem koordynatorem grupy Europy Środkowo-Wschodniej w tym gremium. Wielokrotnie organizowałem różne wydarzenia międzynarodowe – w Parlamencie Europejskim w Brukseli, w Polsce. Ostatnio zorganizowałem wizytę władz Polskiego Radia w Chinach, połączoną z trasą koncertową”.

Tak, tak – zorganizował wizytę władz Polskiego Radia. W Chinach. I w związku z tym konkluduje: „Mam wystarczające doświadczenie, aby podjąć się tej misji, choć ona jest wybitnie trudna”.

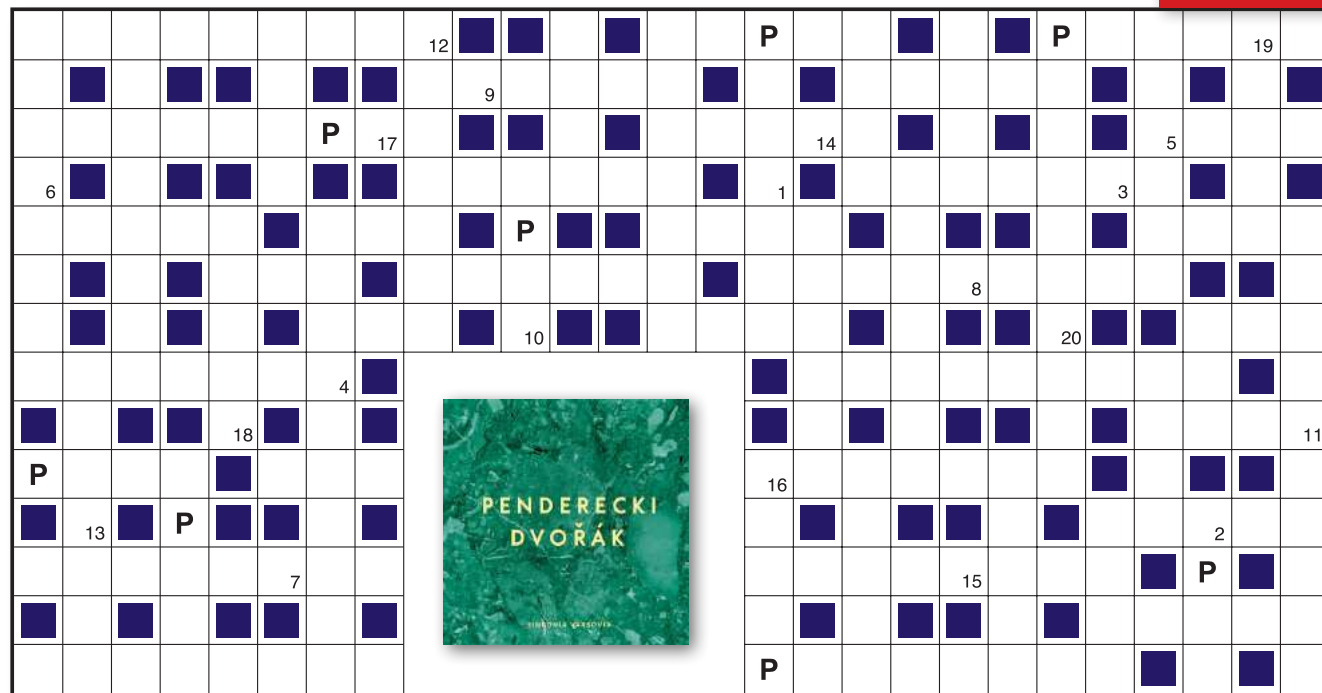
Panie premierze, przecież pan wie, że to się nie uda. Może więc jeszcze coś pan zrobi?

Attaché

AFP Zdjęcia Roku.
Brendan Smialowski.
Wyścig na torze
Ace Speedway
w hrabstwie Alamance
w Karolinie Północnej.



FOT. AP/PEAST NEWS



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery P ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- tajny, ubezpieczeniowy lub impresario
- zbiórka uczniów szkoły
- byk czczony w Memfis
- pierścień wyspy koralowej
- robi ciasta i słodycze
- znak przed cytatem, wyliczeniem
- Umberto od „Imienia róży”
- duchowny, kaznodzieja (skojarz z Księgą Koheleta)
- Zegadłowicz lub Zola
- dał Odyseuszowi worek z wiatrami
- potrafi zbudować igloo
- podrobiony dokument, obraz
- włoskie i polskie auto
- o kochance żartobliwie

- z tych zakładów wyjeżdżały syrenki
- głupiotkie dziewczątko
- styl w sztuce średniowiecznej
- tuja lub cyprysik i pilnik
- napaść na obce państwo
- imię autora „Pogody dla bogaczy”
- bardzo twardy metal szlachetny
- rwa kulczowa
- o Włoszech
- wyruszył po złote runo
- lochy więzienne
- przekąski wbite na wykałaczki
- uzdrowisko przy granicy z Czechami

- im dalej w niego, tym więcej drzew
- uryna
- stolica Kenii
- nierób, wałkoń
- moneta potrzebna w Hadesie
- na kostce do gry lub wodne
- tam ugoda austriacko-pruska w 1850 r.
- „...za trzy grosze”
- mecenas, opieka
- pielgrzymują
- aksjomat, fakt
- czyjeś działania, posunięcia
- Mario, autor „Ojca chrzestnego”
- w „Weselu” mówi: „Wyście sobie, a my sobie”
- wokalista melorecytujący
- córka Uranosa i Gai, żona Kronosa

- na nich pobierano opłaty wjazdowe
- ...sądowe w dawnej Polsce
- do tej czynności potrzeba kredek
- japoński alkohol z ryżu
- ślepo podporządkowany lizus
- pokojówka, posługaczka
- metal na medal dla wicemistrza
- spod ręki krawca i chirurga
- sztuczka, podstęp
- pojazd z innej planety
- przeraźliwy krzyk
- wstawka obca całości
- sprawunek, nabytek
- śnieżycza z silnym wiatrem
- drogowe lub wszystkie na niebie i ziemi
- imię Pogorzelskiej

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie” i opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych i prawie do ich poprawiania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-837”. Do rozlosowania CD „Penderecki, Dwořák. Sinfonia Varsovia” ufundowane przez Warner Music Poland. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu. Aby przestać hasło krzyżówki, trzeba napisać SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI, np. KRPRZ.837.DZIEN DZIECKA. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). SMS-y należy wysłać pod numer 72037 (płatny 2,46 PLN + VAT) do dnia 26 grudnia 2017 r.

Rozwiązanie „JOLKI-834” z 3 grudnia: *Sława jest cieniem odwagi.* Nagrody otrzymują: Eliza Kamionowska z Białegostoku, Jadwiga Kuśmierczyk z Łubka, Michał Łozowski z Pakoszy.

PENETRACJE

Press **JACEK PAŁKIEWICZ,** **PODRÓŻNIK, DZIENNIKARZ**

Kraje, które jeszcze do wczoraj były interesujące, egzotyczne, robiły wrażenie swoją odmiennością, dziś oferują głównie turystyczną cepelię, wszystko na pokaz. Jeśli ktoś jedzie dziś do Amazonii, chce zobaczyć, jak żyją prawdziwi Indianie. No więc biura podróży organizują wyjazdy do wiosek indiańskich. Tubylcy chowają wtedy telewizory, radia i inne elementy współczesności, przebierają się w stroje ludowe, a turyści przyjeżdżają i naiwnie oglądają ten spektakl. Nie widzą, że te stroje są uszyte wczoraj, a gdzieś spod nich wychodzą spodenki Adidas.

MONDE
diplomatique

STEFAN ZGLICZYŃSKI, **DYREKTOR PUBLIKACJI**

Były urzędnik w kancelarii prezydenta Kaczyńskiego, obecnie uprawiający jego schedę, zapowiedział w wywiadzie dla „Naszego Dziennika”, że podpisze ustawę zaostrzającą aborcję, „gdyż przesłanki eugeniczne są nie do zaakceptowania i polskie prawo w tym zakresie wymaga zmiany. Wystarczy spojrzeć tylko na to, jak szczęśliwe są dzieci z zespołem Downa, żeby wiedzieć, jak bardzo są one potrzebne na świecie”. Skoro tak, to życzę prezydentowi Dudzie jak naj-

więcej szczęśliwych dzieci i wnuków z zespołem Downa, a jako specjalście od eugeniki przypominam o niebывałym szczęściu dzieci z rozszczepem kręgosłupa czy małogłowie.

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

HANNA **GRONKIEWICZ-WALTZ,** **PREZYDENT WARSZAWY**

Decyzja o zwrocie kamienicy przy ul. Noakowskiego 16 została wydana w 2003 r. z upoważnienia prezydenta Kaczyńskiego. Poza tym mieszkaliśmy wtedy w Anglii, nawet nie wiedziałam, kiedy wrócę do kraju. W 2006 r., gdy nieruchomości była przekazywana spadkobiercom, wśród których był mój mąż, burmistrzami Śródmieścia byli: Zieliński, Błaszczak, Sasin i Brodowski. Wszyscy z PiS. To oni odpowiadają za tę decyzję.

TYGODNIK
ANGORA

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

Siedzi facet w restauracji, smutny taki, głowę rękami podparł. Przed nim pełny kieliszek. Ktoś przechodzi obok, korzysta z nieuwagi i szybko wypija zawartość. Facet podnosi głowę i mówi: – Co to za życie? Z pracy wyrzucili... Mieszkanie ograbili... Dacza się spaliła... Żona odeszła... Kochanka rzuciła... A teraz jakiś idiota truciznę mi wypił!

Aby język giętki...

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI **O ANDRZEJU DUDZIE**

Skąd czerpie wiedzę o konieczności zmiany konstytucji? Z własnych niekonstytucyjnych działań?

ANDRZEJ STASIUK O WŁADZY

Przecież oni dobrze wiedzą, że są trochę brzydsi, trochę głupszy, trochę mniej utalentowani, trochę słabiej mówią po polsku. Niby są przy tej władzy, ale jakby nie byli.

KATARZYNA LUBNAUER O APETYCIE

Jestem mięsożerna. Lubię mięsa krwiste lub w ogóle surowe, tatar...

JERZY URBAN PRZEPRASZA

Przepraszam wszystkich za to, że nie byłem gejem. Szczególnie przepraszam kobiety.

SZCZEPAN TWARDOCH **O LIBIDO W LITERATURZE**

Twórczość napędza libido, ale go nie buduje. Literaturę lepi się głową, a nie inną częścią ciała.

JERZY TRELA O KRZYSZTOFIE JASIŃSKIM

Jest twardym facetem, ale kryje też całe polećce delikatności. Czego dowodem jest SMS, jaki dostałem po premierze „Rozmów z diabłem” – „Kocham cię ch...ju”.

MONIKA STRZĘPKA O MARKU MIKOSIE

Twierdzi, że ma narzędzia do prowadzenia Starego Teatru w Krakowie, bo był jurorem konkursu amatorskich zespołów licealnych.

HENRYK MARTENKA **O POŚLE PIS STANISŁAWIE PIĘCIE**

Z drewnianą twarzą dowiedzie racji każdego nonsensu i będzie plótt tak długo, aż brednia stanie się wiarygodna.

AGATA KULESHA O NAGRODACH

Stoją w kuchni na szafce obok słoików. To dobre miejsce, bo mogę sobie na nie popatrzeć, kiedy gotuję albo zmywam.

ANDRZEJ GRABOWSKI O ZWIERZĘTACH

Pies chodzi za człowiekiem, a człowiek chodzi za kotem.

ANNA STARMACH O WOLNYCH DNIACH

Jeździmy z mężem w Bieszczady. Tam się wyciszam, śpiewam, choć nie umiem, a po całym dniu na połoninie piję grzane wino w schronisku.



FOT. AFP/EAST NEWS

AFP Zdjęcia Roku. Antonin Thuillier. Hinduska aktorka Aishwarya Rai Bachchan na 70. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Cannes.



Wirtualne oszustwo

14-letni uczestnik gry Fortnite został pozwany przez jej twórców, grupę Epic, za oszukiwanie podczas grania. Nastolatek miał korzystać z zewnętrznego programu automatycznie celującego w przeciwników oraz wyszukiwać osoby transmitujące na żywo rozgrywki, lokalizować je w grze i zabijać postacie. Twórcy gry twierdzą, że osiągnięte nieuczciwie wyniki mogły zniechęcać inne osoby do współzawodnictwa i powodować straty finansowe.

Tyci bałwanek

Naukowcy z Uniwersytetu Zachodniego Ontario stworzyli z kulek krzemionkowych najmniejszego bałwana na świecie. Ma 3 mikrometry wysokości (20 razy mniej niż średnica ludzkiego włosa) i został stworzony metodą elektronolitografii. Naukowcy zadbali o szczegóły – oczy i usta zostały wycięte za pomocą zogniskowanej wiązki jonów, a ramiona i nos uformowane z platyny.

Co z głowy, to z serca

Naukowcy z Europejskiego Towarzystwa Kardiologicznego



chcieli znaleźć związek między tysieniem a chorobami serca. Przeprowadzili więc badanie przeszło 2 tys. Hindusów przed czterdziestką i okazało się, że mężczyźni, których dotknęło tysienie, są aż pięcio-, sześciokrotnie bardziej narażeni na choroby serca. Problem ma też dotyczyć mężczyzn przedwcześnie tysięjących.

Mundury Wehrmachtu w supermarkecie

Na platformie internetowej Reala, niemieckiej sieci supermarketów, można było do niedawna kupić mundury żołnierzy Wehrmachtu. Oprócz mundurów (pozbawionych emblematów) można było nabyć maskę przeciwgazową Adolfa Hitlera, hełm jednostek Africa Korps czy notatnik z wizerunkiem nazistowskiego żołnierza. Sieć Real na platformie nie tylko sprzedaje własne towary, ale także udostępnia innym przestrzeń do sprzedawania ich produktów. Real zareagował na doniesienia o kontrowersyjnych produktach i usunął je z oferty.

Dziecko z rozpusty

Egipska prezenterka telewizyjna Doaa Salah została skazana na trzy lata więzienia za publiczną pochwałę samotnego macierzyństwa. W jednym z odcinków popularnego *talk show*, zatytułowanym „Kup sobie męża”

ZE SMAKIEM

Kapuśniaczki ANNY STARMACH

Składniki: 400 g kiszonej kapusty, 80 g pieczarek, 40 g suszonych grzybów, 1 cebula, 2 łyżki oleju, 1 l wody, 1 opakowanie ciasta francuskiego, 1 jajko, sól, pieprz.



Kapustę zalewamy wodą i gotujemy na małym ogniu ok. 2,5-3 godzin. Grzyby moczymy przynajmniej przez 2 godziny w wodzie, po czym odcędzamy je, zalewamy niewielką ilością świeżej wody i gotujemy przez mniej więcej godzinę. Ugotowaną i odcedzoną kapustę oraz grzyby drobno siekamy. Cebulę i pieczarki drobno kroimy, przysmażamy na oleju. Gdy puszczą sok, dodajemy do nich kapustę i grzyby. Całość mieszamy, doprawiamy solą i pieprzem do smaku. Piekarnik rozgrzewamy do temperatury 190 st. Arkusz ciasta francuskiego dzielimy wzdłuż krótszej krawędzi, na trzy równe części. Pośrodku każdej z nich rozkładamy na całej długości nadzienie z kapusty i grzybów, zostawiając po bokach miejsce na sklejenie ciasta. Ciasto zwijamy w rulon, w miejscu sklejenia smarujemy roztrzepanym jajkiem i mocno dociskamy. Rulon kroimy na małe kapuśniaczki (z jednego otrzymamy 3-4 kapuśniaczki). Układamy je na blasze sklejeniem do dołu, aby się nie rozkleiły podczas pieczenia. Blachę wstawiamy na 20 minut do rozgrzanego piekarnika.

Przepis pochodzi ze strony <https://aniastarmach.pl>.



P **„PRZEGLĄD” NA ANTONIE**
POŚLUCHAJ, O CZYM PISZEMY

RDC
Warszawa 101 FM
DAB+

RADIO PARADA
96.00 FM
Łódź 96 FM

AFP Zdjęcia Roku.

Marco Bertorello.

Bramkarz Gianluigi Buffon, gdy reprezentacja Włoch nie zakwalifikowała się na mundial 2018 (stadion San Siro, Mediolan).

Antonin Thuillier.

Amerykański lekkoatleta Justin Gatlin, choć na 100 m wygrał z Jamajczykiem Usainem Boltem, składa mu hołd na mistrzostwach świata w Londynie.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Kacper Leśniewicz, Mariola Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiniński (Berlin), Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaboriski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikotajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzyktor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:

Sandra Zawadzka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



rozważała możliwości zostania matką bez wychodzenia za mąż, choć islam zabrania seksu przedmałżeńskiego. Zdaniem sądu szerzyła rozpustę, a zdaniem internautów namawiała do cudzołóstwa.

Tu byliśmy

W 60. rocznicę powstania polskiej stacji polarnej na Spitsbergenie naukowcy zakopali na głębokości 4 m niezwykłą kapsułę czasu. Znalazły się w niej: fragment meteorytu, skamieniałości, nasiona roślin, ludzkie DNA, niesporczaki, monety, zdjęcia Ziemi i kryształ krzemu. Za ok. 500 tys. lat pojemnik ma się ukazać na powierzchni za sprawą naturalnych procesów erozji. Kto go wtedy znajdzie?

Z nożem na ratownika

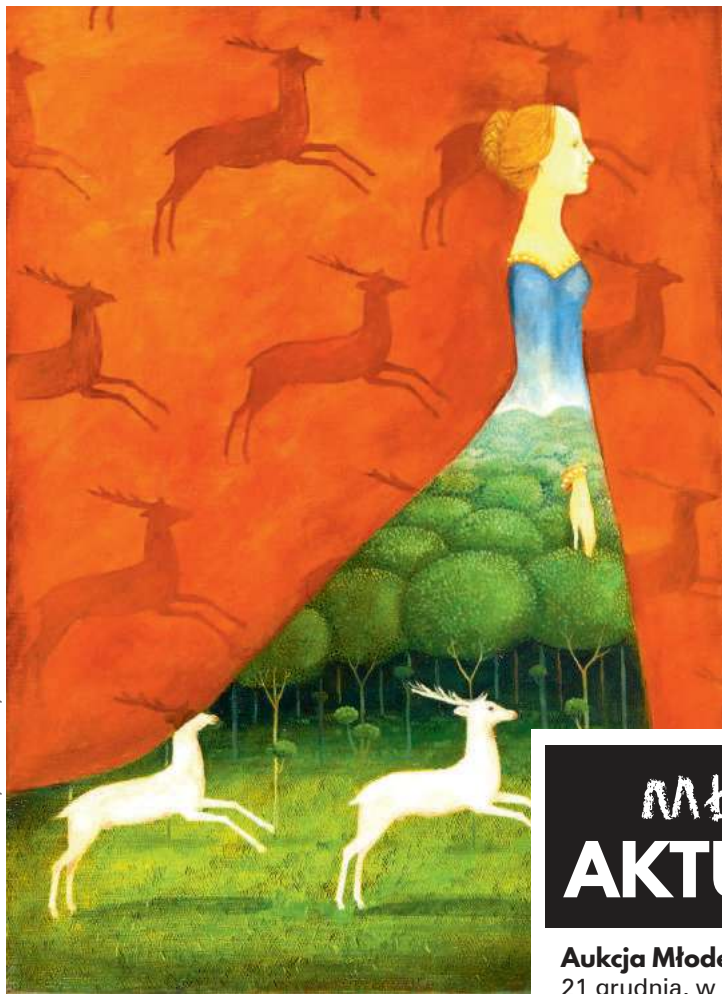
Fińskie ministerstwo spraw wewnętrznych wydało zalecenie, aby służby zamówiły wyposażenie ochronne (kamizelki kuloodporne i kaski) dla ratowników medycznych i strażaków. Coraz częściej bowiem spotykają się oni z przemocą.

Rekord na niebie

Niecodzienne zjawisko można było niedawno zaobserwować na Tajwanie. Aż przez dziewięć godzin nie zniknęła tam z nieba tęcza. Świadkowie, którzy ją podziwiali, chcą to zgłosić do Księgi rekordów Guinnessa. Dotychczasową rekordzistką była tęcza z brytyjskiego hrabstwa Yorkshire, którą widziano na niebie przez sześć godzin.



Malwina de Brade, Jelenie, 2017 r.



Łukasz Czernicki, Troja, 2017 r.



MŁODZI AKTUALNI

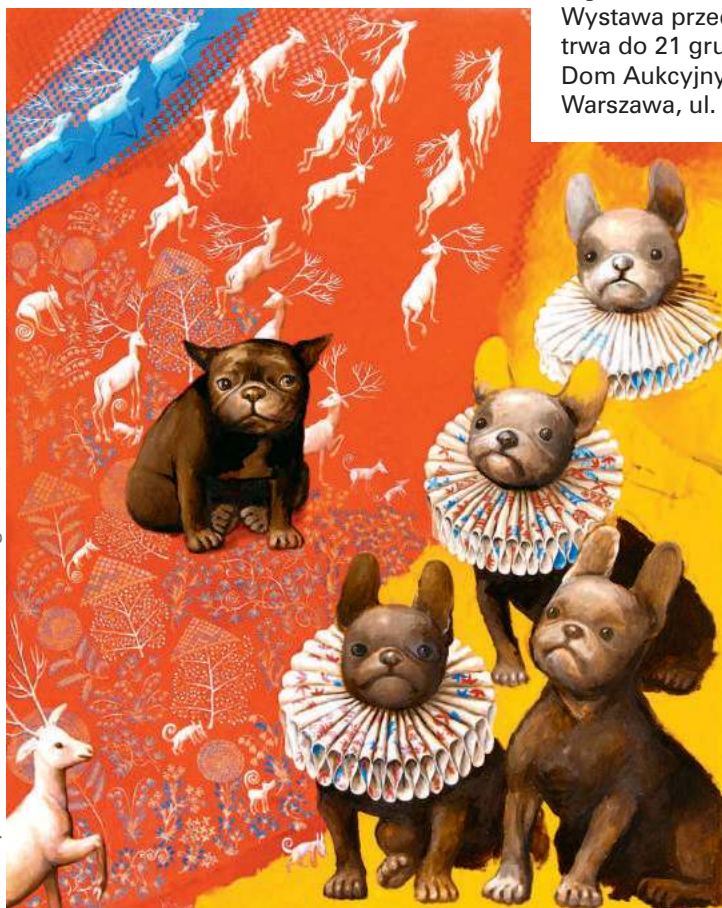
Aukcja Młodej Sztuki

21 grudnia, w czwartek,
o godz. 19.00

Wystawa przedaukcyjna
trwa do 21 grudnia

Dom Aukcyjny Desa Unicum
Warszawa, ul. Piękna 1

Katarzyna Słowiańska-Kucz, Pożegnanie, 2017 r.



Mirella Stern, Jedno miejsce – dwa światy, 2017 r.



A man with glasses, wearing a dark blue blazer over a light blue shirt, stands behind a white desk. In the background, a large circular logo features the word 'Orłoś' in white and 'kontra' in red.

Orłoś
kontra

OGLĄDAJ NOWY
TALK SHOW
MACIEJA ORŁOSIA

WP | telewizja

PREMIERA
W **PONIEDZIAŁKI**
○ **22:30**

Telewizja WP to filmowe hity, fascynujące dokumenty i programy rozrywkowe. **Bezpłatny kanał Telewizji WP** to nowość na rynku, dostępny za pośrednictwem naziemnej telewizji cyfrowej (MUX8), w kablówkach i na platformach cyfrowych m.in. Vectra (kanał 118, 194), UPC (kanał 116, 158), Multimedia (232), Toya (17), Netia (29), Inea (28), Orange (35), NC+ (170) oraz przez stronę www.pilot.wp.pl

MARZENIE, KTÓRE STAŁO SIĘ KOSZMAREM

DANIEL
RADCLIFFE



FILM GREGA MCLEANA

DŻUNGLA

INSPIROWANY PRAWDZIWYMI WYDARZENIAMI

SCREEN AUSTRALIA, BANA LUSTIG PRODUCTIONS & HAMPTON ENTERTAINMENT PRESENT A STORYBOOZE FILMS AND EMU CREEK PICTURES PRODUCTION A GREG MCLEAN FILM IN ASSOCIATION WITH SCREEN OFFSHORE AND MELBOURNE INTERNATIONAL FILM FESTIVAL PREMIERE FILM AND BARRETT FILMS
DANIEL RADCLIFFE, THOMAS KRETSCHMANN, ALEX HUSSEY, HILL JACKSON, YASMIN KASSIM, LAM PRODUCE YVONNE COLLINS, DIRECTOR OF PHOTOGRAPHY: BRIAN KUSCO, EDITOR: SCARLETT, PRODUCTION DESIGNER: MATTI PUTLAND, MUSIC BY: JOHNNY KLIMEX, COSTUME DESIGNER: VANCE SALLI
MARKUP & VAMP NARRATOR: RICK FIMULATYR, CASTING DIRECTOR: BEN PARKINSON, CO-EXECUTIVE PRODUCERS: YING YE, EXECUTIVE PRODUCERS: JEFF HARRISON, JUAN PETERS, MARK LAZARUS, YOSHI CHIMBERG, JAY ZOHAR, RAFAŁ POKOŃ, MICHAŁ RAFAŁ POKOŃ
PRODUCED BY BANA LUSTIG, GARY HAMILTON, MIKE GAGAWY, TODD FELLMAN, WRITTEN BY JUSTIN MINIO, DIRECTED & PRODUCED BY GREG MCLEAN

BASED ON THE BOOK JUNGLE BY YOSHI CHIMBERG

TV-14, PEGI 12, HAMILTON ENTERTAINMENT, STORYBOOZE FILMS, EMU CREEK PICTURES, SCREEN OFFSHORE, MELBOURNE INTERNATIONAL FILM FESTIVAL PREMIERE FILM, BARRETT FILMS, CUTTING EDGE, COLDY, KINO BWAŁ

MADE IN AUSTRALIA WITH THE SUPPORT OF THE AUSTRALIAN FILM COMMISSION

W KINACH OD 22 GRUDNIA

LOGO

Militaria.pl

Przegląd

DEMOTYWATORY.PL

WIZAZ

VIVA!

Party.pl

FILMWEB

eprasa.pl b4f7c750a4